

Dolnośląska Młodzież

MŁODYCH ZŁOTE MYŚLENIE

56 prac wybranych losowo z nagrodzonych i wyróżnionych
w XV Dolnośląskich Konkursach Literackich o Laur Złotego Pióra

„My Polacy, My Dolnoślązacy”

z lat 2005-2019

Wydanie drugie uzupełnione



Dofinansowano z Budżetu Województwa Dolnośląskiego

DOLNOŚLĄSKI KONKURS LITERACKI
O LAUR ZŁOTEGO PIÓRA
„MY POLACY, MY DOLNOŚLĄZACY”

ORGANIZATORZY



Książka pod redakcją ks. Jerzego Babiaka

www.zlote-pioro.pl

Słowo wstępne

Tak się szczęśliwie złożyło, że w roku 2019 świętujemy polskiego Literackiego Nobla i realizujemy Jubileuszowy XV Dolnośląski Konkurs Literacki o Laur Złotego Pióra. Jego podtytuł „*My Polacy, My Dolnoślązacy*” wprost wskazuje na to kto i w jakim kontekście pisze swoje literackie prace. Jak ważny to konkurs potwierdzają jego uczestnicy. Od roku 2004 było to prawie 5000 uczniów szkół podstawowych, gimnazjów, liceów oraz techników. Niezmienni, zawsze tak samo wrażliwi, nieraz zbuntowani, innym razem pełni optymizmu, dający mądre, związane z tematami przemyslenia, a przede wszystkim umiejący wznieść się ponad kurz społecznych zamętów. To co zadziwia, to ich bezdyskusyjny i wielki szacunek do każdego człowieka bez wyjątku. Tak jakby byli kreatorami, stróżami i obrońcami świata i żyjących na nim ludzi. Piękni, ze „złotym”, szlachetnym i bezcennym myśleniem.

Olga Tokarczuk w jednej ze swoich wypowiedzi zaznaczyła: „*Literatura to nie tylko nośnik treści i obrazów, ale i drogowskaz na niepewne czasy. To narzędzie komunikacji i otwierania się na świat*”. Prace uczestników są wyrazem młodzieńczego „*otwierania się na świat*”, dlatego z ogromną przyjemnością uzupełniamy i publikujemy już drugie wydanie nagrodzonych zadań wszystkich edycji. Ich lektura na pewno pozostanie głęboko w myślach i sercach czytelników, ale także stanie się drogowskazem na te czy inne „*niepewne czasy*”.

Złote Pióro to dzieło. Dzieło stworzone i tworzone przez ludzi. To wspinała historia, której wymazać i zapomnieć nie można. Najpierw koniecznie wspomnieć trzeba osoby, które odeszły od nas. Pierwszą jest profesor języka polskiego w Liceum Salezjańskim we Wrocławiu śp. Janusz Kaczorowski. Od samego początku współautor tematów, członek jury, wielki entuzjasta, opiekun propagator konkursu, a od dwóch lat wyczuwalnie brakujące ogniwo scalania, uskrzydlenia i wzmacniania go. Jesteśmy przekonani, że także dzisiaj Jego dobry duch pomaga realizować i kontynuować konkurs. Drugą osobą jest mecenas konkursu śp. pan Bronisław Pałys, dyrektor i założyciel Wydziału Programów Katolickich PSE „POLEST” we Wrocławiu. Zawsze gorliwie i szczerze zatroskany o wsparcie finansowe wydarzenia

wynikającego z głębokiego przekonania o jego wartości i znaczeniu. Konkurs to także osoby tu i teraz obecne i zaangażowane w jego organizację. Najpierw znaczne i szerokie grono osobistości z samorządów województwa, gminy, miasta, a także Kościoła oraz mecenasi, znawcy języka polskiego na czele z prof. Janem Miodkiem. Konkurs nigdy nie mógłby mieć wielkiego splendoru i wysokiego standardu bez osób, które zabiegają o jego finanse i nagrody. Wśród nich pragnę szczerze podziękować skarbnik Województwa Dolnośląskiego, Pani dr inż. Elżbiecie Berezowskiej. Jej głębokie przeświadczenie o potrzebie, ale i jakości konkursu nie pozostawia cienia wątpliwości, dlatego z roku na rok, stale zabiega o wsparcie dla jego organizacji. W gronie sponsorów znajduje się także prezes Radiotechnika Marketing Spółka z o.o. pan Marek Dras, któremu pragnę złożyć wyrazy głębokiego uznania i szczerego podziękowania, za to że jako przedstawiciel branży technicznej z wielką wrażliwością docenia i wspiera wartości humanistyczne. Osobą z pierwszego szeregu organizacji konkursu od samego początku jest polonistka, była metodyczka nauczycieli, dzisiaj emerytka, pani Elżbieta Warulik. Autorka tematów, członek jury, charyzmatycznie obecna w jego istnieniu i jego realizacji, której jestem niezmiernie wdzięczny za wielkie serce noszące imię „Złote Pióro”. Dziękuję także już teraz tym organizatorom, którzy z radością towarzyszą konkursowi, a bez których nie mógłby się on odbywać. Tak więc wrocławskiej redakcji Gościa Niedzielnego na czele z dyrektorem panem Karolem Białkowskim, a także młodym polonistom Salezu, którzy z pełnym przekonaniem włączają się w jego organizację.

Na koniec dziękuję przede wszystkim Wam uczestnicy konkursu Uczniowie oraz Nauczyciele. To wy jesteście sensem tego konkursu, bezcenną wartością i jego promienistym blaskiem. Wszyscy potrzebujemy tego blasku jak nigdy dotąd. Za to, że w tym świecie, w którym materia ciągle chce pokonać ducha, jesteście zdeklarowani, odważni i mądrzy dziękuję. Takimi pozostawajcie i takimi bądźcie. Niech Złote Pióro trwa dzisiaj, jutro i bez końca.

Wrocław, 1 listopada 2019

ks. Jerzy Babiak
dyrektor
Zespołu Szkół Salezjańskich
DON BOSCO we Wrocławiu

Wstęp do wydania pierwszego

Oto w ręce Czytelników trafia zbiór najciekawszych tekstów X Jubileuszowego Konkursu o Laur Złotego Pióra „*My Polacy – My Dolnoślązacy*”. Poproszony o napisanie do niego krótkiego wprowadzenia, czuję wielką odpowiedzialność za każde słowo, zwłaszcza że targają mną trudne do opisanie, bo niejednoznaczne, odczucia.

Ogromny mój szacunek budzą rozległość i ważność poruszonych problemów, a także sprawność językowo-stylistyczna wszystkich bez wyjątku prac. Młodzi Polacy dokonują w nich przeglądu na pewno najistotniejszych zjawisk współczesności: przyglądają się hierarchii wartości w rodzinie; próbują określić, czym jest dzisiaj patriotyzm – czy przeżywamy czas jego zmierzchu, a może tylko ewolucji – oraz jak się przejawia miłość do ojczyzny, własnego regionu bądź rodzinnego miasta; śledzą losy rodaków poza granicami kraju; niepokoi ich zataczające coraz szersze kręgi społeczne uzależnienie od rzeczywistości elektronicznej, szukają więc ratunku – na przykład w sporcie i w wartościowej muzyce; zastanawiają się, jak budować mosty ludzkiej solidarności i czym jest polska pamięć zbiorowa; podpowiadają, z czego możemy i powinniśmy być dumni; zgłębiają rozumienie wolności człowieka. Powtórzę: to ogromny i ważny obszar penetracji.

Czemu więc w pierwszym akapicie zwierzyłem się ze swoich niejednoznacznych odczuć?

– Ano dlatego, że – daleki od pięknoduchostwa i głupiej wesołkowatości – poczułem się jednak trochę wbity w ziemię, gdy przeczytałem: „*Otaczająca mnie rzeczywistość jest ponura*” albo „*Dołożę wszelkich starań, aby nie pójść w ślady moich rodziców. Rodziców XXI wieku*”. Oczywiście, każdy ma prawo do takiej językowej ekspresji, do takiego widzenia świata i nawet swoich najbliższych. Ale w odniesieniu do pierwszego zdania ciśnie mi się na usta riposta człowieka, który w roku 1989 miał za sobą przeżyte 43 lata: „*Dzieci, czy wy naprawdę wiecie, jak wygląda ponura rzeczywistość?*”

w odniesieniu zaś do wypowiedzi drugiej – nieśmiałe pytanie: „Czy rodzice XXI wieku zasługują na tak druzgocącą ocenę? Bo mnie się akurat wydaje, że zwłaszcza w Polsce poświęcają się oni swoim dzieciom o wiele bardziej niż pokolenia starsze”.

Pytam więc: czy to szczere odczucia, czy odbłask powszechnej w Polsce „narzekanistyki”, jak mawiał Stanisław Lem, napędzanej przez polityków, dziennikarzy, nauczycieli, kaznodziejów? A jeśli to drugie – doprawione sporą dawką patosu i stereotypowych stwierdzeń, to czy młodymi ludźmi, chłonącymi jak gąbka tego typu opinie o współczesnym zdemoralizowanym świecie, nie kieruje mechanizm – choćby podświadomego – mimesis?

Ostateczny bilans moich odczuć po przeczytaniu zamieszczonych w tomie tekstów jest jednak zdecydowanie pozytywny. Wierzę, że rozgrywa się w nich rzecz o Polskę i współczesne świat. O lepszą Polskę i o lepszy współczesny świat!

Wrocław, 1 września 2014

Jan Miodek

Rys historyczny konkursu MY POLACY MY DOLNOŚLĄZACY LATA 2005-2019

Konkurs o Laur Złotego Pióra dla uczniów klas trzecich gimnazjów i szkół ponadgimnazjalnych, a od 2017r. klas ósmych szkół podstawowych i ponadpodstawowych organizowany przez dyrektora Liceum Salezjańskiego – ks. Jerzego Babiaka i wrocławską redakcję Gościa Niedzielnego - cieszy się dużą popularnością wśród młodych Dolnoślązaków. A zaczęło się bardzo zwyczajnie, bo od przypadkowego spotkania w rynku 2004 roku dwóch księży dyrektorów: Gościa Niedzielnego i Liceum Salezjańskiego. W sercu Wrocławia, przy kawiarnianym stoliku, zaczęli się zastanawiać, co mogliby wspólnie zrobić dla dolnośląskiej młodzieży, jak sprowokować ją do wnikliwego myślenia, do wyrażania siebie, w obliczu przemian, jakie zachodzą w ojczyźnie, a głównie do refleksji dotyczących rodzin: tej najmniejszej komórki społecznej oraz tej ojczyznianej: małej i dużej, a także do rozważań o wartościach uznawanych ogólnie za najwyższe i najcenniejsze. I tak narodziła się idea konkursu:

MY POLACY, MY DOLNOŚLĄZACY.

Księża: Jan Gorczyca i Jerzy Babiak przystąpili do organizowania szczytnych zmagania o laur złotego pióra. Konkurs okazał się strzałem w dziesiątkę. W pierwszej edycji wzięło udział blisko 400 uczestników, zatem nic dziwnego, że doczekał się on 15-lecia, tzw. kryształowych godów. Nie byłoby ich jednak, gdyby nie grono życzliwych ludzi w lokalnej administracji i nie tylko. To oni uznali pomysł dwóch duchownych za sensowny, ważny, potrzebny i wsparli honorowym patronatem, a sponsorzy cennymi nagrodami. Sponsorzy się zmieniają, ale zawsze są hojni, gdyż kierują się zasadą, że uznanie sprzyja rozwojowi sztuki (honoris alit artes). Jednakże niezmiennie swój podziw dla młodych twórców podkreśla wrocławska Radiotechnika marketing sp. z o.o., ofiarowując laptopy. A jest za co nagradzać młodych autorów, gdyż

w nadesłanych do roku 2018 około 3500 pracach z ponad 100 szkół miast i miasteczek naszego regionu zadziwiała niepowtarzalność i bogactwo myśli, nieprzeciętna erudycja, a czasami słowa mądrego, choć nierzadko bolesnego krytycyzmu. Głównie jednak zachwycała wrażliwość estetyczna i emocjonalna urzekająca siłą młodzieńczego wzruszenia. A przecież tematy, z którymi zmierzali się młodzi adepti pióra, oscylowały wokół trudnych zagadnień egzystencjalnych. Związane były np. z dużą i małą ojczyzną, różnorodnością uczuć patriotycznych i rodzinnych, ich ewolucją czy zmierzchem, uzależnieniami od Internetu, wirtualnej rzeczywistości, poszukiwaniem antidotum na choroby cywilizacyjne. Dotyczyły stawiania zapory demoralizacji, sposobów rozumienia wolności, potrzebie pomagania, a także przebaczenia, szukania szczęścia w pozytywnej aktywności życiowej, potrzebie solidarności, uczestniczenia w kulturze, zastanawiania się nad światem wartości, które powinien preferować twórca czy refleksji o miejscu muzyki we współczesnym świecie, itp. Różnorodne formy literackie: eseje, felietony, opowiadania zawierały wiele interesujących przemyśleń, których nie powstydziliby się niejeden publicysta czy literat. Zresztą cenne myśli, niebanalne sądy, fantazja, wyobraźnia i umiejętność władania piórem to cechy wszystkich nadesłanych prac, stąd niezwykle trudny był wybór laureatów. Niewątpliwie wszyscy uczestnicy czternastu edycji konkursowych zmagania potwierdzili aktualność starożytnej maksymy, że „początkiem i źródłem dobrego pisania jest mądrość”, a ich zapisane w pracach myślenie często złote.

To właśnie dzięki przychylności, poparciu i pomocy władz samorządowych województwa dolnośląskiego i miasta Wrocławia, wynikających z docenienia idei konkursu, jego organizatorzy mogą przyczyniać się do wyławiania najcenniejszych pereł wśród wielu pereł i perełek piszącej dolnośląskiej młodzieży. Wyrazem uznania dla laureatów są uroczyste gale i uświetniające je występy artystów zapraszanych od 2009 roku przez współorganizatora – POLEST Estradę Dolnośląską. Pierwsza gala odbyła się w 2005 roku w Filharmonii Wrocławskiej, a od 2006 roku w Sali Rycerskiej ratusza młodzi rycerze szermujący doskonale piórem oraz w sposób dojrzały

i mądry wyrażający wszystko, co pomyśli głowa piękną i giętką polszczyzną, odbierali należne im laury. Od 2016 roku w Auli Papieskiego Wydziału Teologicznego przy placu Katedralnym świętują swoje osiągnięcia polonistyczne uczniowie, którzy- jak z katedry- przemawiają, zachwycają, pouczają, czasami nawet autorytatywnie, ale zawsze gorliwie i przekonująco siłą młodzieńczego talentu pisarskiego. Niewątpliwie splendoru i rangi konkursowi: MY POLACY MY DOLNOŚLĄZACY dodaje honorowy patronat reprezentowany przez wybitne osobistości pełniące najważniejsze urzędy w województwie i w jego stolicy, media, a także współorganizatorzy, dla których istotne jest miejsce małej i dużej ojczyzny w Europie bez granic oraz zasady etyczne preferowane przez młodzież – jej obywateli. Wszyscy propagatorzy konkursu wyrażają wdzięczność uczniom, którzy poszli ze sobą w mistrzowskie zawody, inspirującym ich w literackich bojach nauczycielom i szkołom doceniającym potrzebę pisania na trudne tematy naszych czasów w celu nie tylko diagnozowania uczniowskich osiągnięć, ich sposobu myślenia, wewnętrznego bogactwa odczuć i przeżyć, ale także podnoszenia morale we współczesnym świecie.

Elżbieta Warulik

TEMATY

I Konkurs Literacki o Laur Złotego Pióra

„My Polacy, My Dolnoślązacy” rok 2005:

1. „Polska rodzina w XXI wieku – taka jak dotąd czy zupełnie odmieniona?”
2. „Współcześni Polacy. Dumni z papieża, dumni z Małysza. Czy mamy więcej powodów do dumy?”

II Konkurs Literacki o Laur Złotego Pióra

„My Polacy, My Dolnoślązacy” rok 2006:

1. „Bo czymże jest uczucie do kraju, jeżeli nie wyolbrzymionym uczuciem dla matki? I czymże trwoga o losy własnego kraju, jeżeli nie wyolbrzymioną troską o los matki, o jej zdrowie i życie. To też powiedział Demostenes ludowi ateńskiemu. i nam”. (Maria Wielopolska „Meter”). Czy rzeczywiście nam?
2. „Współcześni Polacy w poszukiwaniu patriotyzmu nieromantycznego?”

III Konkurs Literacki o Laur Złotego Pióra

„My Polacy, My Dolnoślązacy” rok 2007:

1. „Ojczyzna – kiedy myślę – wówczas wyrażam siebie i zakorzeniam” (Jan Paweł II).
2. „Nasze pokolenie – rodzice XXI wieku”.

IV Konkurs Literacki o Laur Złotego Pióra

„My Polacy, My Dolnoślązacy” rok 2008:

1. „Póki jesteśmy, Polska żyje, Rzeczpospolita znaczy: my”. Rozważ myśl Stanisława Wyspiańskiego w kontekście obecnej zjednoczonej Europy bez granic.
2. „Eurosamotność. Życie rodzinne współczesnych polskich emigrantów”.

3. „Do was, do was należy położyć zdecydowaną zaporę demoralizacji – zaporę tym wadom społecznym, których ja tu nie będę nazywał po imieniu, ale o których wy sami doskonale wiecie” (Jan Paweł II). Czy rzeczywiście wiesz, umiesz, a przede wszystkim czy chcesz postawić zaporę?

V Konkurs Literacki o Laur Złotego Pióra

„My Polacy, My Dolnoślązacy” rok 2009:

1. „Przeszłość zachowana w pamięci jest częścią teraźniejszości” (T. Kotarbiński). Przemyślenia młodego Polaka w 70 rocznicę wybuchu II wojny światowej.
2. „Ludzie budują za dużo murów, za mało mostów” (I. Newton). Jak budować mosty? O sobie, współmieszkańcach mojego regionu, miasta, osiedla.
3. „Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną”. Rozważania o zjawisku uzależnienia od Internetu i rzeczywistości wirtualnej we współczesnym świecie.

VI Konkurs Literacki o Laur Złotego Pióra

„My Polacy, My Dolnoślązacy” rok 2010:

1. „W życiu jednostek i narodów bywają momenty taką miarą nie-szczęść napelnione, że nic w nich zmieścić się nie może.” Odniesie te słowa Elizy Orzeszkowej do swojej dużej i małej ojczyzny.
2. Muzyka Fryderyka Chopina to według Roberta Schumanna „armaty ukryte wśród kwiatów”, a jakie znaczenie jesteśmy gotowi jej przypisać dziś? Refleksje o miejscu muzyki we współczesnym świecie.

VII Konkurs Literacki o Laur Złotego Pióra

„My Polacy, My Dolnoślązacy” rok 2011:

1. „Bo wolność nam dana jest przez Boga, jest nam nie tylko przez Boga dana, jest nam także zadana!” (Jan Paweł II, Homilia wygłoszona podczas „Statio Orbis” na zakończenie 46. Międzynarodowego Kongresu Eucharystycznego we Wrocławiu.

1 czerwca 1997 r.) Twój głos w sporze o sposób rozumienia wolności człowieka.

2. „Co zdążysz zrobić, to zostanie, choćby ktoś inne mógł mieć zdanie.” (Czesław Miłosz, Traktat moralny). O praktycznym budowaniu fundamentów małej i wielkiej ojczyzny.

VIII Konkurs Literacki o Laur Złotego Pióra

„My Polacy, My Dolnoślązacy” rok 2012:

1. „Ruch najbardziej służy zdrowiu. Jestem zdania, że nieobojętną przyczyną pogorszenia się zdrowia w naszych czasach jest to, że ludzie nie ruszają się już tak bardzo jak kiedyś.” (św. Jan Bosko). Sport jako wyzwolenie z wirtualnej rzeczywistości
2. Zmierzch czy ewolucja uczuć patriotycznych?

IX Konkurs Literacki o Laur Złotego Pióra

„My Polacy, My Dolnoślązacy” rok 2013:

1. „Człowiek musi wierzyć w parę prostych pojęć, jeśli chce żyć przyzwoicie” (Joseph Conrad). Twoja recepta na wychowanie młodego pokolenia Polaków.
2. „Cuda świata można znaleźć we własnym ogrodzie” (Phil Bosmans). Rozważ tę myśl w odniesieniu do twojej małej ojczyzny.

X Konkurs Literacki o Laur Złotego Pióra

„My Polacy, My Dolnoślązacy” rok 2014:

1. „Ojczyzna moja wolna, wolna... Więc zrzucam z ramion płaszcz Konrada” (Antoni Słonimski). Twoja próba opisanie tożsamości współczesnego Polaka po 25 latach życia w wolnym kraju.
2. „Od Unii Lubelskiej do Unii Europejskiej! To jest wielki skrót, ale wiele się w tym skrócie mieści wielorakiej treści. Polska potrzebuje Europy” (Jan Paweł II). Rozważania o „wielorakiej treści” tego skrótu w dziesiątą rocznicę obecności Polski w Unii.

3. „Wiecie, że nienawidzę, nie cierpię, nie znoszę kłamstwa (...). Gdy stykam się z kłamstwem, czuję się fatalnie i robi mi się mdło, zupełnie jakbym wziął do ust coś zgniłego” (Joseph Conrad). Refleksje o znaczeniu prawdy w nowoczesnym społeczeństwie.

XI Konkurs Literacki o Laur Złotego Pióra

„My Polacy, My Dolnoślązacy” rok 2015:

1. „Kultura to rzecz zdobywana, a nie dziedzictwo. To nauczanie się nowego języka. To nie wyprawa na Marsa, ale docieranie do początków naszej cywilizacji” (Zbigniew Herbert). Twoje rozważania o trudach uczestnictwa w kulturze i pożytkach, jakie z niego płyną, w przeddzień przejęcia przez Wrocław roli Europejskiej Stolicy Kultury i Światowej Stolicy Książki UNESCO.
2. „Żaden człowiek nie jest samoistną wyspą; każdy stanowi ułamek kontynentu, część lądu. (...) Przeto nigdy nie pytaj, komu bije dzwon. Bije on tobie”... (John Donne). O znaczeniu solidarności dawniej i dziś.
3. „Ubi concordia, ibi victoria” (Gdzie zgoda, tam zwycięstwo). Refleksje o moralnym zwycięstwie i potrzebie przebaczenia w 70. rocznicę zakończenia II wojny światowej i 50. rocznicę skierowania „Orędzia biskupów polskich do ich niemieckich braci w Chrystusowym urzędzie pasterskim”.

XII Konkurs Literacki o Laur Złotego Pióra

„My Polacy, My Dolnoślązacy” rok 2016:

1. Henryk Sienkiewicz tworzył „dla pocrzepienia serc”. Czy w Twoich czasach potrzebny jest ktoś taki? Do jakich wartości mógłby sięgnąć?
2. „Sądzimy, że abyśmy byli szczęśliwi, potrzebujemy dobrej kanapy. Kanapy, która pomoże nam żyć wygodnie, spokojnie, całkiem bezpiecznie”. Twoja odpowiedź na słowa papieża Franciszka wypowiedziane podczas Światowych Dni Młodzieży.

XIII Konkurs Literacki o Laur Złotego Pióra

„My Polacy, My Dolnoślązacy” rok 2017:

1. Te trzy hasła miejmy w życiu: „Pracę, jedność i wytrwałość” (K. Ujejski). Rada anachroniczna czy aktualna? Która z tych wartości według ciebie jest dziś najważniejsza?
2. „Można nie pomagać, można znaleźć wiele racjonalnych argumentów dla konkretnych przypadków, aby nie pomagać. Ale to nic nie zmieni. Nadal będą głodni, chorzy, cierpiący, potrzebujący. Lepiej zgrzeszyć nadmiarem dobroci i naiwności, niż nadmiarem kalkulacji i nieufności” (o. Fabian Kaltbach OFM). Przedstaw swoje zdanie.

XIV Konkurs Literacki o Laur Złotego Pióra

„My Polacy, My Dolnoślązacy” rok 2018:

1. „Rzadko na moich wargach (...) Najdroższy wyraz: Ojczyzna. Widziałem, jak do Jej kolan – Wstręt dotąd serca me czuje – Z pokłonem się cisną i radą Najpospolitsi szuje” (Jan Kasprzowicz). Rozważania o prawdzie uczuć i postaw patriotycznych.
2. „To, co możesz uczynić jest tylko kroplą w ogromie oceanu, ale jest właśnie tym, co daje znaczenie twojemu życiu” (Albert Schweitzer). Refleksja na temat znaczenia jednostki w życiu społeczeństw.

XV Konkurs Literacki o Laur Złotego Pióra

„My Polacy, My Dolnoślązacy” rok 2019:

1. „Łyżka dziegciu popsuje beczkę miodu”. Rozważ aktualność tego przysłowia.
2. „(...) dobrze być tam, gdzie człowiek ma swoje miejsce (...) dobrze mieć swoją bezpieczną przystań, do której zawsze można wrócić” (Stephen King). O moim intymnym miejscu na ziemi dolnośląskiej.

**I Dolnośląski Konkurs Literacki
o Laur Złotego Pióra
„My Polacy, My Dolnoślązacy”
rok 2005**



REDAKCJA WROCŁAWSKA „GOŚCIA NIEDZIELNEGO”
ORAZ LICEUM SALEZJAŃSKIE WE WROCŁAWIU OGŁASZAJĄ:

I KONKURS LITERACKI NA ESEJ O ZŁOTE PIÓRO

„My Polacy – my Dolnoślązacy”

do udziału zapraszamy MŁODZIEŻ
Gimnazjów oraz Szkół Ponadgimnazjalnych

TERMIN ODDAWANIA PRAC UPŁYWA:
31 października 2005r.

ROZSTRZYGNIĘCIE:
1 grudnia 2005r.

dla najlepszych
przewidziano wiele
wartościowych nagród

więcej informacji u nauczyciela i polskiego



BIURO ORGANIZACYJNE

SEKRETARIAT LICEUM SALEZJAŃSKIEGO
tel. (071) 373 45 31;
e-mail: liceum-wroc.salezjanie.pl

PATRONAT HONOROWY

abp Marian Górebowski - Metropolita Wrocławski
bp Ignacy Dec - Biskup Świdnicki
bp Stanisław Cichy - Biskup Legnicki
Paweł Wroblewski - Marszałek Województwa Dolnośląskiego
Rafał Dulikiewicz - Prezydent Miasta Wrocławia
WCDN Wrocław

PATRONAT MEDIALNY



Agnieszka Jałowiec
IV Liceum Ogólnokształcące we Wrocławiu

POLSKA RODZINA W XXI WIEKU – TAKA JAK DOTĄD CZY ZUPEŁNIE ODMIENIONA?

Święty Józef załamał ręce,
denerwują się w niebie święci,
teraz idą już nie Trzej Mędrcy,
lecz uczeni, doktorzy, docenci

Teraz wszystko całkiem inaczej,
to, co stare, odeszło, minęło,
zamiast złota niosą dolary,
zamiast kadzidła – komputer,
zamiast mirry – video

– Ach te czasy – myśli Pan Jezus –
nawet gwiazda trochę zwariowała
ale nic się już nie zawali,
bo wciąż mamusia ta sama.

ks. Jan Twardowski

Tak, proszę Księdza, świat się zmienia. Zmieniają się ludzie,
obyczaje i mentalność. Najważniejsze w życiu cele też nie są już takie
same... Jak więc tak powszechny proces zmian mógł nie objąć naj-
ważniejszej jednostki społecznej, jaką jest rodzina? Zawładnął nią
bardzo dotkliwie.

Podobno nie ma nic mocniejszego niż miłość matki do wła-
snego dziecka. Jednakże i to uczucie przeszło pewną metamorfozę.
Teraz jego głównym wyznacznikiem nie jest troska o zapewnienie



dziecku bezpieczeństwa, zarówno fizycznego jak i psychicznego, czułość, bliskość i zrozumienie. Dziś większość matek czuje prawdziwe spełnienie w swojej roli wtedy, gdy potomek wygrywa zaplanowaną rywalizację z innymi dziećmi. Również, gdy okazuje się najlepszy, najmądrzejszy i, co najgorsze, urzeczywistnia niespełnione marzenia rodziców. Młodzi dodatkowo żyją pod presją otoczenia, podlegają jego nieustannej ocenie, boją się krytyki i braku akceptacji. Zamiast beztrzęsco przeżywać najlepsze lata dzieciństwa, uczą się, jak być odpowiedzialnym, dojrzałym i racjonalnym. Nie rozumieją swoich niepoważnych rówieśników, czują się od nich lepsi, i to też powtarzają im ich rodzice. Tak rosną osamotnieni doktorzy, nieczuli docenci i smutni uczeni, którym jedynie brakuje bezinteresownego uczucia ze strony najbliższych... Mają tytuły, tak pożądane pieniądze, osiągają liczne sukcesy zawodowe w swej nie zawsze satysfakcjonującej pracy. Czują się niesamowicie spełnieni...

Aż tu nagle przychodzi pierwszy od wielu lat, niespodziewany wolny wieczór. Delegacja została odwołana w ostatniej chwili, więc wracają do swoich pustych czterech ścian. Otwierają butelkę drogiego alkoholu, włączają muzykę. Koniecznie głośną. Na tyle głośną, aby zagłuszyła ich myśli... Oni, bowiem wcale nie są szczęśliwi. Nie cieszy ich to, co mają. Po co im doskonale urządzone mieszkanie, skoro z nikim go nie dzielą, nikt nie budzi ich rano delikatnym pocałunkiem, za ścianą nie słyszą rozbawionych głosów dzieci. Dlaczego nie mają rodzin? Bo nauczono ich, że są rzeczy ważne i najważniejsze. Kwestią priorytetową jest przecież majątność – mamy XXI wiek. Na znalezienie żony, męża, urodzenie dziecka zawsze znajdzie się czas. „Nie niszczone życie, tak wcześnie zakładając rodzinę” – słyszeli od rodziców. Czy jakkolwiek kochający rodzic, patrząc na niewinne oczy swojego dziecka, jest gotów pomyśleć, że zniszczyło mu życie...? Nigdy. Ale ciężko jest to zrozumieć, póki się tego nie doświadczy. Młodzi żyją więc w błogiej niewiedzy, nie dopuszczając myśli, że może być inaczej. Nawet jeśli, tak jak w ten samotny wieczór, przyjdzie im to do głowy, a ogarniający smutek wymusi minimum realizmu, to i tak zabijają je w sobie. Stłumią alkoholem, wyjściem do dobrej restauracji czy widokiem aktualnego

stanu gotówki na ich koncie bankowym. Gdyby zdobyli się na odwagę, to może poszliby do rodziców. Ale nie chcą. Nie potrzebują ich, to przecież oni wpajali im konieczność samodzielności. Poza tym, w jakim celu mieliby tam iść? Żeby usłyszeć, że nie ma absolutnie żadnego powodu do narzekań, że powinni być dumni z tego, co osiągnęli, i dla poprawy samopoczucia porównać swój wspaniały los z życiem dawnych kolegów, nieudaczników. Więc tkwią w martwym punkcie. Patrzą na te wszystkie najdroższe, najporządniejsze sprzęty, dekoracje i czują się bardzo... biedni. Ubodzy w emocje, doznania, marzenia i wspomnienia. Wtedy zazdroszczą swoim rówieśnikom, którzy wcale nie wybili się, nie są znani i bogaci, przed którymi świat nie stoi otworem, ale są szczęśliwi. Chcieliby wykupić od nich to nieuchwytnie szczęście, ale mimo wszechobecnego w ich życiu materializmu wiedzą doskonale, że są rzeczy, których nie da się kupić.

Istnieją jeszcze takie rodziny, które zachowały prawidłową hierarchię wartości. Przekazują je swoim dzieciom, tak jak robili to ich rodzice, dziadkowie. Dają im o wiele więcej niż markowy sprzęt, zagraniczne wycieczki, kursy językowe czy wysokie kieszonkowe. Ofiarowują im czas. Są dla nich na wyciągnięcie ręki. Razem przeżywają problemy i niepowodzenia. Żeby mieć powód do radości, nie potrzebują nowego samochodu, wystarczy wspólny posiłek. I choć nieraz chcieliby mieć lepsze warunki materialne – tyle pieniędzy, żeby nie musieć martwić się o jutro, a już tym bardziej o pojutrze – to umieją cieszyć się z tego, co posiadają. A mają tak naprawdę o wiele więcej niż ich dobrze sytuowani „konkurenci” z dzieciństwa...

Pomyśl, ile przykładów tak wzorowych rodzin znasz? A ile tych zagubionych? No tak... To są bardzo nierówne proporcje i, niestety, wciąż się zmieniają. Proces zmian, zmuszania ludzi do ciągłej rywalizacji o lepszy byt trwa i nic nie zapowiada jego zatrzymania. Wyścig nabiera tempa. Najslabsi odpadają. Czy kiedyś też tak było? Czy tak znacząca większość ludzi stawiała karierę, pieniądze, wykształcenie i dobrą pozycję społeczną na równi ze swoją rodziną? Nie sądzę. Nawet jestem pewna, że nie. Wiem to od największego dla mnie autorytetu – mojej matki...

Dlatego wybacz, Księżu, ale zmieniałabym Twoje słowa:

– Ach te czasy – myśli człowiek –
Żywot mój coraz cięższy
Mało i mniej wciąż mam
Szczególnie tych najlepszych...

Monika Barańska

Zespół Szkół nr 5, Liceum nr XIII im. Aleksandra Fredry we Wrocławiu

WSPÓŁCZEŚNI POLACY. DUMNI Z PAPIEŻA, DUMNI Z MAŁYSZA. CZY MAMY WIĘCEJ POWODÓW DO DUMY?

W 1980 roku Krzysztof Kieślowski stworzył krótkometrażowy film dokumentalny *Gadające głowy*. Obraz ten miał formę sondy, w której przedstawiciele różnych grup społecznych i wiekowych odpowiadali na najbardziej podstawowe pytania, takie jak: „kim jestem?”, „kim chciałbym być”? Jedną z wypowiedzi brzmiała: „Jestem Polką” i wyraźnie odczytywało się ją jako powód do dumy. Od czasu powstania tego dokumentu minęło 25 trudnych lat, podczas których historia naszego kraju zmieniła bieg. Czy dzisiaj Polacy czują się dumni ze swojej narodowości? Liczne badania opinii publicznej wskazują na to, że nie. Największe niezadowolenie budzi sytuacja polityczna państwa. Niekończące się spory, afery i korupcja przekreślają zaufanie obywateli do kolejnych rządów. Bolączką naszego społeczeństwa jest również wysoki wskaźnik bezrobocia. Krytycy „żałamują ręce” nad współczesnym polskim filmem, muzyką i teatrem (obwiniając przede wszystkim brak dotacji na rodzimą kulturę). Sceptycy dawno już uznali, że polska literatura i sztuka lata świetności ma za sobą. Podobne, negatywne sądy wyrażane są na temat naszego sportu czy osiągnięć naukowych, a kilka chlubnych nazwisk uznaje się za wyjątki, które jedynie potwierdzają regułę. Jasnym punktem naszych sportowych osiągnięć stał się z pewnością Adam Małysz. Skromny skoczek z Wisły podbił serca wszystkich Polaków, spragnionych sukcesów, stając się ukochanym idolem. Na arenie międzynarodowej Polska postrzegana jest jako najbardziej katolicki kraj na świecie. Wiarę deklaruje ok. 90% społeczeństwa, ale, jak się okazuje, jesteśmy mniej gorliwi w przestrzeganiu religijnych nakazów niż 20 lat temu. W sondażach prezentowanych w TV podkreśla się fakt ciąż-

głęgo niezadowolenia Polaków. Czy jest to skutek złej sytuacji kraju, czy jedynie nasza główna wada narodowa? Socjologowie i psycholodzy wyrażają, niepokój, pisząc o współczesnej polskiej młodzieży, która, ich zdaniem, bezkrytycznie przyjęła konsumpcyjny styl życia nastolatków z Zachodu i wszystko to, co taka postawa ze sobą niesie: zanik wartości, zupełny brak autorytetów, kult młodości, tanich rozrywek, reklam, pieniądza i dóbr materialnych. Mówi się o nich: obywatele świata, antypatrioci, Generacja Nic, indywidualiści, samotnicy. Pół roku temu cynicy na pewien czas zamilkli. Cały świat obserwował cierpienie i śmierć Jana Pawła II, towarzysząc Mu w tej ostatniej wędrówce i podziwiając godność, z jaką odszedł. Wcześniejsze opinie przestały mieć rację bytu, bo przecież stało się to w dobie, gdy w reklamach, teledyskach muzycznych czy filmach opiewa się młodość i witalność, a o śmierci nie wspomina się za często, gdyż stanowi smutny kres możliwości korzystania z uroków szybkiego życia. Młodych zaczęto nagle nazywać pokoleniem JP2. Dla tych, którzy urodzili się w czasach postkomunistycznych, było to pierwsze tak silne przeżycie. W raporcie *Pokolenie JP2*, przygotowanym przez *Elle* i *Tygodnik Powszechny*, zacytowano wypowiedź młodego chłopca, pochodzącego z rodziny o tradycjach solidarnościowych: „Dostałem w poczuciu, że ominęło mnie to, co ważne. Rodzice mówili mi: <<Masz szczęście, że żyjesz w takich czasach>>, ale czułem, że jest odwrotnie. Nie mogłem być bohaterem, miałem skończyć studia i dobrze zarabiać. Załapałem się tylko na 11 września i zazdrościłem Amerykanom, że są dumni ze swojego kraju. U nas jest cynizm, cwaniactwo i bezrobocie”. Młodsze pokolenia powinny być dumne z rodaków, często nawet krewnych, którzy nie bali się walczyć za Polskę w czasie wojny, czy stanąć po słusznej stronie w przełomowych momentach, takich jak: czerwiec 1956, marzec 1968, grudzień 1970 czy sierpień 1980 roku. Bohaterami byli najzwyczajni ludzie, którzy w czasach totalitaryzmu nie wyrzekli się swej hierarchii wartości i nie zagłuszyli moralności, potrafili żyć godnie mimo niebezpieczeństwa, jakie im groziło za sprzeciw wobec panującego ustroju. Większość z nas zapomina, że Polacy w ważnych momentach dziejowych potrafili się zintegrować, nie poddawać się i walczyć do

końca z ogromną determinacją. Powinniśmy być dumni z tego, że jako naród, który doświadczył tylu okrucieństw historii (obecność Krzyżaków na naszych ziemiach, rozbiory, dwie wojny światowe, faszyzm, komunizm czy wreszcie stan wojenny), nigdy nie straciliśmy nadziei i wiary w zwycięstwo, że jesteśmy dziś wolnym, niezależnym państwem. Często powtarza się opinie, że po 1989 roku przestaliśmy się jednoczyć, rozproszyliśmy się, każdy skoncentrował się na sobie, na karierze, dążeniu do sukcesu etc. Czy rzeczywiście? Wystarczy przyjrzeć się choćby kibicom Adama Małysza – było ich najwięcej, chociaż nasz skoczek startował w zawodach w różnych częściach Europy. Jeszcze bardziej oczywistym przykładem są bardzo liczne polskie pielgrzymki, które wybierały się w podróż za Ojcem Świętym czy z wizytą do Rzymu. Jednak prawdziwa radość i duma z tego, że jesteśmy Polakami przyszła wtedy, gdy wszyscy czuwaliśmy podczas choroby Papieża. Tak wielu poczuło się znów patriotami i katolikami. W mediach mówiło się, że Jan Paweł II jest naszym największym skarbem narodowym. To bardzo słuszne twierdzenie. Możemy czuć się wyróżnieni, że człowiek o niewypowiedzianej dobroci, umiłowaniu prawdy, największy autorytet moralny kilku pokoleń był naszym rodakiem. Stanowił żywy obraz cierpienia, niezłomności, pełnego ufności poświęcenia Bogu i drugiemu człowiekowi. Wieczny pielgrzym – orędownik miłości, sprawiedliwości i miłosierdzia. Czesław Miłosz napisał w 1988r. w swym dzienniku: „Na dnie swojej nędzy Polska dostała króla, i to takiego, o jakim śniła, z piastowskiego szczepu, sędziego pod jabłoniami, niewiukanego w skrzeczącą rzeczywistość polityki”. Słowa te w pełni oddają moc Ojca św., który nieustannie dawał świadectwo swej świętości. Do nas należy obowiązek kontynuacji jego dzieła i uczynienia z dorobku, jaki nam pozostawił, dekalogu moralnego... Często zapominamy też o rodzimej kulturze. Spośród państw jednoczącej się Europy wyróżnia nas przecież polski folklor, przede wszystkim kultura góralska i kaszubska – odmienne stroje, dialekty, obyczaje... Pokrzepieniem dla naszych serc jest muzyka Chopina, o której pięknie napisał Cyprian Kamil Norwid: „Rodem warszawianin, sercem Polak, a talentem świata obywatel”, twórczość wieszczów i polskich noblistów, m.

in. Lecha Wałęsy – twórcy Solidarności i symbolu zrzucania przez Europę jarzma komunizmu. Takie myślenie Witold Gombrowicz nazywał „kompleksem polskim”, krytykował tych, którzy będąc na emigracji, starali się przedstawiać nasz kraj jako wspaniały, powołując się wciąż na te same wybitne jednostki. A przecież my niczego nie musimy udowadniać! Wystarczy tylko dostrzec prawdę w starym przysłowiu: „Cudze chwalicie, swego nie znacie” i baczniej przyglądać się naszym przepięknym krajobrazom, bliżej poznać mniej znanych artystów, niesłusznie przemilczanych, nasze bogate dziedzictwo kulturowe. Ignorancja, pesymizm, brak dumy narodowej to najczęściej wynik nieznamomości polskiej historii i kultury. Warto dostrzegać szczegóły, nauczyć się najpierw podziwiać drobnostki, by prawdziwie docenić te najdonioślejsze dzieła. Można zacząć od „małych lokalności” – my – jako wrocławianie – chlubimy się dokonaniem Henryka Tomaszewskiego – twórcy Teatru Pantomimy, nowatorstwem Teatru Laboratorium, założonym przez Jerzego Grotowskiego. Wrocławski z najpiękniejszych w Polsce, mówimy tu najbardziej poprawną polszczyzną (co jest wynikiem przemieszania wielu dialektów, kultur i migracji wewnętrznych), wrocławian uważa się za bardzo otwartych i miłych ludzi. Rozwijamy się kulturalnie, organizując wiele przeglądów, festiwali, do których należy m. in. Wratislavia Cantans lub Festiwal Teatralny Dialog. Czasy świetności przeżywa również Opera Dolnośląska, wystawiająca takie superprodukcje, jak *Aida*, *Carmina Burana*, *Złoto Renu*, *Straszny dwór*, znajdujące widzów wśród melomanów z całej Europy. Nawet wiosna przychodzi do naszego miasta najwcześniej...

II Dolnośląski Konkurs Literacki o Laur Złotego Pióra „My Polacy, My Dolnoślązacy” rok 2006





ZAPRASZAJĄ

MŁODZIEŻ SZKÓŁ ŚREDNICH
ORAZ
3 KLASY GIMNAZJUM



II EDYCJA KONKURSU LITERACKIEGO „My Polacy – my Dolnoślązacy”



dla najlepszych przewidziano cenne nagrody
prace napisane w dowolnej formie należy składać do dnia 18 listopada 2006 r.
bliższe informacje u nauczycieli języka polskiego
bądź pod adresem: www.licuem-wroc.salezjanie.pl

PATRONAT MEDIALNY:



PATRONAT HONOROWY:

Arcybiskup Metropolita Wrocławski - apb Marian Golebiewski
Wojewoda Dolnośląski - Krzysztof Grzelczyk
Marszałek Województwa Dolnośląskiego - Paweł Wróblewski
Dyrektor Wydziału Edukacji Urzędu Miasta Wrocławia - Lilla Jaron

Bogna Konior

Prywatne Liceum Sióstr Niepokalanek, Wałbrzych

WSPÓŁCZEŚNI POLACY W POSZUKIWANIU PATRIOTYZMU NIEROMANTYCZNEGO

Wszystko jest bardziej biało-czerwone niż my. Kiedy szkarłatna krew powstańców styczniowych kontrastowała z bielą ich oczu – byli bardzo biało-czerwoni. Nasza krew to barwy coca-coli, zresztą nie poleje się na ziemię polską, tylko irlandzką albo angielską.

My jesteśmy *made in Poland*, ale zagranicznym mówimy, że jesteśmy z Ukrainy lub z Rosji, byle tylko nie przyznawać się do Sienkiewicza. Jemy zupki chińskie i studiujemy turystykę. Co noc walczymy z koszmarami, jak wszyscy. Co noc przepraszamy Polskę za to, że chcemy ją opuścić.

Szybka analiza personalna, niczym u Joyce'a: On – dwudziestokilkuletni, zawsze chodzi z *Lochami Watykanu* Gide'a pod pachą, żeby ludzie wiedzieli, co czyta – bo nie czyta nigdy *Kodu Da Vinci* albo *Grocholi*, nie, On czyta poważne książki, bo jest trzy w jednym – przystojny, inteligentny i z perspektywami. Kiedyś zapakuje wszystko, co ma, w jeden plecak i pojedzie taksówką na krakowskie lotnisko, powie *bye, bye Poland*, nigdy więcej nie chce cię widzieć, nie będzie całować ziemi ni jeść chleba z solą.

Ona – siedemnaście lat, zawsze w czarnej apaszcze i zielonej koszuli, godzinami szuka swojej przeszłości w bibliotekach, wertując kartki papieru i rozkoszując się zapachem druku. Historię Polski zna jak nikt, najbardziej lubi dwudziestolecie międzywojenne, ale ze sztuki to barok. Z Polski nie wyjedzie, bo nie.

Kupił Jej pierścionek zaręczynowy i klamka zapadła. Kiedy wbił w nią swoje wymowne spojrzenie, niczym miecz Sarmaty (dzie-dziczony z ojca na syna) i poprosił, żeby byli razem, a On kupi domi-no dla ich syna, prosto z Chin.

Poprosiła o polski ślub i ślub był polski. Góralska muzyka i stroje, wesele trwające trzy dni, obrzucanie ryżem i przenoszenie przez próg. Miesiąc miodowy, czyli tydzień w Zakopanem. Później On musiał już wracać do pracy w dziale marketingu, którym Ona gardziła, bo chciała robić w życiu piękne, bardzo piękne rzeczy – pisać książki, słuchać tylko dobrej muzyki, wieczorami robić Mu zieloną herbatę i nie słuchać wiadomości, nigdy, nigdy, nigdy nie rozmawiać o polityce, bo to niszczy miłość.

Potem On dostał nową pracę i przygotowywał reklamy wyborcze, naprawdę kochał swoją pracę, mógł o niej mówić godzinami i mówił często, wtedy Ona krzyczała albo wychodziła na balkon.

Pierwszy raz pokłócili się o godło. Ona podkreślała, że orzeł nosi koronę, On odpowiadał, że to korona Króla Błaznów, tej białej pokraki na tle krwi.

Nie poszli na wybory. Kandydat, dla którego On pracował, przegrał.

Na wiosnę złożył Jej propozycję wyjazdu do Anglii. Mówił, że będzie dobrze, że będzie dom otoczony wierzbami, chodzenie wieczorami do klubu karaoke, a w weekendy na grilla do przyjaciół, jeżeli tylko Ona zgodzi się pojechać. Nie zgodziła się, choć wciąż miała w pamięci nagłówki wczorajszych gazet, wzrost bezrobocia, zapomniany Katyń i pijanych sąsiadów. Chcieli mieć dzieci, On bał się, że Jego syn wyrośnie na Polaka.

Kupili bilet lotniczy. On, w drodze na lotnisko, pełen nadziei wybijał dłońmi rytm o kierownicę, Ona płakała, bo postanowiła, że nie wyjedzie, że poczeka na niego w Polsce. W głębi serca On nie zamierzał wracać. W głębi serca Ona myślała, że wróci.

Znowu zaczęła chodzić do Kościoła – z Nim nie mogła, chociaż przyznawał się do wiary wtedy, gdy mowa była o Janie Pawle II. Wtedy był Polakiem, jakim ona chciała go widzieć – żarliwym patriotą i katolikiem. Chciała, żeby wszystko było inaczej, niż dotychczas.

Nadeszła zima, a On osiągnął sukces w życiu zawodowym. Spotykał się z kobietami w długich, białych sukienkach i rozmawiał

z nimi o dobrych filmach. Nigdy się z nimi nie kłócił, bo żadna z nich nie miała poglądów, o które chciałaby walczyć. Życie miało powoli, bezboleśnie, ciągnąć się jak krakowskie krówki. W Boże Narodzenie przechodził koło polskiego Kościoła i słysząc kolędy w ojczystym języku, przyciągany niczym magnes, po raz pierwszy od dłuższego czasu przekroczył próg Domu Bożego, i wróciły ośnieżone szczyty Tatr, narty w Zakopanem i jej włosy w nieładzie, gdy wracali do schroniska, a ona zdejmowała czapkę. Znow smakował na języku polskie głoski: dż, dż, ż, cz, chciał krzyczeć, chciał ponownie słyszeć ich brzmienie.

Kiedy zadzwonił, przystrajała choinkę. Spytał, jak czuje się ich syn, jak gdyby nigdy nic się nie wydarzyło, i co robią w Sylwestra. Chciała wykrzyczeć mu w twarz wszystkie miesiące, dni, minuty spędzone bez Niego, ale gdy parę dni później stanął w progu jej drzwi, czuła tylko radość z odzyskanego szczęścia.

Wiele lat później żartowali, że wszystkie złe uczucia On zostawił za granicą, i została w nich tylko polska miłość. Godzinami rozmawiali, na nowo poznając siebie jako Polaków i im bardziej polscy się stawali, tym ciężiej było im przyznać się do przeszłości, palił ich wstyd z powodu własnego tchórzostwa. Wreszcie dowiedzieli się, że bycie Polakiem zobowiązuje do bycia odważnym i że patriotyzm jest miarą odwagi.

WSPÓŁCZEŚNI POLACY – W POSZUKIWANIU PATRIOTYZMU NIEROMANTYCZNEGO.

Ja Polak – rocznik 1989, przedstawiciel pokolenia nieskażonego propagandą socjalizmu i komunizmu wzrastający w „nowych, lepszych czasach” uważam, że dziś nie ma już wśród nas patriotów. I nie zmieni mojego zdania w tej kwestii wprowadzenie do słownika pojęć związanych z patriotyzmem wyrażenie – patriotyzm nieromantyczny. Jako punkt odniesienia do sformułowania powyższej tezy przyjąłem poczynione przeze mnie obserwacje współczesnej mi rzeczywistości. Jakże zatem jest prawdziwe oblicze mojego kraju i jego „obywateli”?

patriotyzm [łac. < gr.], postawa łącząca przywiązanie i miłość do ojczyzny oraz solidarność z własnym narodem — z szacunkiem dla innych narodów i poszanowaniem ich suwerennych praw; przeciwieństwo szowinizmu.

(Encyklopedia PWN)

„Jam jest Polska, Ojczyzna twoja, ziemia Ojców, z której wzrosłeś. Wszystko, czymś jest, po Bogu mnie zawdzięczasz.”

Zofia Kossak-Szczucka

„Dekalog Polaka”

„Nie będziesz miał ukochania ziemskiego nade mnie.”

Czym w ogóle jest miłość do ojczyzny? Czy owa miłość jeszcze dzisiaj istnieje? Dziś podstawą jest miłość do pieniądza. Wszystko można sprzedać, wszystko można kupić. Po co więc kochać własną ojczyznę? Nasi przodkowie walczyli o odzyskanie niepod-

ległości, umierali na szafkach, dzieci w tajemnicy uczyły się języka polskiego i polskiej historii. Co robimy my? Posługujemy się potoczną polszczyzną z częstymi „łacińskimi wstawkami”, w przeważającej większości nie znamy podstawowych faktów historycznych. Miejsce tych atrybutów zajęło zabieganie, kariera, dążenie do lepszej przyszłości swojej i swoich bliskich. Walka i miłość do pieniądza.

„Nie będziesz wzywał imienia Polski dla własnej chwały, kariery albo nagrody.”

Ciekaw jestem, jak wielu jeszcze polskich polityków wkroczy do parlamentu polskiego i europejskiego pod sztandarami patriotyzmu, wielowiekowej tradycji i wspaniałej historii Polski po to tylko, by podkreślić wagę swojego znaczenia, podnieść swój status materialny, ugruntować swoją pozycję na arenie politycznej? Jak wielu korzystających ze swobód obywatelskich Polaków przypisze sobie osiągnięcia nielicznych zasługujących na szacunek naprawdę wielkich przedstawicieli naszego narodu? Czy dla przykładu Jan Paweł II chełpił się swoją polskością? On Polakiem był i nie krył swojej miłości do ojczyzny, ale nigdy nie tworzył z niej sacrum, postrzegając swój kraj jako wielką złożoność. Dzisiaj z idei uczyniono oręż do walki z przeciwnikami politycznymi i nie ma to nic wspólnego z etyką i miłością do ojczyzny.

„Pamiętaj, abyś Polsce oddał bez wahania majątek, szczęście osobiste i życie.”

Zadajmy sobie pytanie: Czy ktoś dzisiaj oddałby majątek za Polskę? Może odnaleźlibyśmy wyjątki wśród starszego pokolenia, ale i w to wątpię. Spójrzmy na polityków. To wzorowy przykład łamania tej zasady. Czy znamy jakiegoś polityka, który odda choćby część swojego majątku na rzecz Polski, nie osiągając w ten sposób profitu? „Rozpływające się miliardy złotych, wydarte pieniądze podatników poruszające się w postaci służbowych mercedesów i innych limuzyn dostojników państwowych, ich współpracowników i współpracowników tychże współpracowników. Miliony złotych wydawanych na kampanie wyborcze. Populistyczne reformy pełniące rolę „kiełbasy wyborczej”, a przynoszące więcej strat niż korzyści. Wille, dworki i wystawne domy posłów, senatorów i innych przedstawicieli wła-

dzy, często nie wykazane w zeznaniach majątkowych. Tak oto władze oddają majątek, a przez to szczęście osobiste ojczyźnie. Wielu powie, że przejawem patriotyzmu jest uczciwe płacenie podatków. Jest to jednak tylko nasz obowiązek, którego często nie wypełniamy, odprowadzając pieniądze chociażby za granicę. Właściwie wcale się nie dziwię takiemu zachowaniu, w końcu lepiej, żeby zyskali inni ludzie na zachodzie niż nasz rząd miałby kupić sobie nowy, świetnie wyposażony samochód. Świat niewątpliwie się zmienia, teraz liczy się jednostka, nikt nie odda majątku i szczęścia osobistego (patrz: dobrobyt materialny) dla ojczyzny. Kolejny aspekt to obrona ojczyzny w przypadku zagrożenia z zewnątrz. Problem funkcjonowania armii to także karta przetargowa w polityce. Niedoinwestowanie, korupcja, „fala” to zjawiska, które skutecznie podkopały autorytet służby wojskowej.. Czy każdy młody człowiek chce zostać rekrutem? Do lekarzy ustawiają się kolejki po zwolnienia ze służby wojskowej w czasie pokoju. Co więc stałoby się w czasie wojny? Wystawilibyśmy na front kombatantów? O tym, mam nadzieję, nie przekonamy się zbyt szybko...

„Czcij Polskę, Ojczyznę twoją, jak matkę rodzoną.”

Dziś coraz częściej wyrzekamy się swojej ojczyzny. Przyjmujemy obywatelstwa innych krajów, zrzekamy się obywatelstwa polskiego w celu uzyskania lepszej pracy, pokonania kolejnego stopnia w karierze. Mieszane pary, w których jeden z rodziców jest Polakiem, często wybierają obce obywatelstwo dla swojego dziecka. Wyrzekamy się naszej matki, nie siląc się na podanie jakiegokolwiek powodu. Inne wyrodne dzieci żerują na swojej matce, czyli na ojczyźnie, tak długo jak jest im to potrzebne do ukończenia nauki, osiągnięcia odpowiednich kwalifikacji. Jak już to dostaną, wyjeżdżają, by poświęcić swoją pracę dla dobra i rozwoju innego państwa.

Z wrogami Polski walczyć wytrwale do ostatniego tchu, do ostatniej kropli krwi w żyłach twoich.”

Żyjemy w czasach względnego pokoju. Co prawda na historii Polski odcisnęło się piętno cierpień wojennych, ale z każdym pokoleniem jest coraz mniejsze, chociaż powinniśmy o nim pamiętać. Tym

bardziej, że coraz częściej jesteśmy świadkami prezentacji kontrowersyjnych i niebezpiecznych poglądów. Jak bowiem interpretować wystąpienie pewnego polskiego posła do Europarlamentu popierające działania generała Franco w Hiszpanii? Jak mamy zaakceptować otwarte poparcie faszyzmu, którego erupcja doprowadziła do cierpień wielu milionów Polaków? Poparcie nazizmu i jego elementów reprezentują, np.: grupy skinów. To z czym walczyli nasi dziadkowie, coraz częściej jest akceptowane we współczesnym społeczeństwie. Kiedyś każdy mały chłopiec chciał zostać bohaterem ojczyzny, wielu z nich stawało się nimi, walcząc na wojennych frontach czy też przeciwstawiając się totalitarnym reżimom. Dziś pragnienie walki zaspokajają gry komputerowe. Każdy mały chłopiec może postrzelać we własnym domu, uratować zabłąkaną planetę w kosmosie czy porwany przez terrorystów statek., jeśli oczywiście ma na to ochotę... Po co komu ojczyzna...

„Walczyć z własnym wygodnictwem i tchórzostwem. Pamiętaj, że tchórz nie może być Polakiem.”

Tchórz nie może być Polakiem. Zastanawiające. Przeanalizujmy, np. „syndrom polskiego studenta”.

Polski student przebywa ciężką drogę edukacji w swojej ojczyźnie, po czym po zdobyciu wiedzy i umiejętności wyjeżdża do USA, Irlandii lub innego zachodniego kraju. Mało kto ma odwagę zostać w Polsce, jeśli kwalifikacje pozwalają mu uzyskać lepszą pracę za granicą. Mało kto ma odwagę, by założyć nową firmę, spróbować zrobić coś w Polsce. Problem wciąż narasta. Dzisiaj z Polski oprócz studentów wyjeżdżają też pielęgniarki, lekarze, nauczyciele i przedstawiciele wielu różnych zawodów. Wszyscy oni są w pewnym stopniu tchórzami. Nikt nie walczy z tchórzostwem, każdy dąży do własnej wygody, zapominając o ojczyźnie, w której rozpoczął drogę swojego życia i której być może jest coś winien. Tego rodzaju kategorie myślenia traktowane są jako przejaw braku życiowego sprytu, próbę usprawiedliwienia swojej nieudolności i paradoksalnie tchórzostwa, które nie pozwala opuścić rodzinnego kraju.

„Bądź bez litości dla zdrajców imienia polskiego.”

Do kanonu nowoczesnych zachowań wkroczyła w świetle prawa zdrada. Nikt dokładnie nie wie, ile miliardów złotych straciło państwo chociażby na nieuczciwych prywatyzacjach, w których zagraniczne firmy wykupywały polskie przedsiębiorstwa za bezcen, zapewniając jedynie odpowiedni profit kilku „potrzebnym osobom”.

Nieprzeprowadzona w odpowiednim czasie lustracja rodzi bolesne, społeczne konsekwencje. Brudy wyciągają na wierzch ludzie postronni lub jeszcze więksi winowajcy. Teczki stały się orężem politycznym, usuwani są wybrani zdrajcy, a wielu innych pozostaje u władzy. Skuteczna lustracja powinna być przeprowadzona już dawno temu, teraz będzie tylko bronią na niepokornych, przeciwstawiających się dążeniu do nowego ustroju państwa polskiego – „totalitarnej demokracji”.

„Zawsze i wszędzie śmiało stwierdzaj, że jesteś Polakiem.”

Ciekawe, ilu z nas bez zastanowienia powie za granicą, że jest Polakiem. Wielu na pewno będzie chciało uniknąć oddziaływania stereotypów tak rozpowszechnionych wśród innych narodów. Dziś „bycie Polakiem” nie dla wszystkich jest czymś wyjątkowym. W dobie integracji wygodniej powiedzieć, że jest się Europejczykiem. Uniknąć opowieści o dzisiejszej sytuacji w Polsce.

„Nie dopuść, by wątpiono w Polskę.”

We współczesnej Polsce nikt nie wątpi w: korupcję, biurokrację, dziurawe drogi, słabą infrastrukturę, zacofanie terenów wiejskich, mierną opiekę zdrowotną, dziurę budżetową, walkę o władzę, problemy oświatowe, wysokie bezrobocie, brak mieszkań i perspektyw. Nie dopuszczamy, by ktokolwiek wątpił, że coś się zmienia...

„Nie pozwól, by ubliżano Polsce, poniżając Jej wielkość i Jej zasługi, Jej dorobek i Majestat.”

Polacy właściwie nie starają się walczyć ze stereotypem postrzegania nas przez inne nacje. Wstydzimy się trochę, ale jednocześnie nie czujemy się odpowiedzialni za innych. Jeśli ktoś jest pracowity i uczciwy, to dla indywidualnego zysku, a nie dla marki

– Polska. Wiele prawd historycznych ulega zatarciu, tytuły „Polskie obozy koncentracyjne” ukazujące się w rocznicę wyzwolenia obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau w zachodnich gazetach, nie są dostrzegane nawet przez wszystkich Polaków, a co dopiero przez inne narodowości. Większość Brytyjczyków utożsamia obozy koncentracyjne właśnie z Polską. Jeśli nie zaczniemy dbać o prawdę historyczną, za 20 lat podręczniki będą mówić o polskich obozach prowadzonych przez Polaków. Mało kto wie, że powodzenie Rewolucji Francuskiej w dużej mierze zależało od wybuchu Powstania Kościuszkowskiego. Nie wszyscy nawet wiedzą, że to przemiany w Polsce rozpoczęły upadek komunizmu. Sami nie dbamy o naszą historię, więc jak możemy wymagać tego od innych? Pozwalamy na uznawanie Chopina za Francuza, pozwalamy na wyjazd polskich naukowców do USA i dokonywanie nowatorskich odkryć pod obcym szyldem. Centralne położenie Polski nie czyni jej już centrum handlu i połączeniem Europy wschodniej i zachodniej. Jest miejscem tranzytu narkotyków, nielegalnego alkoholu, papierosów, ludzi itp. Niekorzystne jest miejsce Polski w różnych badaniach międzynarodowych, mówi się o wysokiej korupcji, nadmiernej biurokracji. Tak widzą nas inni. To obraża całego dorobku Polski. Jej wszystkich dokonania zapisanych na kartach historii.

Trudno mi uwierzyć, że w kraju, który niegdyś dla wielu nacji był wzorem walki o wolność i niepodległość, który nie zaginął pomimo 123 lat niewoli, pojęcie patriotyzmu zmalało prawie do zera. Nie sądzę, by wprowadzone do szkół wychowanie patriotyczne cokolwiek w tej dziedzinie zmieniło. Najlepiej wychowuje się poprzez odpowiedni przykład, a młodzi Polacy tego przykładu, niestety, nie mają. Uważam, że moja ojczyzna powoli, lecz nieuchronnie zbliża się do szczytowego punktu kryzysu wartości. Gdzie się podziałła nasza narodowa duma? Dlaczego nie potrafimy dostrzec w naszym kraju tego, co w nim dobre i piękne? Dlaczego ciągle musimy naśladować inne, zapożyczone wzorce? Przecież nie można bez końca krytykować tego, co zrobiliśmy źle, rozdrapywać rany, szukać winnych. Nadszedł czas budowy, patrzenia w przyszłość. Jeśli pokolenie naszych rodziców nie zda sobie sprawy z faktu, że nasze postawy

zależą od ich decyzji, czy można być dumnym z tego, że jest się Polakiem, to my staniemy się kolejnym pokoleniem straconym. Pokoleniem bezpaństwowców, którzy pozbawieni silnych korzeni będą się stawać mało znaczącym elementem zachodniej Europy. Musimy to zmienić. Może się uda, bo wierzę, że dostrzeżenie zagrożenia jest jednoznaczne z działaniem przeciwko niemu. Jedną z możliwych dróg jest poszukiwanie patriotyzmu nieromantycznego. Trzeba się będzie sporo natrudzić, by pokochać swoją ojczyznę i odbudowywać nadwątlone więzi głównie poprzez pracę, a będzie to praca od podstaw. Ponownie nadszedł czas siłaczy i siłaczek. Chciałbym, aby tacy Polacy pełni poświęcenia i wiary w odrodzenie ducha polskiego patriotyzmu stanęli na mojej drodze. Może i mnie zdołaliby uratować.

Maria Niesobka

Liceum Ogólnokształcące, im. Jana III Sobieskiego w Oławie

*„ Bo czymże jest uczucie do kraju, jeżeli nie wyolbrzymionym uczuciem dla matki?
I czymże trwoga o losy własnego kraju, jeżeli nie wyolbrzymioną troską o los matki,
o jej zdrowie i życie? To też powiedział Demostenes ludowi ateńskiemu.
I nam. Czy rzeczywiście nam?”*

O MIŁOŚCI OJCZYZNY GARŚĆ MYŚLI Z SERCA WYDOBYTYCH.

Demostenes jest dla mnie jedną z najjaśniejszych postaci starożytnej Grecji. W obliczu zagrożenia ze strony władcy macedońskiego Filipa IV i utraty niepodległości w swych słynnych mowach wzywał Hellenów do zjednoczenia i walki z wrogiem. Nie pogodził się z przegraną. Wolał śmierć, niż życie w zniewoleniu.

Czy ten starożytny mówca mógłby nauczyć patriotyzmu ludzi mojego pokolenia? W czasie gdy takie wartości jak patriotyzm schodzą, zdawałoby się na margines życia, te słowa o potrzebie miłości ojczyzny, która jest naszą ziemską matką, powinny zabrzmieć na nowo w naszych uszach, zapaść głęboko w naszej pamięci, poruszyć nasze serca. Zresztą, myśląc o ojczyźnie, przywołuję z mojej pamięci setki „polskich demostenesów”, m. in. ks. Piotra Skargę, młodzież Powstania Warszawskiego, Ojca św. Jana Pawła II. Szczególnie nauczanie naszego Papieża w odniesieniu do ojczyzny cenię bardzo wysoko i pragnę, by było drogowskazem po ścieżkach mojego życia.

Kiedy oglądam album z pielgrzymek Jana Pawła II do Polski, to wzrok mój zatrzymuje się często na zdjęciu powitania Ojczyzny. Klęczący Papież pochyla się i całuje skrawek warszawskiego lotniska. Ten gest jest jakże wymowny. Wydaje się, jakby Ojciec

św. chciał rękoma objąć całą naszą ojczystą ziemię i przytulić każdego, kto na niej mieszka.

Pod zdjęciem widnieją słowa Papieża:

„Pocałunek złożony na ziemi polskiej ma dla mnie sens szczególny. Jest to jakby pocałunek, złożony na rękach matki – albowiem Ojczyzna jest naszą matką ziemską”.

Mam też w pamięci inny obraz. Lato 2006. Przystanek Wodstock. W radiu słyszę wywiad z młodym uczestnikiem tej corocznej imprezy. Na pytanie dziennikarza, co znaczy dla niego Polska, odpowiada: „Nic”. W tym momencie jednak waha się. Jakby resztką zagruzowanego sumienia chciała odezwać się w jego duszy. Niestety, zbyt przytłoczona, nie miała szans wydobyć się. Młody Polak powtarza. „Tak, Polska nie znaczy dla mnie nic.”

Ze wstydem pochylałam głowę w imieniu całego mojego pokolenia. Jesteśmy „synami marnotrawnymi”, będącymi w połowie drogi. Właśnie trwonimy ojcowski majątek. Ale Ojciec św. w nas wierzył. Powiedział, że jesteśmy przyszłością narodu. Wiedział, że zmądrzejemy.

Tak mógłby brzmieć nasz rachunek sumienia względem przykazania miłości Ojczyzny:

„Polska jest matką szczególną, matką, która wiele przecierpiała i wciąż na nowo cierpi.

Dlatego też ma prawo do miłości szczególnej” (Jan Paweł II)

- Czy ojczyźnie, tak jak matce, dziękuję za dar życia?
- Czy pamiętam jej troskę o moje zdrowie, wychowanie, wykształcenie i życie w pokoju?
- Czy troszczę się o piękno polskiej mowy?
- Czy okazuję jej wdzięczność, oddając jej wszystko, co mam najlepsze: zdrowie, talenty, siły?
- Czy ulegam pokusie poszukiwania łatwiejszego życia poza nią?

Bez ojczyzny, jak bez powietrza, ciepła i światła, człowiek, choć

ucywilizowany, nie może żyć. Staje się karłem w swoim człowieczeństwie.

Góry zawsze wprawiały mnie w podziw i zadumę. Myślę, że miał rację ten, kto powiedział, że trzeba iść wysoko w góry, aby dotrzeć do swego wnętrza, aby usłyszeć bicie swego serca. Przywołuję w pamięci moje kochane, ojczyste krajobrazy z górskich szlaków, miejsca, które kocham i do których powracam, aby zaczerpnąć nowy oddech do życia. Głęboko w sercu noszę przepiękny widok rozpościerający się ze Śnieżki na całe Karkonosze, gdy wyteżałam wzrok, by rozpoznać poszczególne szczyty, zimny wiatr muskający po twarzy, zbawczy chłód kryształowej wody górskiego potoku, przynoszący orzeźwienie umęczonemu ciału, odgłos kroków, wybijający doskonały rytm, gdy wraz z towarzyszami wchodziłam po głazach-schodach na szczyt. Wspomnieniami sięgam do Różanki – małego, urokliwego zakątku, gdzieś na końcu świata. Uśpiony w śnieżnej powale las tkwiący w bezruchu, zakłęty niby w bajce i nasz wesoły kulig, burzący cały zorganizowany przez naturę porządek.

Mam też krajobrazy dnia powszedniego. Z okna mojego domu rozpościera się widok na kościół parafialny, z metalowym krzyżem, wyrastającym z nieregularnej kopuły dachu, dalej na rynek i całe moje miasto osiadłe między dwoma, wijącymi się rzekami. To jest moja mała ojczyzna.

Tu chciałabym pozostać na zawsze.

Jest takie miejsce w naszej Ojczyźnie, które jednoczy wszystkich Polaków poprzez wszystkie pokolenia naszych dziejów. Myślę o Jasnej Górze. Każdorazowo, gdy klękam w kaplicy przed cudownym obrazem Czarnej Madonny, odczuwam jakąś dziwną łączność duchową z całą rzeszą najlepszych synów i córek narodu, którzy przybywali tu po radę, pokrzepienie serc, by po prostu oddać swe życie w dłonie Królowej Polski. Modląc się, mam świadomość, że klęczał tu Jan III Sobieski przed wyprawą wiedeńską i wielu innych królów i rządzących naszym krajem. Wielokrotnie nawiedzał to miejsce też Jan Paweł II, powierzając Maryi Polskę i cały świat.

To właśnie tutaj serce Polaków bije jednym tonem. Myśląc o przeszłości, „włączamy się w długi szereg pokoleń, by przekazać następnym wspólne dobro – Ojczyznę”. (Jan Paweł II).



III Dolnośląski Konkurs Literacki o Laur Złotego Pióra „My Polacy, My Dolnoślązacy” rok 2007





ZAPRASZAJĄ
MŁODZIEŻ SZKÓŁ ŚREDNICH
ORAZ
3 KLASY GIMNAZJUM

III EDYCJA
KONKURSU
LITERACKIEGO

„MY POLACY - MY DOLNOŚLĄZACY”

dla najlepszych przewidziano cenne nagrody

prace napisane w dowolnej formie należy składać do dnia 19 listopada 2007 r.
bliższe informacje u nauczycieli języka polskiego
bądź pod adresem: www.licuem-wroc.salezjanie.pl

PATRONAT MEDIALNY :



PATRONAT HONOROWY :
Michał Ujazdowski – Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Krzysztof Grzelczyk – Wojewoda Dolnośląski
Rafał Dutkiewicz – Prezydent Miasta Wrocławia
ks. Marian Gołębiewski - Arcybiskup Metropolita Wrocławski
ks. Stefan Cichy - Biskup Legnicki
ks. Ignacy Dec – Biskup Świdnicki

Edyta Butrym
Gimnazjum nr 5 w Legnicy

NASZE POKOLENIE - RODZICE XXI WIEKU

Drogi Andrzeju!

Piszę do Ciebie ten list, bo tak naprawdę jesteś jedyną osobą, której mogę się wyżyć i zwierzyć. Jesteś moim jedynym prawdziwym przyjacielem i żałuję, że mieszkasz tak daleko. Piszę do Ciebie, ponieważ mam problem. Innym może on się wydawać błahy, ale dla mnie jest twardym orzechem do zgryzienia.

Cały problem tkwi w moich rodzicach. Z pozoru stwarzamy normalną, kochającą się rodzinę, której niczego nie brakuje, lecz wiesz, że pozory mylą. Moja mama jest tak zwaną kobietą biznesu. Dla niej liczą się tylko kosmetyki, ubrania i dobra opinia w oczach innych ludzi. Ciągłe nie ma jej w domu, bo uważa, że musi pracować, aby nam żyło się lepiej.

Tylko co to jest za życie? Rodzice zawsze dbali, aby mi niczego nie brakowało. Nauczyli mnie systematyczności i obowiązkowości i dzięki nim dobrze się uczę. Od dziecka poznaję trzy języki, bo tato uważa, że są one podstawą dobrego startu w życiu.

Oprócz lekcji językowych mam jeszcze inne zajęcia pozalekcyjne, czasu ledwo starcza mi na naukę. Oczywiście rodzice pilnują, czy mam odrobione lekcje i kontrolują moje oceny. Jestem im za to wdzięczna. Wiem, że chcą, abym coś w życiu osiągnęła, szczerze dziękuję im za to, że nigdy niczego mi nie brakowało i pewnie nie zabraknie. Lecz zapewnienie dobrego startu w życiu i posiadanie pieniędzy to naprawdę nie wszystko. Otaczająca mnie rzeczywistość jest ponura. Mam markowe ubrania i wielu ludzi mi ich zazdrości. Zwiedzam odległe kraje, ponieważ moi rodzice lubią podróżować. Lecz dla mnie to nie ma jakiejś wielkiej wartości. O wiele bardziej wolałbym pojechać z grupą znajomych nad jezioro. Lecz prawdzi-

wych przyjaciół również nie posiadam. Nie jestem osobą mało towarzyską, ale żeby mieć przyjaciół, trzeba mieć dla nich czas. Trzeba się spotykać po szkole i po prostu być razem. Nie mogę sobie na to pozwolić. Jestem przecież nastolatką XXI wieku! Muszę więc, jak moi rodzice, pracować, pracować, pracować.... Przychodzę do domu, idę do miasta coś zjeść, bo moja mama uważa, że gotowanie nie jest jej powołaniem. Potem zawsze jakieś zajęcia i nauka... „Musisz być najlepsza”! – mówi moja mama, przecież ty również będziesz matką XXI wieku! A ja..., a ja tak nie chcę! Chyba pisałam Ci o Michale, prawda? Rozstaliśmy się, ponieważ nigdy nie miałam dla niego czasu. Bardzo to przeżyłam, bo naprawdę mi na nim zależało. Teraz jestem nieszczęśliwa, nie mam przyjaciół, nie mam rodziców, z którymi mogłabym podzielić się swoimi problemami. Wysokie kieszonkowe, markowe ubrania, dalekie podróże..... wiele osób o tym marzy. A to wszystko jest tak bezwartościowe i tak beznadziejne. Co mi po tym wszystkim? Z zazdrością patrzę na koleżanki i kolegów z klasy, którym pozwolono... po prostu żyć. A mnie ludzie postrzegają jako rozpuszczoną panienkę, która ma kasę. I zapewnioną świetlaną przyszłość. „A przecież miał być lepszy od innych, wiek XXI” – pisała poetka. Może i miał, ale z pewnością nie jest... Nie chcę tak żyć! Mam dość nieustannego pędu, wyścigu szczurów, nienawiści i podłości. Chcę mieć czas na życie, na przyjaźń, na miłość... Z rozrzewnieniem czytam książki, oglądam filmy traktujące o młodości moich rodziców, dziadków... Ich życie było lepsze, piękniejsze, dobre. Ich młodość pozbawiona była zupełnie tej presji, której, tak naprawdę, podlegają dziś wszyscy młodzi ludzie. Ich życie pozbawione było nieustannego strachu o przyszłość. Nieustannego lęku o to, jaka ona będzie? Czy przypadkiem nie gorsza, niż tej głupiej Hanksi z trzeciego bloku? To by dopiero była porażka... Mam dość, czasami „myślę, że urodziłam się za późno, że ta epoka, to nie moja epoka, ten wiek, to nie mój wiek, to życie, to nie moje życie...”

Dążenie do wzbogacenia się za wszelką cenę, chęć zaimponowania swoim znajomym, fałszywe przyjaźnie to w XXI wieku wartości, a w zasadzie antywartości, które możemy spotkać na każdym kroku. Nie ma miejsca na przyjaźń, prawdziwą miłość, nie ma czasu

na „bycie razem”, poznawanie się, zdobywanie zaufania, szacunek...

W dzisiejszych czasach dziecko tak bardzo szybko musi stać się dorosłym.

Nie chce być matką XXI wieku! Będę starała się swoim dzieciom poświęcać jak najwięcej czasu i uwagi. Nauczę ich tego, czego nie nauczyli mnie moi rodzice, nauczę ich kochać i współczuć. Dla mojego taty i mamy te wartości nie mają znaczenia. Pieniądz nimi rządzi. Próbowалам ich zmienić, ale poddałam się, wiem, że to nie ma sensu. Moja rodzina będzie się kochała, nie będziemy mieć przed sobą tajemnic, a wspólne spędzanie razem czasu stanie się dla nas czymś zwyczajnym. Nie mogę popełnić błędów swoich rodziców. Niektórzy mogą pomyśleć, że przesadzam, że rodzice mają rację i chcą mojego dobra, ale ja wiem, że tak naprawdę wcale się dla nich nie liczę, patrzą na mnie i kształtują mój obraz na swoje podobieństwo. Stanę się dla nich wartością wtedy, gdy się do nich upodobnię.

Wiem, że ty mnie nie zawiedziesz Andrzej. Liczę na to, że znajdziesz jakąś radę i zasugerujesz mi, jak mam dalej w życiu postępować. Bo dołożę wszelkich starań, aby nie pójść w ślady moich rodziców. Rodziców XXI wieku...

Edyta

*„Ojczyzna – kiedy myślę – wówczas wyrażam siebie i zakorzeniam”
(Jan Paweł II).*

O NASZYM ZAKORZENIENIU W DOLNOŚLĄSKIM MIKROKOSMOSIE.

Dzień. Słońce spokojnie przesuwają się po horyzoncie, robi się coraz ciemniej, za oknem widać złote liście, spadające z drzew, toczące się po brudnym, mokrym asfalcie. Jesień. Uwielbiam tę porę roku, ten lekki powiew wiatru na mej twarzy, gdy wychodzę na spacer i po raz enty przechodzę obok tych samych bloków, tych samych starych, zniszczonych klatek schodowych. Czasem, gdy nie chce mi się dalej iść, siadam na murku z czerwonych cegieł, tuż obok pustego budynku, który owiany jest mgłą tajemnicy. Nikt, włącznie ze mną, nie wie, co znajdowało się w nim kiedyś, ale może niewiedza jest najlepszym rozwiązaniem?

Siedząc i lekko tupiąc nogami o czarną, nieznacznie porośniętą trawą ziemię, zastanawiam się nad swoim przyszłym losem. Pójdę do liceum, zdam maturę, to oczywiste. Będę zdawać na studia, waham się między polonistyką, a germanistyką, ale to drugie chyba wiąże się z wyjazdem za granicę? Nie w moim przypadku. Nie dam się wpędzić w puste stereotypy, że „wszędzie jest dobrze, tylko nie w Polsce”, nie dam mydląc sobie oczu wysokimi płacami, fantastycznymi warunkami i groźbami typu „jesteś młoda, uciekaj, tutaj nic nie osiągniesz!”. Osiągnąć można prawie wszystko, gdy tylko się tego naprawdę chce – myślę i wyrzucam poszarpany liść, który bezwiednie gniotłam w dłoni przez bite pół godziny, kiedy to oderwałam się od rzeczywistości.

Już ciemno. Błyskają latarnie wrocławskich ulic, zapalają się neony tutejszych moteli, zachęcając ludzi do noclegu. Takie motele zapewne mają wysoki utarg – rozmyślałam – przecież Wrocław jest

pięknym miastem, które kusi turystów. Kusi swoją historią, własnymi tradycjami i przepięknymi zabytkami, które, gdyby miały oczy, oślepiłyby od ciągłych błysków, wytwarzanych przez flesze aparatów. Sama mam kilka zdjęć z wrocławskimi zabytkami. Najbardziej lubię to z pomnikiem Aleksandra Fredry, zrobione w Rynku, na którym jestem z moją dotychczasową przyjaciółką. Miałam wtedy pięć lat. A może sześć? Nie mam pojęcia, nikt nie podpisał tego zdjęcia z drugiej strony, nawet nie wiem, kto je zrobił.

Zbliżam się do domu, znowu przechodzę obok starego budownictwa, czuję lekki powiew wiatru, a za chwilę delikatne krople deszczu. Wiatr się wzmacnia, liście mokną, ich kolor powoli się zmienia, już nie są złote, lecz brązowe, mieszają się z brudną ziemią. Szybko wbiegam do bramy, zdejmuję kaptur i powoli zmierzam ku drzwiom, przez które przechodziłam miliardy razy, które w pewien sposób stały się dla mnie majestatem. Takie głupie przyzwyczajenie, a przywołuje tyle wspomnień, aż chciałoby się uściskać te drzwi i podziękować, że są ze mną już tyle czasu.

Wyciągam z kieszeni klucz, wchodzę do mieszkania. Cisza. Dziwne, o tej porze zawsze był już ktoś w domu – myślę i idę do kuchni, bo strasznie zgłodniałam. Siadam w fotelu w pokoju rodziców z kanapką w dłoni i zastanawiam się, jak zabić czas, który pozostał mi do przyścia rodziców. Udziela mi się nostalgiczny nastrój, jest dopiero siedemnasta, a na dworze już mrok. Może ktoś zarzucił na nas czarne, grube płótno? Blask latarni kontrastujący z czernią nieba razi w oczy, wiatr delikatnie postukuje w szyby, widać ludzi uciekających przed deszczem.

Wspinam się na krzesło tuż obok szafy rodziców, otwieram górną szafkę, wyciągam albumy ze zdjęciami. Lubię wspominać. Z przyjemnością oglądam siebie jako małego oseska, jako pięcioletnią blondyneczkę i już jako piętnastolatkę z masą problemów i planów na przyszłość. Albumy są bardzo obficie wypełnione zdjęciami. Przesuwam między palcami te małe, przyjemne w dotyku, śliskie kartoniki i oglądam moją rodzinę, znajomych oraz samą siebie. Fotografie są różne: małe, duże, czarno-białe, kolorowe, zniszczone, nowe, a co najważniejsze – na każdej uchwycony jest chociaż kawałek miejsca,

w którym autor zdjęcia się znajdował. Widzę Ostrów Tumski, domek w Trzebnicy, gdzie byłam kiedyś z kuzynką przez całe wakacje, czerwono-żółty przystanek w Biestrzykowie, wielki targ w Berlinie, luna-park w Wiedniu, zdjęcia rodziców z Bułgarii... Ku memu zaskoczeniu dochodzę do wniosku, że na zdjęciach z zagranicy wyglądam gorzej – widać na mojej twarzy dziwny grymas, który pierwotnie miał przypominać uśmiech. Widocznie Polska mnie potrzebuje i tutaj czuję się najlepiej – mówię cicho na głos, zamykając ostatni album i słysząc nerwowy szmer w zamku.

Wrócili rodzice. Niby nie powinno mnie to dziwić, ale nigdy nie wracali razem. Może się umówili po pracy? – próbuję samą siebie uspokoić, ale jednak czuję wewnętrzny przestach – coś musiało się stać – przemyka mi przez głowę, gdy widzę zmęczone spojrzenie mamy. Zaofiarowałam się i zrobiłam kolację. Z nerwów prawie wylałam gorącą herbatę i już wyobrażałam sobie rozlany brązowy płyn na białej posadce, gdy w porę utrzymałam równowagę i herbata pozostała w szklanych kubkach, parując wesoło. Przyniosłam danie rodzicom, położyłam na bukowym stoliku przed nimi i czekałam na rozwój sytuacji. Kazali mi usiąść, usiadłam na rogu sofy i przyglądałam im się z ciekawością. Nikt się nie odzywał, wydawało mi się, że rodzice kłócili się spojrzeniami, bo żadne z nich nie chciało otworzyć ust. Panowała cisza. Dla mnie była to cisza złowroga, niczego tak się nie boję jak niewiadomego.

Widząc moje zniecierpliwienie, odezwał się ojciec: przeprowadzamy się... – zaczął niepewnie, przysuwając do siebie kubek z miętową herbatą, którą przed chwilą zaparzyłam z nadzieją, że nic złego się nie stanie. Serce mi drgnęło, wewnętrzności zaczęły krzyczeć: nie ma mowy! nie wyjadę stąd!, ale ciało pozostało w bezruchu, nawet nie mrugnęłam okiem. Miałam wrażenie, że ktoś właśnie rzucił mną o podłogę i zabronił wstać. Dokąd? – zapytałam obojętnym tonem, czując, że cisnące się do oczu łzy rozsądzą mi czaszkę. Do Niemiec, do Berlina, dostałam tam pracę, wysokie zarobki, mamy załatwione mieszkanie. Jedziemy za dwa tygodnie, muszę załatwić wszystkie formalności, a Ty powoli się do tego przygotuj – odpowiedział jednym tchem i szybkim krokiem wyszedł z pokoju, nie chciał widzieć mojego

cierpienia. Spojrzałam na mamę, unikała mojego wzroku. Nie wytrzymałam, pobiegłam do swojego pokoju i z całej siły trzasnęłam drzwiami. Prawie wypadła szyba.

Nie wiem, co się dzieje, patrzę na zegarek. Piąta rano. Chyba usnęłam wykończona płaczem. Wlokę się do okna, widok drzew kiwających się na dworze zawsze mnie uspokaja. Opieram się o parapet, nogi kładę na krześle, dopijam resztki wczorajszej herbaty, bo zaschło mi w gardle. Herbata... Przypominam sobie wszystko, całą wczorajszą rozmowę, a raczej te krótkie zdania wypowiedziane przez ojca, które wbiły we mnie mnóstwo szpilek. Co z moimi planami na przyszłość? Co z moimi przyjaciółmi?! Mam to wszystko zakończyć? Nie poradzę sobie w Niemczech. Targają mną wątpliwości, serce chyba gdzieś uciekło. Właśnie rozsypały się puzzle, które tak skrupulatnie i sukcesywnie układałam przez całe życie. Nigdzie nie wyjadę...

Biegnąc na dworzec, prawie się potykam, rodzice już czekają z bagażami. Jestem cała zapuchnięta, czerwona od płaczu, przed chwilą żegnałam się ze wszystkimi wiele znaczącymi dla mnie ludźmi. Tak mi ciężko, kurtyna mojego życia opadła, a ja się w nią zaplątałam. Wsiadamy do pociągu Wrocław-Berlin. Patrzę na Polskę, moją kochaną jedyną Polskę i na Wrocław – piękne miasto, w którym się urodziłam. Przypominają mi się słowa Jana Pawła II „Ojczyzna – kiedy myślę – wówczas wyrażam siebie i zakorzeniam” i obiecuję sobie, że zawsze będę pamiętać o mojej Ojczyźnie, o wrocławskim Rynku, o pomniku Fredry...

Minęło 5 lat. Jestem dorosła, dobrze nam się powodzi, ojciec faktycznie zarabia dużo więcej niż w Polsce. Poznałam wielu nowych ludzi, mój niemiecki jest fantastyczny, wsiąkłam w kulturę niemiecką jak woda w gąbkę. Zapinam torbę, zakładam pośpiesznie buty, żegnając się z rodzicami, mama oplata mnie szalikiem. Obiecuję, że będę dzwonić, oni obiecują, że przyjadą, gdy tylko będą mogli. W rękę trzymam bilet, gniotę go lekko, strach miesza się ze szczęściem, obawy z podnieceniem, chociaż najwięcej we mnie radości. Der Zug Berlin-Breslau fährt vom Bahnsteig 5 in 5 Minuten ab – słyszę i wsiadam do wyznaczonego pociągu, który zawiezie mnie tam, gdzie moje miejsce.

Postanawiam z dworca iść na piechotę. Mijam znane mi bramy, co chwilę widzę żółto-czerwone autobusy, którymi codziennie jeździłam do szkoły. Znowu moja ulubiona pora roku, znowu złote liście wskakują mi pod nogi, a ziemia brudzi podeszwy. Wyciągam klucz, otwieram drzwi. Znów jestem u siebie. Marzenia powróciły, nadal mam plany do zrealizowania i nie mam już dylematu między germanistyką, a polonistyką. Wybieram to drugie, niemiecki będzie moją cichą pasją.

Usta się śmieją, oczy płaczą. Rozglądam się po domu, nic się nie zmieniło, nawet szklanki na dolnej półeczce ustawione są tak samo jak przedtem. Jedyne co uległo zmianie to drzwi – lokatorzy mieszkający pod naszą nieobecność wymienili je na nowe z niewiadomych przyczyn, nie zmienili jednak zamków. Nawet nie rozpaczam, widocznie tak musi być – nowe życie, nowe drzwi. Ponownie zakochuję się w tym kraju, w tym mieście, czuję zapach dolnośląskiego powietrza, przypominam sobie moje rozmyślenia na murku z czerwonych cegieł i chce mi się śmiać. Jednak spełniłam moje dziecinne obietnice, nie rzucałam słów na wiatr i wróciłam – myślę i stoję obok parapetu z kubkiem herbaty – ten nawyk jest dla mnie niemalże liturgią, wszedł mi w krew. Balansowanie na krawędzi było kiedyś moją specjalnością, teraz jednak wiem, że warto się usatkwować, wiem, że każdy ma gdzieś swoje miejsce na świecie – moim miejscem jest Polska, Dolny Śląsk, Wrocław.

A za oknem widać złote liście, spadające z drzew, toczące się po brudnym, mokrym asfalcie...

IV Dolnośląski Konkurs Literacki o Laur Złotego Pióra „My Polacy, My Dolnoślązacy” rok 2008



IV EDYCJA KONKURSU LITERACKIEGO O LAUR ZŁOTEGO PIÓRA



**ZAPRASZAJĄ
MŁODZIEŻ SZKÓŁ ŚREDNICH
ORAZ
3 KLASY GIMNAZJUM**

**MY POLACY
MY DOLNOŚLĄZACY**

dla najlepszych przewidziano cenne nagrody

prace napisane w dowolnej formie należy składać do dnia 19 listopada 2008 r.
bliższe informacje u nauczycieli języka polskiego
bądź pod adresem: www.licuem-wroc.salezjanie.pl

PATRONAT MEDIALNY :



PATRONAT HONOROWY :

Marek Łapiński - Marszałek Województwa Dolnośląskiego
Rafał Dutkiewicz - Prezydent Miasta Wrocławia
Lila Jaroń - Dyrektor Wydziału Oświaty UM Wrocławia
ks. Marian Gołębiowski - Arcybiskup Metropolita Wrocławski
ks. Stefan Cichy - Biskup Legnicki
ks. Ignacy Dec - Biskup Świdnicki

ks. Bolesław Kaźmierczak - Inspektor Inspektorii Świętego Jana Bosko we Wrocławiu

Katarzyna Dawidowicz
Gimnazjum nr 2 w Oleśnicy

„Do was, do was należy położyć zdecydowaną zaporę demoralizacji – zaporę tym wadom społecznym, których ja tu nie będę nazywał po imieniu, ale o których wy sami doskonale wiecie” (Jan Paweł II).

Czy rzeczywiście wiesz, umiesz, a przede wszystkim czy chcesz postawić „zaporę (...)”

**„W DZIELNICY CUDÓW,
CZYLI DLACZEGO JESTEŚMY,
AŻ TAK ZDEMORALIZOWANI?”**

Nowy rok szkolny 2008/2009 przyniósł ze sobą wiele zmian. Nie chodzi mi już o szkolnictwo, tylko o same fakty życia naszego - uczniowskiego. Właściwie od wakacji stworzyła się pewna grupa, o której niewtajemniczeni mówili „Ekipa z Gim., która spotyka się na dzielnicy cudów”. Poniekąd należałam do tych wtajemniczonych. Gimśowcy spotykają się na boisku lub pod „daszkiem” naszego Gimnazjum nr 2 w Oleśnicy. Wszyscy jesteśmy w tym samym wieku. Mamy te same zainteresowania. Właściwie nie mamy zainteresowań, a powinniśmy mieć. Bo co to za hobby, rozmawianie o policji, papierosach, czy też o innych rzeczach, które nazwałabym po imieniu, ale tego nie zrobię. Każdy ma oczywiście swoje zdanie na ten temat. Dla mnie te tematy są żałosne i nudne. Oczywiście, ktoś czasem zabłyśnie i powie coś nowego, coś co nas rozbawi do łez albo zdenerwuje.

Do nikogo nie mówi się po imieniu. Do Iwony- Iva, Gośka- Marca, Krzyśka- Krisu, Ziemowita- Impuls, a do mnie Katarzyna, tak, to jest moje imię, ale ja jestem wyjątkiem. Nikt z nas nie jest „święty”. Każdy ma za sobą pierwszego papierosa, zakazanego jointa i piwo. Za sobą to trafne określenie – mamy listopad, a już z tych wszystkich rzeczy nie korzystamy. Nauczyliśmy się bez tego żyć, ale od początku.

IVA

-Cześć- powiedziałam, gdy podeszłam do Iv, która siedziała pod daszkiem: – Co tam?

-Wszystko w porządku. Popatrz co mam! – krzyknęła z radością w głosie, wiedziałam co to jest, nie musiałam nawet patrzeć. Iwona od miesiąca (od sierpnia) brała efedrynę. A właściwie pseudo-efedrynę. Tanie tabletki na kaszel, sprzedawane bez recepty. Brała tego po 12 tabletek, z czasem więcej, aż do momentu kiedy zauważyła, że się uzależniła. Wtedy, o dziwo, przestała sama i udała się do MONARU.

Ivaaa... – powiedziałam przeciągając samogłoskę – Po co to robisz? Przecież to nic Ci nie daje, naprawdę bez tego można żyć.

-Ja już nie mogę. Ha! Przyznała się, pomyślałam. Za chwilę było mi jej żal. Zaproponowałam jej coś w rodzaju odwyku, na co się zgodziła. Tylko częściowo. Obiecała, że w tygodniu koniec, a w weekendy owszem. Lepsze to niż nic.

IMPULS

Z Ziemowitem nie widziałam się rok. W latach 2007/2008 był w Anglii. Mieszkał u mamy i jedno czego się tam nauczył, to kraść jak sroka. Kradł wszędzie po domach towarowych i po tych mniejszych sklepach spożywczych. Kiedyś złapali go. Było to w październiku, w jakimś supermarkecie.

MARCA

Z Marcą chodzę razem do klasy. Spotykamy się codziennie, rozmawiamy. Z nią, jako jedyną, udaje mi się wymieniać poglądy na inne tematy niż te wspomniane przeze mnie we wstępie. Oczywiście, jeśli jest trzeźwa. Racja, nie upija się aż tak bardzo, ale bądźmy przez chwilę poważni. Z nią mogę dogadać się tylko w szkole. Po szkole jest pijana. Dziwie mnie, dlaczego jej rodzice nie reagują.

KRISU

Z Krzyśkiem to jest już zupełnie inna sprawa. Jako jedyny z nas sięgnął po twarde narkotyki. „Twarde” – trochę głupi podział. Bo „Twarde” to wszystkie oprócz marihuany i haszyszu. Czyli co?

Efedryna to też twarde narkotyk? Według mnie nie. Ale, to już na marginesie. Wracając, Krzysiek jest już regularnym narkomanem, od sierpnia do września palił polską heroinę. Wrak człowieka.

MOJA POSTAWA

Według mnie wszystko to ciekawość. Zmora i błogosławieństwo ludzkiej natury. Pierwszy stopień do piekła – bardzo mocno zakorzeniony w naszym człowieczeństwie. Wiąże się z tym kłamstwo. Pojęcie dosyć subiektywne. Jakkolwiek zabrzmiałoby to paradoksalnie mogę określić definicję kłamstwa, ale już samego kłamstwa nie mogę. W sumie, człowiek to indywidualność. Moi koledzy i koleżanki okłamują rodziców. Może robią to w dobrej wierze, ale to nieważne, bo kłamstwo to kłamstwo i nie ma innej opcji. Kto by pomyślał XXI wiek, a my dalej z tym Platonem. Trochę dygresji, ale wróćmy do tematu. Czy chcę postawić „zaporę”? Chcę! Teraz się nasuwa się pytanie, jak? Sądzę, że mogę pomóc znajomym. Porozmawiać spokojnie. Zapytać, dlaczego to robią. Krisu i Iva powinni zgłosić się do pedagoga szkolnego, on znalazłby im odpowiednie palcówki, np. MONAR. Tam mogliby się dalej uczyć i przede wszystkim leczyć. Bo to nie jest tak łatwo, są zdemoralizowani. Trudno będzie im z tym przestać. Impuls musi sam uświadomić sobie, że robi źle. Kradnie rzeczy, na które ludzie muszą ciężko pracować. Marca niszczy sobie zdrowie sama, świadomie. Wątpię, że jest uzależniona. Potrafi dwa dni nie pić. Ale coś z tym trzeba zrobić.

JAK JEST TERAZ?

Mamy listopad. Krzysiek i Iwona są od września w MONARZE. Tam uczą się i leczą. Sądzą, że nie ciągnie ich do narkotyków. Dziwi mnie to w sumie, ale nie neguje. Traktują się jak rodzeństwo. Impulsa muszę pilnować na każdym kroku. Na mnie spoczywa odpowiedzialność za niego. Gdy nie ma teraz Iv i Krisa, nie ma tu nikogo. Biorę to na swoje barki. Tak wiem, że to trudne. Ale jakoś sobie radzę. Kocham go jak brata i to mi pomaga w tym wszystkim. Gdy rodzice Marcy dowiedzieli się, że jej ukochana jedynaczka pije, zabronili jej wszystkiego. Łamała zakazy, aż w końcu przeprowadzili się pod Jelenią Górę. Mieszkają na wsi, tam Gośka ma inne towarzystwo.

Nie pije, nie może. Ostatnio przez telefon mówiła mi, że boli ją wątroba. Czy to marskość? Sama jest sobie winna.

Demoralizacja to coś złego, coś co nie powinno w ogóle istnieć. Ale jest i na razie ma się dobrze. Teraz, gdy moi przyjaciele są „czyści”, często pada to słowo. Gdzieś, przy jakiejś okazji Krzysiek i Iwona uciekli z ośrodka, po dwóch dniach wrócili pod wpływem środków odurzających, przyjęli ich z powrotem.

Tak naprawdę, by postawić tamę demoralizacji, trzeba zmienić samego siebie. Musimy od siebie wymagać, nawet wtedy kiedy inni od nas nie wymagają. Wszystko zależy od nas. Od młodego pokolenia. Więc, jak mawiał Jan Paweł II „Czuwajmy!”.

Demoralizacja to często teraz poruszany temat. Jakby powiedział Rimbaud „Wszystko już wymyślono, wszystko już powiedziano”, a Verlaine na to „Może i tak, ale ty masz szczególny sposób na powiedzenie tego jeszcze raz”. Zaporę może stworzyć każdy człowiek, pilnując siebie. Ja też nie byłam najlepsza, ale zmieniłam się. Odstawiłam wszystko, co mogło mnie demoralizować. Postępuję zgodnie z prawdą, dla mnie jedyną i najważniejszą wartością, którą sama tworzę. Sama, jak to dumnie brzmi! Może prawda zadaje rany, ale nie takie jak kłamstwo. Prawda, by żyć zgodnie z nauczaniem Chrystusowym, powinna trwać wiecznie. A może innej prawdy nie ma? Każdy po swojemu do niej dochodzi. Cóż, pocieszające.

Tak więc, by postawić „zaporę” wadom społecznym, trzeba najpierw naprawić siebie.

EURO-SAMOTNOŚĆ. ŻYCIE RODZINNE WSPÓŁCZESNYCH POLSKICH EMIGRANTÓW.

Córka

Tego dnia powitały mnie lśniące, ciepłe promienie słońca wpadające przez okno do pokoju i ogrzały delikatnie moją twarz. Gdy zbiegłam po schodach na dół, w kuchni czekała już babcia, a na stole idealnie wypieczony rogalik z piekarni za rogiem i gorące kakao. Obok talerza stało małe pudełeczko ze starannie zawiązaną na górze wstążką, a w moją stronę zbliżała się seniorka rodu Kutniczych.

– Wszystkiego najlepszego kochanie, dużo zdrowia, sukcesów w szkole, no i porządnego kawalera – mówiła babcia, przerywając słowa serdecznymi buziakami.

Oszołomiona i lekko zakłopotana stałam na środku kuchni. Na śmierć zapomniałam o swoich siedemnastych urodzinach.

W szkole rozdałam kilogram cukierków, zebrałam mnóstwo miłych życzeń i uścisków. Lecz tak naprawdę ważny będzie dopiero wieczór. Spędzę go, czekając na telefon od rodziców. Już trzeci rok każde moje urodziny wyglądają tak samo i choć babcia stara się umilić ten czas jak najbardziej, to wie, że ja i tak czekam na wiadomość z Londynu.

W listopadzie 2005 roku moja mama i tato zdecydowali się na wyjazd do Wielkiej Brytanii. Zostali wręcz do tego zmuszeni, gdyż u nas w domu nigdy się nie przelewało, a wtedy właśnie firma, w której pracował ojciec ogłosiła bankructwo. Pamiętam jak dzisiaj, ile łez wylałam w pierwsze „samotne” święta Bożego Narodzenia. Nie mam rodzeństwa i mieszkam sama z babcią, ponieważ dziadek odszedł już kilka lat temu. Widzę zmagania tej starszej kobiety, do-

ceniam to, iż mimo swojego wieku dorabia wieczorami jako opiekunka do dzieci, abym mogła wakacje spędzić w moich wymarzonych Włoszech. Więc staram się jak najrzadziej okazywać smutek i tęsknotę za rodzicami, aby nie było jej przykro.

Odrobiłam lekcje, pozmywałam naczynia i od dwóch godzin siedzę na starej kanapie pod polarowym kocem, trzymając w ręce słuchawkę telefonu i czekając na ciepły głos tak bliskiej osoby. Po chwili usłyszałam upragniony sygnał, jednak był to fałszywy alarm. Okazało się, że to pomyłka.

Minęła kolejna godzina. Za oknami rozlała się przerażająca głucha ciemność, przerywana smutnym akompaniamentem deszczu rozbijającego się o parapety okienne. Nadal czekałam... Po głowie zaczęły mi się kłębić miliony myśli. Strach? Żal? Smutek? Coś się stało? Czy może o mnie zapomnieli?

Jest środek nocy. Jutro, a raczej dzisiaj rano muszę wstać do szkoły. Siedzę nadal na tej samej kanapie, w tych samych spodniach dresowych, pod tym samym kocem. Wokół mnie zmieniło się tylko jedno. Wcześniej podłoga nie była usłana wilgotnymi od łez chusteczkami. Czuję, że mam już zapuchnięte powieki, a nos boli mnie od wycierania. Jednak ból ten jest nieporównywalny do tego, który kryje się w środku. Na co dzień udaję twardą dziewczynę, przyzwyczajoną do samotności, obojętną na rzeczywistość, a tak naprawdę jestem słaba i bezbronna. Oddałabym wszystkie skarby świata, aby choć na chwilę przytulić się do mamy i usłyszeć śmiech taty. Koleżanki zaprzyjaźniają się z rodzicami, chodzą z nimi do kina, na zakupy, nawet na fitness, a ja niedługo zapomnę twarz najukochańszych osób. Na co są mi te wszystkie firmowe ubrania, telefony komórkowe, wycieczki zagraniczne, jeśli nie mogę wtulić się w ramię mamy? Babcię kocham i to bardzo, ale ona nie jest w stanie zrozumieć wszystkich moich problemów, zapewnić matczynego ciepła. Czułam się zapomniana, samotna, pozostawiona sama sobie, ze świadomością, że nikt nie potrafi mnie zrozumieć.

Rano obudziło mnie szarpanie za ramię. To była wystraszona babcia.

– Co ci jest skarbie? Chora jesteś? Katar masz? – spytała z trwogą, rozglądając się po podłodze, gdzie leżały warstwy wymiętych chusteczek.

– Tak – odparłam, kryjąc głowę w dłoniach.

– To kładź się do łóżka, a ja zaraz pójde do kuchni po lekarstwa.

Spojrzałam ukradkiem na tę pocziwą staruszkę. Wiedziała, że to nie przeziębienie zważyło mnie z nóg, a opuchlizna oczu nie była wynikiem kataru i gorączki. Każdy jej ruch stał się teraz ostrożny, ręce lekko drżały, a źrenice były uśpione w zamyśleniu. Jednak kobieta zdecydowała się nie poruszać tematu. Uważała, zresztą słusznie, że każde wypowiedziane słowo trafia w serce i zadaje ból.

Wieczorem zadzwoniła mama. Tłumaczyła przez chwilę, że wczoraj nie miała czasu na rozmowę, bo była w pracy. Złożyła „służbowe” życzenia w pośpiechu i spytała się, co u mnie słychać. Na pytanie, kiedy wracają, rzuciła krótkie „niedługo” i zmieniła temat. Nie na tę odpowiedź czekałam, jednak ona powtarza ją za każdym razem od trzech lat. Straciłam już nadzieję...

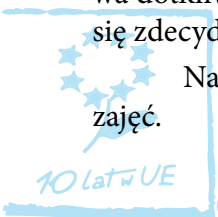
Matka

To już kolejny rok, gdy nie mogę w dzień urodzin uścisnąć mojej córki. Życie tutaj, w obcym kraju, wcale nie jest łatwe. Ludzie zatracają się w pogoni za pieniądzem. Towarzyszy im brak ideałów i zasad. Z czasem można przywyknąć do tego i zapomnieć nawet, że kilkaset kilometrów dalej ktoś bardzo bliski na nas czeka... Codziennosc, tu w Londynie? Nic nadzwyczajnego: praca – dom, dom – praca i tak w kółko. Niedługo z Krzysztofem zapomnimy, że jesteśmy małżeństwem. Nasze relacje nie układają się pomyślnie. Przemęczenie, stres, tęsknota za krajem dają się we znaki. Coraz częściej się kłócimy, byle pretekst wystarcza, by doszło do kolejnej awantury. Krzysztofowi jest trudno, ciągle musi udowadniać, jakim jest świetnym pracownikiem, a ja – no cóż, ciągle żyję w stresie i przede wszystkim nie mogę sobie już poradzić z tęsknotą. Karolinka – to o nią martwię się najbardziej. Kiedy rozmawiam przez telefon z mamą, a ona opowiada mi, jak moja jedyna pociecha wyrosła, do oczu na-

pływają mi łzy. Wczoraj moja córka skończyła siedemnaście lat. Nie miałam nawet czasu, żeby do niej zadzwonić.

Dopiero dziś znalazłam parę minut, żeby zatelefonować do Karoli i złożyć jej życzenia. Wiem, że ją zawiodłam, nie znajdując czasu na rozmowę. Mam wobec niej ogromne poczucie winy, tak bardzo chciałabym wynagrodzić jej to rozstanie. Jednak, gdy spytała, kiedy wracamy, głos ugrzązł mi w gardle. Śmiertelnie bałam się tego pytania, szczególnie teraz, gdy Krzysztof podpisał kontrakt na kolejne dwa lata. Nie wiedziałam, co mam jej powiedzieć. Pragnęłam być teraz obok niej i mocno ją przytulić. Rzuciłam tylko krótkie „nie-długo”, choć wiedziałam, że to kłamstwo. Gdy odłożyłam słuchawkę, nie mogłam opanować łez. Zauważył to Krzyś. Przyciągnął mnie do siebie i wysłuchał sprawozdania z całej rozmowy. Nie wiedział, jak mnie pocieszyć. Przyznał się, że od dłuższego czasu on także odczuwa dotkliwą pustkę w sercu... Może był to znak, by w końcu na coś się zdecydować i podjąć konkretną decyzję...

Następnego dnia, tak jak zwykle, rozeszliśmy się do swoich zajęć.



Kamil Golec

Publiczne Gimnazjum nr 2 w Kamieńcu Wrocławskim

EURO-SAMOTNOŚĆ. ŻYCIE RODZINNE WSPÓŁCZESNYCH POLSKICH EMIGRANTÓW.

PIOTR BEZ OJCA
(Z MOJEGO PAMIĘTNIKA)

3 października 2008

Dzisiaj znowu usiłowałam rozmawiać z Piotrkim. Był jakiś zgaszony, markotny, nieprzystępny. W ogóle nie odzywał się, a zagadnięty odpowiadał sylabami. Próbowałam wysondować, co go tak nurtuje. Okazało się, że jego tato, który pracuje w Londynie od początku lutego, pozostanie tam jeszcze do Wszystkich Świętych.

21 października 2008

Piotr znowu dostał pałę z anglika i to z podstawowych słówek. Zdumiałem się, ponieważ zwykle jest najlepszy w klasie. Zna nie tylko perfekcyjnie słownictwo, ale również wie bardzo dużo o Anglii, jej kulturze, historii i zabytkach. Wydawało się, jakby wiedział, a umyślnie nie chciał odpowiedzieć. Dopiero wieczorem w domu domyśliłem się, że nienawidzi wszystkiego, co jest związane z Wielką Brytanią...

1 listopada 2008

Cmentarz przy naszym kościele rozświetlała łuna lampek. Wyglądało to niesamowicie. W tłumie zauważyłem Piotra. Stał nieruchomo wraz z rodzeństwem nad grobem jego mamy. Pani Ela Zakrzewska zmarła rok temu na raka. Teraz nim i młodszym bratem opiekuje się dwudziestoletnia siostra. Zapytałem, gdzie jest jego tato, gdyż nie zauważyłem go przy nich. Jego przeraźliwie smutne spojrzenie pozwoliło mi zrozumieć, jaką gafę strzeliłem. Zrobiło mi się głupio, zwłaszcza, gdy Piotrek powiedział: „Wiesz, tato zostanie

w Anglii jeszcze do Bożego Narodzenia...” Potem cmentarz powoli zaczął pustoszeć. Gdy wychodziliśmy z rodzicami, osierocone podwójnie rodzeństwo nadal stało wokół nowego pomnika.

5 listopada 2008

„Wiesz...” mówi Piotr dzisiaj do mnie rano „... czasami wydaje mi się, że ojciec już do nas nie wróci.” Zbaraniałem. Kompletnie nie wiedziałem, co powiedzieć. Przed oczyma pojawił mi się wysoki szatyn, który wraz z Piotrkim wspólnie naprawiał samochód w garażu. Spędzali przy tym długie godziny, od rana do wieczora. Nagle, obraz ten znikł tak szybko, jak się pojawił. Próbowałem mu nieudolnie wytłumaczyć, że przecież piszą do siebie codziennie maile, że rozmawiają na Skypie. Piotr jednak popatrzył na mnie krytycznie i stwierdził gorzko, że to tylko namiastka. Gdy go spytałem, dlaczego myśli, że ojciec nie wróci, burknął mi: „Mój stary zarobił przecież już kupę forsy. Ona miała pójść na remont domu. Tych funtów mamy już wystarczająco dużo, więc po co on tam jeszcze siedzi?”. Gdy to mówił, czułem rozgoryczenie w jego głosie.

8 listopada 2008

Dzisiaj wieczorem odwiedziłem go. W domu chaos. Jego siostra, Marta przesiaduje, jak zawsze, w swoim pokoju z narzeczonym. Młodszy brat naprawia na środku kuchni rower. W zlewie stos brudnych naczyń. Na stole pudełko po pizzy i jeden zaschnięty, nadgryziony kawałek. W kącie miska, lapiąca deszczówkę, kapiącą z sufitu. Słowem – Armagedon. Piotr był widocznie skrepowany. Umył dwie szklanki, nalał coli i poszliśmy do jego pokoju. Weszliśmy i stanąłem oniemiały. Panował sterylny porządek. Na podłodze ani grama kurzu, wszystkie książki ustawione jak w bibliotece. Nie podejrzewałem kumpla o to.

„Słuchaj, czasami wyobrażam sobie, że tato nigdy nie wyjechał. A gdyby niespodziewanie wrócił i wszedł do mojego pokoju, to chciałbym, aby zobaczył, że jego syn potrafi trzymać porządek” Podszedł potem do komputera. „Przeczytaj, co pisze” – zaproponował. Początkowo nie chciałem, bo jak tu czytać cudze listy. Gdy jednak bardzo nalegał, ustąpiłem.. Zerknąłem na monitor. „KOCHA-

NY PIOTRUSIU, WYTRZYMAJCIE JESZCZE DWA MIESIĄCE. WIEM, ŻE MÓJ DZIELNY SYN...” „Stale tak chrzani!” – przerwał mi Piotr. „Co ty, zrozum go, pracuje przecież dla was. Jemu też jest na pewno bardzo ciężko”. „Wiesz co, boję się, że stary znajdzie tam sobie jakąś babkę, założy rodzinę, a nam będzie przysyłał jakieś nędzne alimenty.” Opadły mi ręce. Reszta wieczoru zeszła nieomalże w milczeniu. Graliśmy tylko w Gothica 3. Kończę dzisiejszy wpis. Zauważyłem, że mój pamiętnik zaczyna być tylko o nim. Czy to dobrze? Nie wiem.

10 listopada 2008

Ostatniej nocy w ogóle nie mogłem spać. Dopiero, gdy zdrzemnąłem się nad ranem, przyśniło mi się, że jesteśmy z Piotrkim na spacerze w parku, a zza ogromnego dębu wychodzi jego ojciec. Piotr jednak przechodzi obok niego obojętnie, jakby w ogóle go nie zauważył. Widzę, że pan Zakrzewski krzyczy, ale nie słyszę jego głosu. Mówię: „Piotr – twój tata”, ale on patrzy w to miejsce i w ogóle nie reaguje. Potem zapada gęsta mgła i męczyzna ginie w niej. Obudziłem się struchlały. Za oknem padał deszcz.

12 listopada 2008

„Pamiętasz tego angielskiego króla? – spytał Piotr na długiej przerwie. „Ktorego” – zdziwiłem się. – „Tego Jana bez Ziemi. Czasami wydaje mi się, że ja to jestem taki Piotr bez Ojca.” Postanowiłem się za niego wziąć i wytłumaczyć mu, pomóc. „Piotr, zrozum, tysiące rówieśników jest w podobnej, jak ty, sytuacji” „Mam to w dupie!” – warknął na mnie. Zdziwiłem się, bo nigdy nie słyszałem w ustach Piotra takich słów i nigdy nie mówił do mnie takim tonem. Na szczęście zaraz zabrzmiał dzwonek i poszliśmy do klasy.

13 listopada 2008

Piotrek ostatnio przestał w ogóle mnie odwiedzać. Byłem u niego w domu, ale go nie zastałem. Włóczy się nie wiadomo gdzie. Zaczynam się o niego naprawdę martwić. Gdy zwierzyłem się ze swoich obaw rodzicom, oni stwierdzili, że też boją się o niego. Ojciec zaczął nawet coś przebąkiwać o środkach odurzających. Piotrek

i narkotyki?! Nie wierzę! Ktoś jednak, do licha, musi je brać. Co tu zrobić? Co robić...?

14 listopada 2008

Rano łomot do drzwi. Wstaję rozespany, otwieram drzwi i widzę... Piotra. Śmieje się jak wariat. W oczach łzy. „Przyjechał, przyjechał!” „Kto?” – pytam oszołomiony. „Tato! Przyjechał na weekend, bo jego firma zawiesiła produkcję na tydzień!”

Razem idziemy do szkoły. Piotrek podśpiewuje coś tam pod nosem. Idzie jak nieprzytomny. Na pasach łapię go za plecak, bo wszedłby pod samochód. Jest listopadowy, pochmurny poranek, ale czujemy wiosnę w sercach. Nawet ja, którego tato nigdy nie wyjechał za granicę do pracy.



V Dolnośląski Konkurs Literacki o Laur Złotego Pióra „My Polacy, My Dolnoślązacy” rok 2009



V EDYCJA KONKURSU LITERACKIEGO O LAUR ZŁOTEGO PIÓRA



ZAPRASZAJĄ
MŁODZIEŻ SZKÓŁ ŚREDNICH
ORAZ 3 KLASY GIMNAZJUM

My Polacy
My Dolnoślązacy

dla najlepszych przewidziano cenne nagrody

prace napisane w dowolnej formie należy składać do 20 listopada 2009 r.
uroczysta gala - Sala Wielka Ratusza - Wrocław - 2 grudnia 2009 r.

bliższe informacje u nauczycieli języka polskiego, bądź pod adresem: www.liceum-wroc.salezjanie.pl

PATRONAT MEDIALNY:



PATRONAT HONOROWY:

Rafał Jurkowlaniec – Wojewoda Dolnośląski
Rafał Dutkiewicz – Prezydent Miasta Wrocławia
ks. Marian Gołębiewski – Arcybiskup Metropolita Wrocławski
ks. Stefan Cichy – Biskup Legnicki
ks. Ignacy Dec – Biskup Świdnicki

Katarzyna Kindlik

Liceum nr VIII im. Bolesława Krzywoustego we Wrocławiu

*„Przeszłość zachowana w pamięci jest częścią
teraźniejszości” (T. Kotarbiński).*

PRZEMYŚLENIA MŁODEGO POLAKA W 70 ROCZNICĘ WYBUCHU II WOJNY ŚWIATOWEJ

Nie chcę tych moich rozważań ubrać w patetyczny płaszczyk. Mam nadzieję, że ich nie „przemoralizuję” ani nie „usztucznię”. Jeśli zapytacie mnie, czemu chcę o tym napisać, to odpowiem, że to jest we mnie i jest to dla mnie ważne. A o rzeczach ważnych trzeba mówić, nawet jeśli niewielu chce o nich słuchać.

Szkoła. Jakaś sala. Jakaś lekcja. Siedzimy. Obok przygotowują apel z okazji Dnia Niepodległości. Śpiewają. Słyszymy wytłumione słowa Roty; „Do krwi ostatniej kropli z żył bronić będziemy ducha...” Zamykam oczy, zasłuchuję się, zamyślam. Cofam się w czasie wehikułem wyobraźni. Przez tę krótką chwilę jestem wśród nich – aktorów tamtych dni. Widzę, jak walczą z dumnie uniesionymi głowami. Jak podejmują wielkie decyzje. Jak pośród ruin i mogił mają odwagę i siłę krzyczeć; „Jeszcze Polska nie zginęła!”. Jak stają się bohaterami...

– Czy oni wreszcie przestaną jęczeć? Ile można? – ktoś wyraża swoją irytację

Wybudzam się z zadumy. Nie mówię nic. Zastanawiam się tylko po raz kolejny, czemu tak mało nas to wszystko obchodzi? Odcinamy przeszłość jak zbędny balast. „Wygodnie jest zapomnieć, skąd się jest i gdzie” – jak śpiewa Kazik Staszewski. Liczy się tylko to, że jesteśmy, tu i teraz. Nie mamy czasu i ochoty pamiętać. Po co?

Jeśli zacznę pisać o tym, że historia buduje naszą tożsamość, wzmacnia naród, że jest nauczycielką życia, to będzie to niewątpliwie wzniosłą prawdą. Tylko czy ktoś zwróci na nią uwagę? Zacznie nią żyć i szanować? Nawet jeśli ubiorę ją w niezwykle słowa, to i tak będę tylko powtarzać hasła.

Zastanawiam się czasem, dlaczego tak się w tej historii rozko-
chuję, dlaczego mi na niej zależy, dlaczego chcę pamiętać? Przecież
to już przeszłość. Wszystko jest dokonane. Tamte czasy umarły. Po
co wracać? Jest tyle aktualnych spraw. Dziś... Rozglądam się dookoła
siebie. Spaceruję po rzeczywistości. Nie muszę się w nią zagłębiać, by
stwierdzić, że coś jest nie tak. Wszystko zwariowało i nie jest to by-
najmniej piękne i potrzebne szaleństwo, które czyni życie niepowta-
rzalnym i barwnym. Jest to choroba „instant”. Szybko...szybciej...
najszybciej! Biegnij! Spiesz się! Zapomnij o wszystkim! Cel uświęca
środk. Miłość? Tak łatwo jest to dziś powiedzieć. Mówimy „kocham
cię”, a zaraz potem „kocham mój nowy telefon”. Zapominamy też, że
to słowo ma swoje wielkie znaczenie. Używamy go, ale nie jesteśmy
w stanie wziąć na siebie odpowiedzialności za nie. Przyjaźń?

To nie jest uczucie, że fajnie się razem bawimy! To jest coś na
śmierć i życie. Lojalność i wierność. Wiara? Wierzmy w karierę, te-
lewizję i mini gadzety. Wszystko się zaciera...wszystkie wartości są
wypaczone, zniekształcane. Za to wystrza się imperium pieniądza,
obłudy, obojętności i nienawiści. Stoję pośrodku tego bezsensu i je-
stem częścią tego świata dnia dzisiejszego. Dlaczego o tym mówię? Bo
właśnie w tym momencie patrzę za siebie. Widzę historię – krwawą,
tragiczną, trudną, ale tak niezwykłą i piękną. Ożywają nieśmiertelni
bohaterowie, a wraz z nimi to wszystko, czego tak tu brakuje. Honor,
wiara, prawda, poświęcenie... i ta siła życia! Przesiąkam nią i już wiem,
kim jestem, gdzie i dlaczego. Tamci ludzie są tak bliscy i dalecy za-
razem. Tak podobni i różni od współczesnych. Wiem dobrze, że nie
byli cyborgami ze stali. To nie było dla nich proste. Byli ludźmi z krwi
i kości. Oblicze wojny, bólu, śmierci. Strach. A jednak wybrali walkę.
Nie złamali się. To jest dla mnie wielka lekcja wytrwałości i wierności
sobie. Najpiękniejsza lekcja, jaką mogę sobie wyobrazić. Patrzę dalej
– iskry w ich oczach są wiecznie żywe – nie da się zabić miłości i pa-
triotyzmu. Białe-czerwone sztandary na barykadach, symbole Polski
walczącej, poezja i pieśni żołnierskie, zastygłe w oporze pięści i wielkie
czyny rozpalają we mnie ogień – przedziwne uczucie dumy i eksplozje
radości. Mam wielką ochotę krzyknąć: „Niech żyje Polska!”. Może to
zabrzmiało patetycznie, ale trudno o czymś tak wielkim mówić pro-

stymi słowami. Jednocześnie czuję tęsknotę i głód tego uczucia, które
musiało im towarzyszyć, gdy walczyli za Ojczyznę. Zauważyłem również
ten ogrom piekła, w którym zarazem hartowało się najwyższe człowie-
czeństwo jak i największe bestialstwo. Oprawcy, egzekucje, obozy kon-
centracyjne. Śmierć i cierpienie. I wtedy czuję tę ulgę. Doceniam to,
że siedzę bezpiecznie w fotelu. Nie muszę się bać, że wpadnie gestapo,
że zabiorą mi bliskich. Jedynym moim lękiem przed jutrem jest nieza-
powiedziana kartkówka. Boże! Ciągłe narzekamy, że za dużo od nas
wymagają, że życie jest beznadziejne. Jakże nam ciężko... A oni? Co
oni mieli powiedzieć? Gdy tak o tym myślę, moje problemy wydają
mi się lżejsze, łatwiej mi je znieść. To jest kolejna pomoc przeszłości.
A to, że mogę pisać to co myślę? Mówić? Słuchać? Poznawać prawdę?
Iść gdzie chcę i kiedy chcę? To jest wolność. Gdyby ktoś kiedyś za nią
nie ginął, gdyby z niej zrezygnował... Wyobraźcie sobie. Słyszałam już
od kogoś; „Co to za różnica być Polakiem czy Niemcem? Ważne, żeby
być szczęśliwym. Gdybym był na ich miejscu, wyjechałbym. Zostawił
to wszystko.” Oni nie mogli być szczęśliwi... nie mogli żyć gdzieś, ze
świadomością, że Polska ginie, że na nią pluja i gardzą nią. Musieli
bronić granic w Kampanii Wrześniowej i stanąć do nierównej walki
o Stolicę w Powstaniu Warszawskim. To jest takie piękne w Polakach.
Przyglądam się temu i czuję, że należę do Polski, a Polska do mnie.

Żeby nie zapaść się w bagno zakłamanego świata, potrzebuje-
my się czegoś uchwycić. Potrzebni są bohaterowie, jakieś wzory czy
autorytety. Dla mnie kimś takim jest mój idol, Rotmistrz Witold Pilec-
ki – najodważniejszy człowiek, o jakim kiedykolwiek słyszałam. Być
może trudno to sobie wyobrazić, ale poszedł na ochotnika do obozu
koncentracyjnego KL Auschwitz. Uczestniczył też w walkach z bolsze-
wikami i Powstaniu Warszawskim. Kiedy okupacja niemiecka zmieni-
ła się w reżim sierpa i młota, także nie opuścił Ojczyzny. Stanął przed
wyborem – bezpieczeństwo i spokój za granicą czy powrót do Polski
i dalsza konspiracja. Nie wahał się. Powrócił. Wkrótce został schwyta-
ny i skazany na śmierć przez polskich komunistów. Do końca wierny
i pewny tego co ważne. Zawsze aktywny i pełen energii. Kochał Boga,
Ojczyznę i ludzi. Chciałabym kiedyś móc powiedzieć, że jestem choć
trochę do niego podobna...

Chociaż wiele z tych wielkich postaci przeszłości odeszło, w tajemniczy, a jednak cudownie prosty sposób historia ich jest wciąż żywa. A odkrywa się to w momencie, gdy przestaje się ją traktować jako nudny przedmiot – wysypisko zbędnych dat i nazwisk. Nie musimy szukać daleko. Ktoś niedawno wyznał mi: „Na mnie osobiście bardzo duży wpływ mają opowieści mojej babci. Mimo że przeżyła bardzo wiele w swoim życiu, potrafi o tym opowiadać. Były to momenty zarówno tragiczne jak utrata bliskich, jak i wspaniałe – na przykład ślubowanie do sztandaru w obecności generała Andersa. Nie jestem w stanie oczywiście poczuć tego, co ona wtedy czuła, mogę tylko spróbować jakoś to zrozumieć. Niewątpliwie pomaga mi to spojrzeć w inny sposób na historię”. Wokół nas wciąż żyją ludzie, w których ukryte są wspomnienia tamtych dni. Możemy się zdziwić, jak to wszystko co wydaje się wzniosłe i odległe jest bliskie i fascynujące. Wystarczy chcieć!

Na koniec chciałabym zaznaczyć, że nie miałam zamiaru tym strumieniem osobistych zwierzeń budzić miłości do ojczystego kraju czy fascynować jego niezwykłą historią. Raczej rzecz w tym, abyście Wy – moi rówieśnicy – nie pozostawali obojętni. Nie chodzi o to, żebyście byli patriotami czy pamiętali, bo ktoś Wam tak powiedział, że tak należy. Możecie jednak spróbować poszukać tego w sobie. Chwilę nad tym pomyśleć. Ktoś stwierdził kiedyś, że „człowiek umiera wtedy, gdy umiera pamięć o nim”. „Nie dajmy zginąć poległym!” – jak pisał Zbigniew Herbert. Jeśli jakoś możemy się odwdzińczyć bohaterom to najpiękniej pamięcią. To najmocniejszy pomnik!

Myślę, że przede wszystkim warto sobie zadać pytanie; „Czy wiemy, jacy jesteśmy, jeśli nie wiemy, jacy byliśmy i jak staliśmy się tacy, jacy jesteśmy?”

„Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną”.

ROZWAŻANIA O ZJAWISKU UZALEŻNIENIA OD INTERNETU I RZECZYWISTOŚCI WIRTUALNEJ WE WSPÓŁCZESNYM ŚWIECIE

Okropnie boli mnie głowa. W sumie – nie głowa, tylko oczy. Zakrywam gałki powiekami – to nic, to nic, zaraz je nawilżę, pokropię tym czymś, co kupiłem wczoraj w aptece. Visine, czy jakoś tak. Ale musiałbym po to wstać z krzesła i przejść na drugą stronę pokoju... Wytrzymam. Zakropię, jak skończę. Za pół godzinki. Torba z kroplami leży w drzwiach, tam gdzie ją zostawiłem przychodząc ze szkoły.

Która to godzina? Już po szóstej. Boże, jak mnie te oczy bołą – pieką łzawią, drażnią suchością. Hmm... Może jednak wstanę po te krople, w końcu to tylko trzy minuty – wstanę, wyjmę, zakropię i wrócę. A... jeśli one będą dziwnie zapakowane? Jeśli nie będę mógł ich otworzyć szybko, za pierwszym razem? A co, jeśli będę musiał iść do łazienki, do światła, do lustra? Nie, to chyba za dużo zachodu. Wytrzymam.

Siódma? Już? Kurczę, nie zauważyłem. Teraz mogę iść. Komputer zostaje tak jak jest... wracam za 15... no, za 10 minut. Zakropię, wezmę szybko prysznic. Mam nadzieję, że znowu nie wyłączą prądu, bo jeśli wyłączą, to dostanę szału.

Szybko, szybko... myć zęby? A, po co. I tak nic nie jadłem. W sumie, to nie pamiętam, kiedy jadłem. Co z komputerem? Jest, stoi, działa, ściąga się. Uff... Ulga, ogromna ulga. Ha! Chce mi się normalnie śmiać. Ale nie, rodzice się zbudzą. Taaak, to co tam było? Aha. Facebook...

Za dziesięć ósma? Ożesz, spóźnię się! Chociaż... w sumie, to nic ważnego, pierwsza lekcja – angielski. I tak umiem więcej niż nauczycielka. Internet, naturalnie. Elegancja, proszę was, kursy, lekcje przez Skype'a – wszystko można, nie ruszając się sprzed monitora. Kocham to.

Ojoj, coś mi świat wiruje. He, He, nawet spoko. Wcześniej tak nie miałem – ale to pierwsza taka noc. Hmm... może coś zjem. Tak, zrobię sobie jakąś kanapkę i wracam do siebie. Która to? Dziesiąta. Luz. Drugi jest polski. Nudy. Omawiamy przecież te tam... „Chłopy”. „Chłopi”. „Chłopów” omawiamy, no kabaret. Bez sensu, nie idę. Kanapka... ile tu tego. Nie mam czasu wybierać. Wezmę jogurt. Albo nie – jabłko. Nie ma z tym tyle roboty. Mogę wracać – ile się już ściągnęło?

Kopię, kopię, szukam, przeczesuję, szperam i nie mogę znaleźć takiej jednej rzeczy...

Hm, może tu będzie. Jednak nie. Może tu. Też nie. O, a co to? Nawet ciekawe. I są linki. Zobaczmy...

Która to? Jedenasta? Ojej, to już nie zdążę na czwartą lekcję, a dzisiaj tylko sześć. E, to mi się nie opłaca iść. I jeszcze W-F ostatni, no bez przesady. Gdzie te krople? O są. Jedziemy dalej. Mam już Total Score, zobaczymy, czy pobiję sam siebie.

O Boże, czy ona musi się tak drzeć? I może mam jeszcze odejść od komputera? No jasne, już lecę, goń mnie. Zatrzasnąłem drzwi, bo skupić się, kurczę, zupełnie nie można. Dobra, wiem, nie poszedłem do szkoły. I co? Jeden dzień opuszczony – phi, co to jest. I tak nigdy nie ma na lekcjach dziennika, kto tego dowiedzie, że mnie nie było? Kumple mnie nie zakablują – ich przecież nigdy nie ma. Sam widziałem czterech na serwerze Cabala. Do jutra im zejdzie.

Tak! Jadłem! Zamówiłem sobie pizzę! Wyrzuciłem opakowanie, miałem je dodać do kolekcji? O rany, bo wyniosłem do głównego śmietnika. Tak, chciało mi się ni stąd, ni zowąd, lecieć na drugi koniec osiedla! Ruch to zdrowie. Tak, właśnie ja to mówię. Mogę już iść?!

Internet jest lepszy niż dziewczyna – idealnie dostosowuje się

do twojego nastroju, robi, co każesz, zawsze coś ciekawego ma do powiedzenia, podziela twoje zainteresowania... Rewelacja. Co? A, tak, Metinna.

Mmm.. która to? Północ? Hmm... coś się dziwnie czuję. Jakiś tak.. ciężko. Ręce mam takie ciężkie. Ale oczy mnie nie boją! Już wiem, obejrzę sobie film na Megavideo, do tego nie trzeba rąk.

Hej.. co mi się dzieje z oczami? Może zrobił mi się mimochodem astygmatyzm? Kurczę, zawsze miałem dobry wzrok. A tu co... Wszystko mi się zamazuje i lata w tę i we w tę, uciekają mi literki na klawiaturze. Pewnie astygmatyzm. Sprawdzę w necie objawy. I najbliższego lekarza. I może... sklepy optyczne. I ceny soczewek. I najstarsze okulary świata. I rekordowa wadę wzroku. I nazwy amerykańskich firm optycznych.

Oj. Zasnąłem? Ej, serio, zasnąłem na klawiaturze. Nie pamiętam, żebym zasypiał. Która to? Hmm... szósta. Ale rano czy wieczorem? Ciemno jest za oknem, więc chyba rano. Co dzisiaj mamy za dzień? Osiemnasty listopada. Ej, to po południu też jest chyba ciemno. Sprawdzę w necie.

Internet jest lepszy od wszystkich ludzi w realu razem wziętych, pomnożonych przez dwa. Serio. Nie muszę wstawać, chodzić, biegać czy jeździć, żeby się z nimi spotkać. Nie muszę z nawet otwierać ust, żeby z nimi pogadać! Ot, technika... Co też człowiek nie wymyśli. O, wiadomość.

Ej! Nie! Zaraz, ludzie! Jak można było mnie tak bezczelnie deadnać na czterdziestym levelu! Eh, spadajcie na drzewo. Kasuję konto. Co tu może teraz... O. Lineage. W to nie grałem. Chyba. Nie, jednak grałem. A to? Last Chaos? Też grałem. W to też, w to też... Dobra, w to dawno nie grałem. To jest całkiem ok. Chyba mam gdzieś jeszcze cheaty.

Ho ho, ta jest niezła. No, ta też niczego sobie. Ooo... Zamknij się, głupi spamie. Mam osiemnaście lat... za dwa lata. Hm... no, ta też...

O Boże, o Boże, zaklinam cię, o matko, zaklinam wszystkich bogów, bożki i innych takich!! Włącz się do cholery!! No, włącz!! Co

tu może być nie tak, przecież sprawdzałem dziesięć razy, zaraz, muszę pomyśleć na spokojnie... Aaaaa, no włącz się!!! Włącz!! Przecież ja oszaleję, oszaleję zupełnie i doszczętnie, wyjdę z siebie i stanę obok, będę bluzgać długo, plugawie i soczyście, będę rwać włosy z głowy, poobgryzam sobie palce do łokci! Włącz się cholerny sprzęcie, bo cię wyrzucę!!

O!! JEEEST!!!! WŁĄCZYŁ SIĘ!!! O rany... nie mogę... to za duży stres. Jeśli jeszcze raz mi coś takiego zrobi, to zejść na zawał.

Uch, muszę sobie kupić nowy monitor, ten się przegrzał. Bardzo jakież. He, He, fajnie to wszystko razem wygląda. Taki jakby... ołtarzyk. Serio. Te paluszki jak kwiatki, a kabelki, słuchawki, modemy, głośniki jak jakież te... aniołki. A w centrum...

Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną.



Natalia Michalec

Liceum Ogólnokształcące im. Adama Mickiewicza w Górze

„Ludzie budują za dużo murów, za mało mostów” (I. Newton).

JAK BUDOWAĆ MOSTY? O SOBIE, WSPÓLMIESZKAŃCACH MOJEGO REGIONU, MIASTA, OSIEDLA.

Jest szósta trzydzieści. Niechlujnym ruchem ściągam z siebie kołdrę, odczuwając pierwszą falę porannego chłodu. Zwlekam się z łóżka – prawa noga, lewa noga, korpus, a na końcu ciężka od myśli głowa. Mięśnie odmawiają posłuszeństwa – nawet powieki nie mają dość siły, aby dźwignąć się i otworzyć oczy na świat. Do życia pobudza mnie krzyk zniecierpliwionej matki – chleb już dawno posmarowany masłem, a parująca herbata stygnie w oczekiwaniu na mnie. W biegu porywam śniadanie i ze strachem spostrzegam, że za piętnaście minut szaleńczy dzwonek ogłosi początek poniedziałkowej rutyny szkolnej. Nogi z protestem wchodzą w dżinsowe nogawki, sznurowadła sznurowują się w połowie drogi na schodach. Mijam panią spod dziesiątki, rzucam zasapane „dzień dobry”, doprowadzając jednocześnie własną osobę do stanu względnej normalności. Przy wyjściu z klatki wpadam na sąsiada z dołu, który anemicznie popychając drzwi, lamentuje nad bałaganem przed blokiem. Skinąwszy mu głową, na znak wmawianego dobrego wychowania, trzeźwieję na szczypiącym w nozdrza, świeżym powietrzu. Ostatnie pięć minut służy mi za powtórkę na pierwszą lekcję – sinus kwadrat alfa dodać... jeżeli a należy do zbioru liczb rzeczywistych... wówczas... Wbiegam do szkoły, z impetem trzaskając głównymi drzwiami. Spóźnienie! Po drodze mijam kilku znajomych, wyszczerzam świeżo umyte zęby i rzucam pośpieszne „cześć!” – pukam, zawiasy skrzypią – wzrok nauczyciela przeszywa mnie z góry na dół. Dwadzieścia pięć głów sterczących znad ławek przypomina mi własne

odbicie w lustrze – „sino – koperkowa” twarz, mętne i puste oczy. Zrzucam torbę ze zgarbionych pleców i zastanawiam się – jak miała na imię koleżanka siedząca za mną, bo znowuż w biegu zostawiłam na domowym biurku osamotniony długopis. W ogólnym rozgardiaszu mija mi większość czasu szkolnego, na przerwach znajduję chwilę wytchnienia w rozmowach zupełnie o niczym. Mimo wspólnie spędzanych godzin w szkole, mimo tych kilku dobrych lat wciąż niewiele o sobie wiemy. Niechętnie dopytuję się o pogodę, niezręcznie ciszę wypełniam żartami, które w innej sytuacji byłyby odarte ze śmieszności. Z towarzyskiego ośpienia budzi mnie ostatni dzwonek. Niezdarnie zgarniam wszystkie książki z ławki, w biegu zasuwam krzesło, a susy co dwa schody zbliżają mnie do domu. Jeszcze tylko ciemny korytarz, kilku belfrów śpieszących z teczkami w rękę – chwytam za zimną, metalową klamkę, wyglądając za zabrudzoną szybą. Presja lustrujących mnie zza pleców osób pogłębia tylko moje rozczarowanie, że świat na który czekałam przez siedem lekcji wygląda zupełnie, nieustannie tak samo.

Szurając nogami wracam do domu, z nudów omijając pęknięte płyty chodników. Liczę pasy na przejściach, nurkuję czubkami butów w kałużach. Mechanicznie odpowiadam Kasi, Basi czy innej Oli: – Co jest zadane na jutro? – Widziałaś ją dzisiaj? – Ale nas załatwili na matmie. Duża grupka dziewczyn szepce coś, nieustannie podśmiewając się, nie starając się kontrolować głów, magnetycznie odwracanych w moją stronę. Dzień jak co dzień – popycham ciężkie, żeliwne drzwi od klatki, przepuszczając przodem kotka sąsiadki. Liczę piętra, doliczam się schodów, jeszcze tylko dziesięć, dziewięć, cztery, trzy, dwa dzielą mnie od ... – Jak w szkole? – pytanie rozrywa przyjemną dotąd ciszę. Przetykam ślinę, starając się nie zaplątać języka podczas kolejnej wymówki, maskującej – następną ocenę poniżej rodzicielskiej normy. Wysilam mózg na kilka słów zbijających wężyciela z tropu: – Co na obiad? – nie oczekując odpowiedzi, podnoszę pokrywkę parującego garnka. Ogórkowa. Wyławiam chochlą porcję „na próbę”, zachlapując całą kuchenkę. Przesolona – uśmiecham się w duszy, wiedząc, że utnie to wszelkie próby rozmów przy stole. Obracając kawałek chleba w ustach, z pełną michą

w rękę podążam do swojego pokoju wypróbowaną od lat trasą – trzymającą mnie z dala od czujnego wzroku matki. Na czystym blacie biurka odbija się gorący, ogórkowy ślad, niezachwianą atmosferę pokoju przerywa głośnie praca włączonego komputera. Przesuwam na pamięć kursorem po ekranie – powtarzam czynności zupełnie jak poranną mantrę. Gadu – gadu, Nasza – klasa, e – mail. Masz 10 nowych wiadomości. Dziewięć z nich to spam, ostatnia pochodzi od jednej dziewczyn z tak zainteresowanej mną grupki. Klik. „Co słychać?”. Oczywiście, czerwone od łuny komputera świdrują sieć w poszukiwaniu przyjaznych treści. Ani się obejrzałam a za oknem powoli zrobiło się szaro. Tato wrócił z pracy, mama wciąż zajęta jest dokumentami przytасzczonymi z firmy, młodszy brat w pocie czoła kończy pracę domową. Wypompowana z wszelkich sił otwieram drzwi, słysząc drażniący ucho dzwonek. Goździkowa, spod dwunastki. – Ja po cukier – woła już od wejścia, w rzeczywistości informując domowników, że tak łatwo się jej nie pozbędą. Na pierwszy ogień wybraliśmy mą rodzicielkę – w wałkach na głowie, zagryzając plamiący tuszem długopis, pobiegła do kuchni, chcąc skrócić do minimum wizytę niezapowiedzianego gościa. Ja – podkulam ogon i chowam się w salonie, gdzie z kolei rodziciel – z pilotem w rękę przeskakuje kolejne kanały w telewizorze. Już mam otworzyć usta i wydobyć z siebie dźwięk – jedyny przyjazny w ciągu dnia – kiedy na szklanym ekranie pojawia się dziesięciu mężczyzn w rajstopach, tańczących w takt szopenowskiej symfonii. Rozmówca, a raczej w danym momencie pasjonat baletu, znika z pola widzenia, a ja staczam się z sofy i bez ogródek idę spać.

Znowuż jest szósta trzydzieści. Szybkim gestem ściagam z siebie kołdrę, odczuwając pierwszą falę porannego chłodu. Zamaszystym ruchem przyciskam do szafki brzęczący budzik. Zeskakuję z werwą z łóżka – wprost na prawą nogę. Niezły początek – leniwie przebiega mi przez głowę, zaspana jeszcze myśl. Ciepłe kapcie na nogach odnajdują drogę do kuchni, od wczesnych godzin kuszącej zapachem herbaty i bułek ukrytych pod grubą warstwą masła. Zdziwiona mama spogląda dla pewności po raz trzeci na zegarek, próbując uchwycić moje szybkie cmoknięcie. Delektuję się twarożkiem,

odsuwając na bok myśli o oczekującej na mnie klasówce z historii. Nogi żwawo wsuwają się w dżinsowe nogawki, pędząc za próg domu. Zbiegając po schodach mijam panią spod dziesiątki i obdarowuje ją najszerszym, jak na siódmą rano, uśmiechem. Tuż za nią ze schodów zwleka się sąsiad z dołu, trzymany w sztywnych ramach garnituru, z muszką ciasno zawiązaną wokół szyi. Jego lament nad bałaganem przed blokiem ucina moje miękkie „dzień dobry” i obietnica złapania przedszkolnych winowajców, w tym przywołania do porządku własnego brata.

Wbiegam do szkoły z impetem, trzaskając głównymi drzwiami. Równy z dzwonkiem wkraczam do klasy. Nie zważając na zaspianą atmosferę i półprzymknięte oczy kolegów z szelestem otwieram piórnik. I dzierżąc w ręku pożyczony długopis odwracam się do tyłu – do Kasi, dziękując za przysługę wręczam jej w pełnej konspiracji liścik z pytaniem o wspólny, wieczorny spacer. Nic prostszego.

Nina Wierbiłowicz

Liceum Ogólnokształcące im. Henryka Sienkiewicza w Nowej Rudzie

*„Przeszłość zachowana w pamięci jest
częścią teraźniejszości” (T. Kotarbiński).*

PRZEMYŚLENIA MŁODEGO POLAKA W 70 ROCZNICĘ WYBUCHU II WOJNY ŚWIATOWEJ

1 września to dzień podniosłych akademii szkolnych, uroczystych obchodów wybuchu II wojny światowej, dla wielu jednak kolejny zwykły dzień pracy lub po prostu koniec wakacji. Czym jest dla mnie ten dzień, dla młodej siedemnastoletniej dziewczyny, dla której faktem jest, że wakacje dobiegły końca i czas rozpocząć czas wytężonej nauki? Nie pamiętam czasu wojny, jestem na to za młoda, jednak czy będąc bytem samoistnym, żyję w oderwaniu od całego świata? Z pewnością nie. Mam rodziców, dziadków, a ja jestem kolejnym małym elementem wielkiej historii świata. Moje życie to nawet nie minuta na zegarowej tarczy ludzkości, nawet nie milimetr na osi liczbowej dziejów człowieka. Wstaję rano i to, co było wczoraj, jest już przeszłością, dla mnie historią. Dziś, z każdą minutą, staje się teraźniejszością, by kończący się dzień dał mi do zrozumienia, że po nocy nastąpi kolejny, będący przyszłością. Moje życie, podobnie jak każdego człowieka, skupia w sobie te trzy czasy...

Szkolna akademia przypomniała mi po raz kolejny wydarzenia II wojny światowej. Nieraz zastanawiałam się po co? Uczyłam się o niej w podstawówce, w gimnazjum i będę jeszcze uczyć się w liceum. Znów w głowie pojawia się to samo pytanie: dlaczego aż trzy razy? Jest 70 lat po wojnie, czy warto przywoływać pamięć o cierpieniach, krzywdach i smutku? Przecież i bez tego nie jest w życiu łatwo i czasem trudno zachować na twarzy uśmiech i mieć dobre samopoczucie. Na cóż mi, młodej nastolatce, wchodzącej powoli w dorosłe życie, balast historii, garb całej martyrologii mego

narodu? Czy nie lepiej zamknąć drzwi przeszłości i budować lepszą przyszłość? Ktoś powie, że: „Historia vitae magistra est”. Myśl to brzmiąca bardzo mądrze, jednak praktycznie pusta. Powstała przecież w starożytności, a od czasów prześladowań chrześcijan w III w. n. e. mieliśmy już krwawą rewolucję francuską, dwie wojny światowe, komunizm, a teraz mamy epokę terroryzmu. Historia nie jest nauczycielką życia, gdyż ludzkość, tak jak jednostka, nie umie uczyć się na cudzych błędach, lecz tylko na własnych. D Gdy 1 września oglądałam telewizję, odkryłam, że II wojna trwa nadal, przebiega jednak w nieco inny sposób. Historia, wmieszana we współczesną politykę, to straszna broń, niosąca krzywdę całym milionom. Dowodem na to jest chociażby tocząca się ostatnio agresywna kampania zafałszowanej historii, która stanowiła tło przyjazdu do Polski rosyjskiego premiera, Putina. Z drugiej strony, wojna polsko-polska o stanowisko w tej sprawie naszej dyplomacji. Irytuje mnie dopatrywanie się w przemówieniu rosyjskiego premiera skrytych ukłonów w stosunku do Niemiec. 17 września polski sejm przyjął deklarację, która w Rosji wydała się obraźliwa. Efekty obchodów rocznicowych wywołały mniejsze lub większe niezadowolenie u każdej ze stron. Polska opinia publiczna podzielona, obrażona premier Ukrainy, Julia Tymoszenko, kwaśna mina Władimira Putina, ostre słowa rosyjskiego ministra spraw zagranicznych, oburzenie Żydów po porównaniu Katynia do Holocaustu. Konsekwencją tych wzajemnych niechęci jest pewnie droższy gaz, który płynie do nas z Rosji oraz pogorszenie stosunków dyplomatycznych z Ukrainą. Mam 17 lat, jest 70 lat po wojnie, dlaczego przeszłość zasiewa antagonizmy, pretensje i budzi nienawiść w ludziach współczesnych? Czytałam komentarze w Internecie, w rocznicowym dniu. Były pełne wulgarnej agresji wobec Rosjan, Ukraińców, Żydów, Niemców, a przecież nie pisali ich ci, którzy wojny doświadczyli, lecz młodzi, mnie współcześni.

„Pamięć o przeszłości oznacza zaangażowanie w przyszłość” – tak pisał Jan Paweł II. Pisał również: „Świadomość własnej przeszłości pomaga nam włączyć się w długi szereg pokoleń, by przekazać następnym wspólne dobro – Ojczyznę”. Z nauczania papieża widać od razu, że z historii należy brać tylko to, co dobre i na tym

budować, to przekazywać następnym pokoleniom. Nasz wielki rodak nieraz walczył o oczyszczenie przeszłości, odwołując się do historii, potrafił budować mosty między zwaśnionymi. Dlaczego wielcy rządzący tego świata tak boją się miłości? Przecież ona prowadzi do prawdy, a prawda nas wyzwala, by dawać nowy, lepszy początek wszelkim naszym dążeniom. Jakże trafnie papież skomentował naszą rzeczywistość słowami: „Prawdziwa cywilizacja nie polega na sile, ale jest owocem zwycięstw nad samym sobą, nad mocami niesprawiedliwości, egoizmu i nienawiści, które są zdolne zniekształcić prawdziwe oblicze człowieka”. W tym duchu powinno mówić się o historii i zamiast budować mury między ludźmi i całymi narodami, powinniśmy my, współcześni, podawać sobie bratnie dłonie.

„Każda prawdziwa miłość musi mieć swój Wielki Piątek” – te słowa kardynała Stefana Wyszyńskiego są mi bliskie, gdy przeglądam rodzinne pamiątki. Mój pradziadek, Mieczysław Kossowski, brał udział w kampanii wrześniowej. Musiał bardzo kochać ojczyznę, bo 1 września 1939r., gdy wypadała 1 rocznica ślubu moich pradziadków, on, w mundurze, walczył za umiłowaną ojczyznę. Potem niewola niemiecka i długa rozłąka zarówno z ukochaną żoną, jak i wolnym krajem. Dziadek od strony taty zdobywał Berlin w 1945 r., walczył o kraj, o swoją ojczystą ziemię. I zdobył Berlin, lecz jego ojczyste strony znalazły się poza naszymi współczesnymi granicami państwa. Choć obaj moi przodkowie wygrali wojnę, to żal towarzyszył im długo: w czasie, gdy Polska stała się zniewoloną komunistycznym Rzecząpospolitą Ludową oraz kiedy marnowano wolność III RP. I tu dobrym komentarzem są słowa papieża Polaka: „Historia uczy, że demokracja bez wartości łatwo przeradza się w jawny lub zakamuflowany totalitaryzm.”

„Naród bez dziejów, bez historii, bez przeszłości, staje się wkrótce narodem bez ziemi, narodem bezdomnym, bez przyszłości. Naród, który nie wierzy w wielkość i nie chce ludzi wielkich, kończy się.” – mądrze pisał prymas Wyszyński. Jako młoda Polka pytam, dlaczego my, Polacy, nie wierzymy we własną wielkość, dlaczego z historii wybieramy i czcimy tylko nasze porażki i rozdrapujemy stare rany? Nawet Święto Niepodległości przypomina stypę, a nie

dzień radości, w którym upamiętniamy przecież własne zwycięstwo. Chcę, jako młoda Polka, świadoma historii swego narodu, patrzeć jasno w przyszłość, być patriotką, czyli dobrze się uczyć i zdobyć wykształcenie, by kiedyś, swymi umiejętnościami, służyć rodzinie, narodowi i ojczyźnie, będąc wierna słowom Jana Pawła, który mówił do młodzieży na Westerplatte: „Wiemy, że tu, na tym miejscu, na Westerplatte, we wrześniu 1939 roku, grupa młodych Polaków, żołnierzy, pod dowództwem majora Henryka Sucharskiego, trwała ze szlachetnym uporem, podejmując nierówną walkę z najeżdżcą. Walkę bohaterską. Pozostali w pamięci narodu jako wymowny symbol. Trzeba, ażeby ten symbol wciąż przemawiał, ażeby stanowił wyzwanie dla coraz nowych ludzi i pokoleń Polaków. Każdy z was, młodzi przyjaciele, znajduje też w życiu jakieś swoje „Westerplatte”. Jakiś wymiar zadań, które musi podjąć i wypełnić. Jakąś słuszną sprawę, o którą nie można nie walczyć. Jakiś obowiązek, powinność, od której nie można się uchylić. Nie można „zdeztererować”. Wreszcie – jakiś porządek prawd i wartości, które trzeba „utrzymać” i „obronić”, tak jak to Westerplatte, w sobie i wokół siebie. Tak, obronić – dla siebie i dla innych.”

„Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną”

ROZWAŻANIA O ZJAWISKU UZALEŻNIENIA OD INTERNETU I RZECZYWISTOŚCI WIRTUALNEJ WE WSPÓŁCZESNYM ŚWIECIE.

„Znowu północ. Wskazówka na moim zegarku poruszała się z prędkością światła. Jeszcze wytrzymam, nie usnę. Muszę przejść następny poziom i pokazać tym rozbójnikom, kto tu rządzi. Wcale mi się nie chce spać. Pierwsza w nocy – zauważyłem zmęczenie. Już czuję Morfeusza wsysającego mój umysł w głąb sennego świata. Nieważne, muszę grać! Tak... tak wygrałem! Ha! Ha! Wy nędzne pikselki, teraz jestem waszą panią, mogę wam mówić, co macie robić, mogę wam wejść do waszych cyber-mózgów i pozmieniam wam dane. Powykręcać śrubki dla zrównoważenia psychicznego! Przechylę szalę na korzyść świata fantazji i różowych landrynek.

Godzina trzecia w nocy. Gwiazdy na niebie tańczą poloneza, a księżyc przygrywa im na ukulele. I koniec, komputer zgasł. Czas już iść spać. Układając głowę na poduszce wypełnionej czarnym, błogim światłem sennego zapomnienia, zobaczyłam ołtarz w swoim kościele, ale zamiast księdza przy ambonie stał czarny laptop w koloratce i głosił kazanie: „Ja jestem nędznym bajtem w jego obliczu. To On – Wielki Serwer nakręcający naszą przestrzeń jest naszym władcą, bogiem. Nie ma drugiego, tak pojemnego i szybkiego w całej cyberprzestrzeni. Twoja zguba to czczenie innego źródła informacji.” Ja też tam byłam. Wyglądałam jak głośnik komputerowy ubrany w sukienkę koloru pożółkłej zieleni. Obok mnie siedziała myszka, która zamiast kabla nosiła wielkie korale, niczym ogromnie paciorkowce... Co się ze mną dzieje? Tak nie może być! Muszę się obudzić. Co za koszmar. Obudź się! Zlana potem, zziębnięta i wystraszona jak

kura uwięziona w norze lisa, powtarzając słowa „Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną” jak mantrę, poszłam wypić szklanę chłodnej wody. Podziałała na mnie jak zimny prysznic po niezwykle intensywnym i upalnym dniu. Co ja z sobą robię? Już nie pamiętam, kiedy wychodziłam gdzieś z koleżankami. W domu ciągle gram na komputerze, w szkole na komórce, a na lekcjach obmyślam strategię do następnego poziomu. Mam tyle jedynek, ile kolców na metro-wym kaktusie. Muszę się zmienić. Wiem, jutro spotkam się z Alą, tyle razy już ją wystawiłam do wiatru.

Cały poranek bez Internetu włókł się niemiłosiernie. Wskazówki zegara przypominały zawieszony komputer. Myśl o grze skręcała mi kiszki. Była tak natrętna jak wściekła mucha. Ciągnęło mnie do miejsca spoczynku, komputera. On mnie woła, czeka. Idę! Przecież nie zrobię niczego głupiego, tylko na niego popatrzę. Już widzę wirtualny świat, który wielbię wszelką mocą. Nie, nie mogę! Muszę się opamiętać. On mnie woła! Słyszę: „Razem jesteście niepokonani. Możemy wszystko, tylko uruchom grę!”

Dryn... Dryn... Dryn...

Co to? Budzik? Skąd? Czy ja śpię na klawiaturze? Alą tu była czy tylko mi się śniła? Co to za twarz na ekranie komputera, która wiruje mi przed oczami jak tysiąc statków kosmicznych? Co ona mówi? Ratusz się? W jakim sensie? Przecież nie jestem w jakimś śmiertelnym niebezpieczeństwie. Może chodzi tu o grę? A tak, muszę uratować księżniczkę z zamku strzeżonego przez piekielne smoki. Tak... tak wygrałam! Ha! Ha! Wy nędzne pikselki, znów jestem waszą panią!”

VI Dolnośląski Konkurs Literacki o Laur Złotego Pióra „My Polacy, My Dolnoślązacy” rok 2010



VI KONKURSU edycja LITERACKIEGO O LAUR ZŁOTEGO PIÓRA



**ZAPRASZAJĄ
MŁODZIEŻ SZKÓŁ ŚREDNICH
ORAZ 3 KLASY GIMNAZJUM**

*My Polacy
my Dolnoślązacy*

**dla najlepszych
przewidziano cenne nagrody**

SPONSOR GŁÓWNY:



prace napisane w dowolnej formie należy składać do 19 listopada 2010 r.
uroczysta gala - Sala Wielka Ratusza - Wrocław - 29 listopada 2010 r.
bliższe informacje u nauczycieli języka polskiego, bądź pod adresem:

www.liceum-wroc.salezjanie.pl

PATRONAT: PATRONAT MEDIALNY:



PATRONAT HONOROWY:

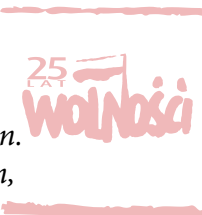
Rafał Jurkowlaniec - Wojewoda Dolnośląski
Beata Pawłowicz - Dolnośląski Kurator Oświaty
Rafał Dutkiewicz - Prezydent Miasta Wrocławia
ks. Marian Gołębiowski - Arcybiskup Metropolita Wrocławski
ks. Stefan Cichy - Biskup Legnicki
ks. Ignacy Dec - Biskup Świdnicki

Anna Aleks

Gimnazjum nr 29 im. Konstytucji 3 Maja we Wrocławiu

**MUZYKA FRYDERYKA CHOPINA TO
WEDŁUG ROBERTA SCHUMANNA „armaty
ukryte wśród kwiatów”, A JAKIE ZNACZENIE
JESTEŚMY GOTOWI JEJ PRZYPISAĆ DZIŚ?
REFLEKSJE O MIEJSCU MUZYKI WE
WSPÓŁCZESNYM ŚWIECIE.
„ZWYKŁY DZIEŃ”**

*Why, you wanna tell me how to live my life?
Who, are you to tell me if it's black or white?
Mama, can you hear me? Try to understand.
Is innocence the difference between a boy and a man.
[...] When The world keeps trying, to drag me down,
I've gotta raise my hands, gonna stand my ground.
Well I say, Have A Nice Day.*



Piąta trzydzieści. Otwieram szeroko oczy, gdy nastawiony poprzedniego dnia budzik wypływa z siebie zlepek kompletnie dla mnie niezrozumiałych dźwięków i słów. Zrywam się gwałtownie, uderzając głową w półkę. Przeklinam cicho pod nosem i rozcieraając bolące miejsce, układam w myślach długą listę wyrafinowanych tortur, które powinny spotkać tego, kto ją tutaj powiesił. Oczywiście zrobiłam to ja sama. Mimo iż mama i każdy, kto tylko miał sposobność, stanowczo mi to odradzał. A może właśnie dlatego? Sama nie wiem. Siadam na łóżku, staram się złapać i zachować ulatniające się coraz szybciej resztki snu. Kształty i obrazy są już całkiem zamazane, tylko w głowie wciąż kłębią mi się wesołe nuty, które towarzyszyły mi tej nocy. Na twarz wypływa krzywy uśmiech. Nigdy nie zdoła-

łam opanować tej umiejętności. Ubieram się pośpiesznie i niedbale, nigdy nie przywiązywałam zbyt wielkiej wagi do szczegółów. Kątem oka dostrzegam potępiający wzrok mamy. Nic nie mówi, ale doskonale wiem, co myśli o moim stroju, który nie jest ani wulgarny, ani wyzywający. Jest po prostu czarny. Naburmuszona siada sztywno przy stole, ignorując moje ciche „cześć” rzucone mimochodem przy głośnym trzaśnięciu drzwiami. Miłego dnia.

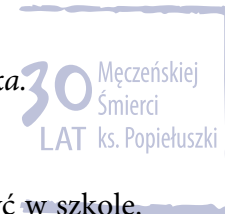
*W moim domu mieszka ktoś
Niepotrzebny nikomu
Gdzieś z daleka, nie wiem skąd
Inność rodzi złość
[...] Tak niewielu rozumie, gdy On
Ucieka tam, gdzie nikt nie pyta
O to skąd jesteś, jak się nazywasz
Gdzie każdy z nas może poczuć się taki sam*

Stoję na przystanku i płaczę. Świat płacze razem ze mną. Machinalnie podgłaśniam muzykę, tak by zagłuszyć dźwięk kropel bębniących w dach przystanku. Nie podoba mi się ten deszcz. Zwykle jest moim przyjacielem, ale dzisiaj jest inaczej. Dzisiaj stara się mnie przekrzyczeć, udowodnić, że cierpi bardziej ode mnie. Pojedyncza łza spływa po moim policzku, to już ostatnia. Nadjeżdża autobus. Opuszczam krainę Wiecznej Obojętności. Z każdą minutą coraz bardziej oddalam się od deszczu i od mamy. Od jej złych nastrojów, od pełnych wyrzutu spojrzeń rzucanych z ukosa, od wiecznych migren, od nienagannie wyprostowanej sylwetki, od ust zaciśniętych w cienką kreskę, od ciszy, która stała się jej prawą ręką, jej najlepszym powiernikiem, narzędziem do karania mnie. Jednak to odeszło wraz z deszczem.

*Welcome to the jungle,
we've got fun n' games.
We got everything you want,
Honey, we know the names.
We are the people that can find
Whatever you may need.*

Stoję na przystanku i uśmiecham się. W słuchawkach wybuch kakofonia dźwięków, ściszam muzykę o parę tonów, chłonę miasto. Zajmuję swoje zwykłe miejsce, w centralnej części przejścia podziemnego znajdującego się tuż obok rynku. Ludzie nie ułatwiają mi pracy. Większość, gdy podtykam im pod nos kolorową ulotkę, grzecznie odmawia. W moją stronę idzie mężczyzna, około trzydziestki, postanawiam wykorzystać okazję, nieśmiało wyciągam rękę z ulotką. Mężczyzna patrzy na mnie pogardliwie. Przekleństwa, którymi mnie raczy, docierają do mnie w postaci nikłych strzępów, skutecznie zagłuszone przez muzykę. Spluwa mi pod nogi. Opadam bezradnie na stopnie schodów, próbuję nabrać dystansu. Mam wrażenie, że muzyka jest coraz głośniejsza i głośniejsza, coraz bardziej się w niej zatracam. Welcome to the jungle... Podnoszę głowę. Płyta już się skończyła, ale chłopak z gitarą wciąż gra, patrząc wymownie w moją stronę. Welcome to the jungle.

*Za mądra dla głupich a dla mądrych zbyt głupia.
Zbyt ładna dla brzydkich, a dla ładnych za brzydka.
Za gruba dla chudych, a dla grubych za chuda.
Spróbuj się domyślić, gdzie to mam, no gdzie?*



Stoję na przystanku, chociaż powinnam teraz być w szkole. Tchórz. Powinnam siedzieć samotnie w ostatniej ławce i rozwiązywać zadanie z matematyki. Tchórz. Powinnam na przerwie usiąść w rogu korytarza, na pustej ławce. Tchórz. Powinnam. Zamiast tego zapalam kolejnego papierosa. Nie czuję odprężenia, nie działa. Do uszu wlewa się łagodzący balsam dźwięków. Cudowny głos Nosowskiej zbiera w całość resztki tego, co kiedyś było odwagą, a teraz wije się żałośnie pod moimi nogami, powodując ciągle upadki i potknięcia. I teraz staję z nią oko w oko, widzę trzęsące się nogi i zgarbioną sylwetkę. Chybcze się na boki, ale nie upada. Dwadzieścia minut później siedzę samotnie w ostatniej ławce i rozwiązuję zadanie z matematyki. Na przerwie odnajduję pustą ławkę w rogu korytarza. Uśmiecham się krzywo do własnych myśli. Nakładam słuchawki, jestem teraz sama, ale nie samotna, tysiące głosów w mojej głowie, odtwarza wciąż te same nuty.

Siedzę w autobusie, dookoła mnie cisza, tak gęsta, że można by ją kroić nożem. Po głowie chodzi mi milion dźwięków, które chciałabym teraz usłyszeć. Niestety, odtwarzacz i słuchawki do niczego mi już nie posłużą, po tej przypadkowej acz intensywnej kąpieli wodnej, której doznały dzisiejszego popołudnia. Czuję się naprawdę dziwnie, jakbym uczestniczyła w niezbyt udanym spektaklu. Muzyka jest dla mnie tym, czym soundtrack dla filmu. Wprowadza mnie w odpowiedni nastrój, prowadzi bezpiecznie, utartymi ścieżkami wprost do celu, ukierunkowuje mnie. Wprawdzie drogę wybieram sama, ale ona wciąż i wciąż utwierdza mnie w przekonaniu o słuszności tego wyboru. Teraz, gdy tego zabrakło, mam wrażenie, jakby moja głowa miała zaraz wybuchnąć. Patrzę tępo w oparcie fotela, staram się zablokować gwałtowny napływ wszelkiego rodzaju myśli i odczuć, które mieszają się między sobą, zanim jeszcze zdążę prawidłowo je odczytać. Mętlik. Zamykam oczy, staram się zrelaksować. Chwila spokoju, a teraz znów mam wrażenie, jakby jakiś bardzo natarczywy gość dobijał się do moich drzwi, o niezbyt stosownej porze. Głowa mi pęka. Wsiadam z autobusu, zataczając się i chwiejąc, jakbym była pijana. Najgorsza jest świadomość, że z chwilą, gdy wejdę do domu, te wszystkie odczucia tylko się nasilą. W końcu to kraina Wiecznej Obojętności, kraina Brzęczącej Ciszy.

Otwieram drzwi do domu i z zaskoczeniem stwierdzam, że nie słyszę ciszy. Nie potrafię rozszyfrować co to takiego. Instynktownie idę w stronę kuchni, skąd dochodzą odgłosy. Drzwi są uchylone. Popycham je lekko, a moim oczom ukazuje się o tyle dziwny, co zupełnie niespodziewany obraz. Mama siedzi przy stole, lekko zgarbiona, zapatrzona w niewidoczny dla mnie punkt, a z głośników sączy się melodia Marsza Żałobnego Chopina. W pierwszej chwili jej zachowanie wydaje mi się karykaturalne i przerysowane, to dlatego, że od dawna nie widziałam jej takiej spokojnej i rozluźnionej, a dokładnie od dnia odejścia taty. Chwilę potem przestaję się już dziwić. Muzyka, aż do teraz zupełnie mi obca, porządkuje zbłąkane myśli, łagodnie goi rany, zadane przez nieokrzesane strzępki materii, odkrywa przede mną coraz to nowe ścieżki zamknięte wcześniej dla mojego umysłu. Stoję w drzwiach zasłuchana, uradowana z nowe-

go odkrycia, gdy nagle dźwięk urywa się, jakby za sprawą mocnego szarpnięcia. To mama zauważyła moją obecność i z powrotem założyła swoją maskę. Wycofuję się do swojego pokoju. Tam dokonuję serii niezwykłych dla mnie odkryć. Dzisiejszej nocy do snu kołysze mnie melodia Marsza żałobnego.

WYKORZYSTANE PIOSENKI

- **Bon Jovi – Have a Nice Day**

Tłum. *Dlaczego chcesz mi powiedzieć jak mam przeżyć swoje życie?*

Kim jesteś by mi mówić czy jest czarne czy białe?

Mamo czy mnie słyszysz? Spróbuj zrozumieć.

Niewinność jest różnicą między chłopcem a mężczyzną.

[...] Gdy świat próbuje, ściągnąć mnie na dno,

Muszę podnieść ręce żeby utrzymać się.

Mówię więc, Miłego Dnia.

- **Myslovitz – Polowanie na wielbłąda**

- **Guns N'Roses – Welcome To The Jungle**

Tłum. *Witaj w dżungli,*

mamy tu masę rozrywki.

Mamy wszystko czego zapragniesz,

kochanie, wiemy wszystko.

Jesteśmy ludźmi, którzy potrafią znaleźć ci

wszystko czego potrzebujesz.



*„W życiu jednostek i narodów bywają momenty taką miarą
nieszczęść napełnione, że nic w nich zmieścić się nie może.”*

ODNIEŚ TE SŁOWA ELIZY ORZESZKOWEJ DO SWOJEJ DUŻEJ I MAŁEJ OJCZYZNY. KRONIKA POLSKIEJ PAMIĘCI ZBIOROWEJ.

Autor: Porywisty WIATR HISTORII

*Motto: „W życiu jednostek i narodów bywają momenty taką miarą
nieszczęść napełnione, że nic w nich zmieścić się nie może”*

Rok 1865

Lecę ponad lasem szumiącym cichym jękiem konających. Więcej w koronach drzew, opowiadających o niedawnych walkach. Mijam wieś i miasta, w których kobiety przyoblekają żałobne suknie. A więc upadło... Najkrwawsze, najcięższe... Powstanie Styczniowe. To, które zjednoczyło Polaków w nielegalnym, ale sprawnie działającym państwie, jakiego dotąd świat nie widział. Dawало nadzieję na odzyskanie Tej, której nie było na mapach Europy. Wszędzie oglądam nieutulony żal... Gloria victis!

Rok 1920

Tak, odzyskali wolność. Lecz nawet ja dostrzegam, jaka jest krucha. A tak się cieszyli... Po 123 latach niewoli! Nie starczyło widać bólu umacniania granic... Lecę na wschód. Widzę całe mrowie wojska barwy krwi. Chcą przez trupa Twego, o Polsko, przeć dalej na Zachód. Pragną wszędzie zasiać swą czerwoną zarazę. I tylko Ty stoisz im na drodze. Ojczyzno moja! Czy w dwa lata po odzyskaniu niepodległości miałabyś znów ją stracić?!

Rok 1939

1 września widziałem niemiecki pancernik, który rozpoczął wojnę. Jego wystrzał rozdarł moje wnętrze i serca Polaków. Ale mimo tak

ogromnego cierpienia to jeszcze nie wszystko. Dziś, 17 września, Ciebie Polonio, mężnie broniącą się, dobija radziecki nóż w plecy. Czara Twojej goryczy pełna jest aż po brzegi.

Rok 1944

Przybyłem do Warszawy dowiedziawszy się o rozpoczęciu Powstania. Stawiłem się wiernie. W Tobie, Stolico, była nadzieja całego kraju! Przez 63 dni słałem ku niebu melodie piosenek połączone z odgłosami walk. Delikatnym muśnięciem chłodziłem drobne twarzyczki dzieci i dojrzałe oblicza mężów. Widziałem stacjonującą w pobliżu Armię Czerwoną czekającą aż Polacy sami pokonają Niemców. Próbowiałem ratować alianckie zrzuć. Byłem jednak za słaby, by je przenieść w odpowiednie miejsce. Patrzyłem na cierpienia setek istnień ludzkich, którym wojna odebrała marzenia, przyszłość... życie. Napełniony pyłami z burzonych domów opuszczam to miasto, tak jak jego mieszkańcy. Czy nadszedł Twój kres Polsko?! O, jakże pełne nieszczęść są Twe dzieje!

2.04.2005 roku

Jak Polska długa i szeroka widzę łzy i słyszę modlitwy osieroconych ludzi. Wznoszą się one na mych skrzydłach ku niebu, tak jak Jego dusza. Ojczyzna straciła najlepszego ambasadora, największego z rodu Słowian. Wielki ból, niepowetowana to strata. Czy za granicami kraju znowu będziecie kojarzeni tylko z zaradnością i pijaństwem? Mimo bólu, podnieście głowy i otrzyście łzy! Krzyczcie: Santo subito! Zyskaliście jeszcze jednego orędownika waszej strudzonej Ojczyzny u Ojca Niebieskiego...

10.04.2010 roku

Zataczam koło. Katyń – Smoleńsk. Kolejny raz ginie elita. Winą obarcza się pilotów i pogodę. Wielkiego bólu nigdy chyba nie uleczy poznanie prawdy. Czyżby powtórzyła się historia generała Sikorskiego? Ale co jest ważne? To, że znów potrafiliście wspólnie wziąć na swe barki ogromny krzyż Waszego Narodu. Polsko! Patrzy na Ciebie świat cały. Na śmierć tamtych z 1940 i tych z 2010 roku...

Październik 2010 roku

Podążam w góry. Tu się zrodziłem, to moja mała Ojczyzna, którą ukochałem. Czy również tu znajdę ból i cierpienie? Przez uchylone okna wlatuję do mieszkań. Cóż tu zastaję? Kłótnie, spory, brak pieniędzy, chleba, ciche i głośnie wojny domowe, alkohol, przemoc. To właśnie stąd wychodzą ludzie nie znający sensu życia, marzący o śmierci lub rzucający agresywne odpowiedzi na wyzwania losu. Wszędzie pełno załamanych jednostek. W ich życiu i w życiu Narodu całego za często przewijają się momenty przesycone cierpieniem... Im ich więcej, tym bardziej przygnębione staje się całe społeczeństwo. Na zewnątrz niby wszystko wygląda normalnie. W wielu jednak sercach czara goryczy zaczyna już przebieierać miarę.

Przesłanie:

Ty, który czytasz tę kronikę żyjesz w trudnych czasach. Może spadają na Ciebie trudności, może cierpienie Narodu łączy z własnym bólem i nic innego zmieścić w nim już nie możesz. Ale wciąż istniejesz.

Pamiętaj, że:

*„ocalałeś nie po to aby żyć
masz mało czasu trzeba dać świadectwo”*

Opowiadaj o tych smutnych chwilach. Nie można o nich zapomnieć. Sam żyj i pracuj tak, by nie przysparzać zmartwień Ojczyźnie i swoim bliźnim. Ich los i los Twego kraju leży także w Twoich rękach i zależy od Twoich decyzji. Chcę nauczyć Cię, jak wobec przygniatającego cierpienia zachować godność i trwać:

*„Idź dokąd poszli tamci do ciemnego kresu
po złote runo nicości twoją ostatnią nagrodę*

*idź wyprostowany wśród tych co na kolanach
wśród odwróconych plecami i obalonych w proch”*

Przyjmij do serca „Przesłanie Pana Cogito”:
„Bądź wierny Idź”

Marek Huzar

Gimnazjum nr 1, im. Marii Skłodowskiej-Curie w Górze

MUZYKA FRYDERYKA CHOPINA TO WEDŁUG ROBERTA SCHUMANNA „armaty ukryte wśród kwiatów”, A JAKIE ZNACZENIE JESTEŚMY GOTOWI JEJ PRZYPISAĆ DZIŚ? REFLEKSJE O MIEJSCU MUZYKI WE WSPÓŁCZESNYM ŚWIECIE.

Zaczyna się – pierwsze dźwięki. Niedaleko mnie wyrasta z ziemi kamienica. Chwilę potem dzieli już przestrzeń z bliźniaczo podobnym budynkiem. Zachwycony, omiatam wzrokiem ozdoby umieszczone na frontowych ścianach nowo powstałej ulicy, by nagle uświadomić sobie, że omiatany jestem ja – dławiącym, szarawym pyłem, w który zamienili się domy. Nie dostrzegam lecącej kuli, nie ogłuszają mnie wystrzały. Wokół mnie biegają strwożeni ludzie i to im poświęcam całą uwagę. Jakaś staruszka upadła, potknąwszy się o gruzy leżące na środku ulicy...

Kolejne takty snują nieznosnie historię listopadowej tragedii; ja zaś czuję, że to, co ujrzałem, w zupełności mi wystarcza. Ktoś wciska przycisk pauzy i końcówka chopinowskiego komentarza dotyczącego jesiennego zrywu z 1830 roku rozplywa się po przestrzeni pokoju.

– Wiesz, dziadku... dziwi mnie, że potężny samowładny monarcha nie dostrzegł armat ukrytych wśród kwiatów – usiłuję rozwiać resztki nader realistycznej wizji.

– Robert Schuman, brawo! Widzę, że odrobiłeś lekcje.

– No tak, przecież inaczej nie dałbyś mi spokoju! Dlaczego on nie zauważył...

W chwili namysłu mój rozmówca drapie się po nosie, przy okazji przekrzywiając sobie okulary. To mój dziadek, Jan. Zanim przeszedł

na emeryturę, uczył w szkole muzycznej. Ze względu na pogodne usposobienie i nieustającą chęć do rozmowy, był tam przez wszystkich powszechnie lubiany. Ja także utrzymuję, że jest przemiłą osobą, pomimo kilku irytujących słabostek.

– W końcu to etiuda, tylko ćwiczenie. – ponownie zabieram głos – Nie każdy jest zdolny dostrzec geniusz Chopina wyrażony w etiudzie, zatem mistrz mógł tworzyć swoją muzykę bez obaw.

– Racja. Dobra nasza!

Siedzimy naprzeciwko siebie w fotelach, w salonie dziadka. Przypominam sobie jego słowa sprzed tygodnia. „Dwieście lat minęło od jego śmierci, to szczególnie czas dla Polaków. Chcę, aby mój kochany wnuczek ugryzł nieco historii, muzyki Fryderyka Chopina, no i mojej szarlotki. Zapraszam Cię do siebie na pogawędkę, przygotuj się!”. Troskliwy jak zwykle.

– Patriotyczny rys w „Etiudzie op. 10 nr 12” jest dość mocno zarysowany, mimo to potrzeba nietuzinkowej wrażliwości, cechującej właśnie romantyków, aby zapobiec rozmyciu się przekazywanych między nutami emocji. Zawrzeć pojęcie „rewolucja” w utworze muzycznym, pozbawionym liryki, może być dla kogoś wyzwaniem, widocznie jednak nie dla... – z dezaprobatą dziadek spogląda na mnie, zajądającego się ciastem. – Jakieś przemyślenia, wnusiu?

– Mmmm, mmo ta, maf hację – głośno przetykam kęs – na przykład Międzynarodowy Konkurs Pianistyczny nie nosi twojego imienia, tylko Chopina. Doceniono prawdziwego geniusz!

– Ha ha, coś w tym jest. A propos tego konkursu, a dokładniej jego IV edycji. Znalazłem w dokumentach kopię artykułu z „Kuriera Codziennego”, z 1949 roku. Tylko nie pobrudź szarlotką!

Dziadek podaje mi kartkę, na której jest napisane: „*Choroba chopinowska okazała się zaraźliwa i zataczała coraz szersze kręgi. Wszystkim brzmiały w uszach lekkie rytmy mazurków, snuły się po głowie nokturny, śpiewały walce, mieniły się niezwykle kolorami etiudy*”. Reszta tekstu jest nieczytelna.

– Widocznie był to wtedy temat numer jeden wśród warszawiaków. Ale dzisiaj także jest głośno o tym konkursie. – przyznaję –

Szczególnie krytyka tegorocznej laureatki, Yulianny Avdeevy...

– Tak, że „niby gra nie Chopina, lecz siebie”, phi – wtrąca dziadek.

– Nie mnie to oceniać. Myślę jednak nad czymś innym. Obecnie prym wiedzie inny gatunek muzyczny... Czy ten medialny szum jest proporcjonalny do faktycznego zainteresowania ludzi?

– Błędym nie będzie stwierdzenie, że nigdy nie jest. Ale nie o tym mowa. Musisz wiedzieć, że jeżeli dawniej muzyka Chopina miała za zadanie bawić lub wzruszać oraz identyfikować naszych przodków narodowo, w dzisiejszych czasach jej rola pozostała niemalże niezmieniona. Pomimo całej kolekcji „czapek z głów”, które Fryderyk Chopin otrzymał w uznaniu za swoją twórczość, jego kompozycje nie były słuchane przez wszystkich. Ludzie z niższych klas społecznych często nie mieli do niej dostępu.

– Dziwne, biorąc po uwagę fakt, że pianista czerpał inspirację z ich muzyki – dopowiadam.

– Celna uwaga.

– Dziadku, czy utwory Chopina nadal brzmią w sercach i uszach Polaków tak mocno jak niegdyś? – kieruję wzrok na wzdychającego staruszka.

– Trudno powiedzieć. Nie da się tego w żaden sposób obliczyć. Moim zdaniem, brzmią.

– Hm... najlepszym tego przykładem jest seria tych letnich koncertów, grywanych przed pomnikiem Chopina w Warszawie. Ściągają tam tłumy! – raduję się swoim nagłym olśnieniem.

– Gdy zaś ciepłe dni dobiegają końca, ludzie żegnają się z pomnikiem zamyślonego artysty i wracają do brutalnej rzeczywistości oraz komercyjnej muzyki – poetycko kończy dziadek.

– Aż chce się zacytować tytuł hitu grupy Queen: „The show must go on”... A właśnie, kontynuując ten temat – muzyka, której słucham, pomogła mi w wielu sytuacjach; dzięki moim słuchawkom przetrwałem wiele kolejek do kas sklepowych i...

– Zapewne kartkówek? – zabawne, wygląda na to, że doszły go słuchy o moich ocenach.

– Ach, zostawmy to. Często zastanawiam się, czy mogę zrobić coś, aby się moim słuchawkom odwdzińczyć – szczególnie, gdy kolejny muzyczny „produkt” debiutuje wedle zasady „śpiewać każdy może...”

– Smutne, acz prawdziwe. Największą, czasem aż oslepiającą blichtrzem uwagę skupiają na sobie ci, których za nic innego nie można w sumie pochwalić.

– Dlaczego więc wokalistów/zespołów grających naprawdę dobrą muzykę, nie promujemy równie intensywnie? – ze zdenerwowania wiercę się w wielkim siedzisku.

– Moim zdaniem, ostatnimi czasy po prostu zapominamy o wartościach, nie stosujemy rzetelnej, uczciwej selekcji... O co tu chodzi? – dziadek Janek jakby specjalnie otwiera przede mną furtkę.

– Gdy nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o... – mój rozmówca z uśmiechem kiwa głową – Ale gentlemani o tym nie rozmawiają. Nawiązując jeszcze do miejsca muzyki w dzisiejszym świecie, pragnę zauważyć, że stała się dla nas wręcz synonimem... powietrza.

– A ja pragnę w tym miejscu zaznaczyć, że dawniej okazji do obcowania z muzyką było mniej. Natomiast po wynalezieniu tych wszystkich „cudów techniki” sytuacja uległa zmianie. Nastąpił swoisty przesyt, przestaliśmy doceniać prawdziwe perełki. Taka jest ludzka natura, niestety. Często wybieramy również rzeczy prostsze i łatwiejsze. Komercja przede wszystkim.

– Ha! Z dumą mogę oświadczyć, że okres poszukiwań mam za sobą. Nauczyłem się „walczyć” o swój muzyczny gust. Wiele albumów spoczęło już na dnie mojej szafy, dzieląc kurz z innymi płytami. A moi obecni idole wcale nie są gorsi od tych dryfujących na pieniężnej fali popularności.

– Wygląda na to, że trzeba jedynie umieć, a także trochę chcieć, szukać – podsumowuje staruszek, zerkając na zegarek – Oho, chyba czas na powrót do domu, odprowadzę cię do drzwi.

Ubierając kurtkę, coś sobie przypomniałem.

– Zanim pójde... Czytałeś może, dziadku, „Traktat o łuskaniu fasoli”? Przypomniała mi się piękna myśl tam zawarta: „Gdy słowa już

daremne, myśli daremne, a wyobraźni nie chce się już wyobrazać, jeszcze tylko muzyka. Jeszcze tylko muzyka na ten świat, na to życie”.

– Znam, znam... Wiesz, dwieście lat temu mały Frycek wzrastał z tą świadomością i był później w stanie pisać melodie, które unosiły pod same niebiosy i unoszą również dziś. Tak, Chopinowi to się udało – oczy dziadka Jana rozświeciły się w zachwycie.



**MUZYKA FRYDERYKA CHOPINA TO
WEDŁUG ROBERTA SCHUMANNA „armaty
ukryte wśród kwiatów”, A JAKIE ZNACZENIE
JESTEŚMY GOTOWI JEJ PRZYPISAĆ DZIŚ?
REFLEKSJE O MIEJSCU MUZYKI WE
WSPÓŁCZESNYM ŚWIECIE.**

Zapadła sierpniowa noc. Cekał mnie długi marsz przez nieznany las. Trudno znaleźć drogowskazy, więc kieruję się dźwiękami muzyki. Dobiegały z daleka, do celu mam na pewno więcej niż kilometr. Zza drzew wyłoniło się ogromne pole osłonięte tumanem kurzu. Dźwięki słychać było coraz wyraźniej i głośniejsze, a strop nieba zdawały się podierać kolorowe słupy świateł. Nareszcie się tu znalazłam. Przystanek Woodstock przestał być marzeniem, tajemniczą ziemią, którą znałam tylko z opowieści znajomych i kłótni panów w telewizji. Sama mogłam odkrywać ten nieznany ład. Ogromna radość przepełniła mnie całą. Schodziłam łagodnym wzgórzem wzdłuż pola namiotowego, które przypominało pszczeli ul, bo roiło się od kolorowo ubranych i pomalowanych młodych ludzi. Siedzieli przed namiotami, śpiewali i grali swoje ulubione kawałki, w czym zupełnie nie przeszkadzały im ostre dźwięki gitar i pulsująca perkusja dochodzące ze Sceny Głównej. Byłam na miejscu. Razem z innymi dałam porwać się dzikim rytmom i skakałam, nie zwracając uwagi na wszechobecny kurz i pył gryzący w oczy i utrudniający oddech. Po zakończonym występie jakiegoś angielskiego zespołu nastąpiła chwila przerwy – to nie znaczy ciszy: cały Woodstock rozbrzmiewał muzyką, z różnych stron pola i kilku mniejszych scen napływały dźwięki prawie wszystkich stylów: rocka, reggae, punka, heavy metalu, sacro songu i zbijały się w wielki hałas, który niejedna osoba

nazwałaby pewnie jazgotem. Chłonełam tę atmosferę i nie znając programu zastanawiałam się, jaka muzyka popłynie za chwilę i kogo zobaczę na ogromnych telebimach.

Tymczasem na scenie instalowali się kolejni wykonawcy. Zdziwiła już sam zestaw instrumentów. Po co komu na tej imprezie fortepian i kontrabas?! Kilku porządnie wyglądających panów z klasycznymi instrumentami w krótkim czasie opanowało scenę. Jurek Owsiak zapowiedział występ Sekstetu Leszka Możdżera z Tymonem Tymańskim. Mieli zagrać Chopina.... A co to ma być?! Chciałam Lao Che!!! Niektórzy ze skonsternowaną miną zaczęli się rozchodzić, nie powstrzymując się od złośliwych komentarzy. Popłynęły pierwsze dźwięki, jeden po drugim coraz bardziej zapraszały publiczność do słuchania. Falujący dotąd jak wezbrane morze tłum pod sceną zastygł na moment. Natomiast muzyka wydawała się nie zwracać na ten tłum uwagi. Melodyjny temat utworu ustępował strumieniom improwizowanych dźwięków i powoli układał się w nową opowieść. Przez plac pod sceną przeszedł cichy szum szeptów. Artyści wydobywali z duszy swoich instrumentów nowe dźwięki, łamiąc wypracowane sekwencje etiudy. To nie była muzyka Chopina grana przez pana we fraku na sali koncertowej, to był Chopin, który musiał wywalczyć miejsce dla siebie wśród ludzi, którzy nie słuchaliby go na co dzień. Publiczność stała pod wodospadem nut kolejnych improwizacji instrumentalnych lekko oszołomiona i jednocześnie zachwycona. Niezniechęcona przywitaniem melodia odnalazła drogę do nas i najwyraźniej dumna z siebie brzmiała coraz głośniejsze. Puzon brzmiał z tak ogromną mocą, jakby starał się zagłuszyć każdy obcy dźwięk. Niepoddający się jednak kontrabas stale mu to utrudniał. Każdy instrument grał tak, jakby był głównym wykonawcą. Wszystkie kolejno rozpoczynały konkurs między sobą przed publicznością, momentami porywając ją ze sobą wielką falą. Co jakiś czas nastawała cisza przed prawdziwą burzą z piorunami, bo kolorowe światła przebijały się przez ciemność nocy, dodając wszystkiemu jeszcze bardziej ekspresyjny charakter. Muzyki tej nie potrafiłam słuchać bez emocji. Zabierała mnie w podróż rzeką melodii, której granic i celu nie znał nikt, nawet artyści. Zdziwiona byłam, że zachwycona

płynę razem z tymi tysiącami ludzi obok mnie. Nie wyobrażałam sobie, że jazz potrafi ponieść ze sobą tak wielką liczbę osób, nie mających wcześniej do niego sympatii, a co dopiero Chopin w wydaniu free jazzowym.

A jednak, wbrew moim wcześniejszym przypuszczeniom Chopin odnalazł się świetnie we współczesnym świecie. Artyści pokazali, że dla jego muzyki nie ma granic czasowych i tchnęli w niego trochę nowego ducha. Co więcej jego utwory są na tyle uniwersalne, że potrafią zachwycić bardzo odległe od muzyki poważnej gusta. Wydaje się, jakby Fryderyk Chopin miał klucz do serca każdego człowieka i potrafił go poruszyć zupełnie niezależnie od miejsca i czasu. Robert Schumann, współczesny Chopinowi, napisał, że jego muzyka to „armaty ukryte wśród kwiatów” natomiast chopinowskie etiudy zagrane na festiwalu Przystanek Woodstock można z nutą przekory nazwać kwiatami ukrytymi wśród armatnich wystrzałów. Połączyły one w ciągu godziny wszystkich zebranych, bez względu, na to czy ktoś wołał punka, rocka, metal czy reggae. Dziś przecież młodzież podzielona jest także ze względu na rodzaj słuchanej muzyki na subkultury. Zamykamy się sami w świecie swoich ulubionych kawałków, zakładając na uszy słuchawki i włączając MP3. Natomiast w trakcie koncertu każdy, gdy poczuł synkopowany rytm, otworzył się na coś nowego, dotąd mu nieznanego i nikt z pewnością tego nie żałował. Dla nas młodych muzyka jest częścią opowieści o sobie, chęcią wyrażenia naszych emocji, demonstracją naszych poglądów. Kiedy jednak istnieje możliwość, starajmy się być otwarci na to co dla nas nowe i nieznanne. Pamiętajmy, że muzyka nie może stawiać murów, ale powinna łączyć ludzi.

VII Dolnośląski Konkurs Literacki o Laur Złotego Pióra „My Polacy, My Dolnoślązacy” rok 2011



Dominika Muszyńska
I LO w Kłodzku

*„Co zdążysz zrobić, to zostanie, choćby ktoś inne mógł
mieć zdanie.” (Czesław Miłosz, Traktat moralny).*

O PRAKTYCZNYM BUDOWANIU FUNDAMENTÓW MAŁEJ I WIELKIEJ OJCZYZNY.

Każdy z nas ma mamę. Zawsze gdzieś jest, gdzieś była. Gotuje obiad na pożółkłej gazówce, czyta książkę – tak już drugi raz ją czyta, ale lubi, czasami spaceruje już po obłokach. Ale mamy są dwie. Tak jest od zawsze. Mimo wszystko, mimo polityki nawet. Ta druga mamusia, mama, może raczej matka- zdecydowanie szersza w biodrach, trochę wyższa, starsza – zwą ją Ojczyzną. Znamy ją od narodzin, a nawet jeszcze wcześniej. Nasze serce o wielkości fasolki biło przy jej sercu- monumentalnym, lecz nie z kamienia. Jest wspólna dla wielu, ale dla każdego inna. Kochamy ją? Zaprzeczyc nie wypada, wychowanie musi być dobre. Są przecież wartości, szacunek na przykład. Miłość też gdzieś jest, czasami w tej dolnej szufladzie, ale jest. Ludzie są z natury dobrzy, tak się mówi, tak jest. Przecież działamy.

P o l s k a- sześć liter określających wolność, o którą walczyły, walczą miliony. Teraz jest to wolny kraj. Nasze miasta również. Kraków, Gdańsk, Warszawa, Wrocław. Budzimy się rano, możemy spokojnie zjeść świeże kanapki. Możemy przywitać ukochaną osobę, która przespała noc przy naszym boku słowami „dzień dobry” – i nikt nas za to nie zabije. Powinniśmy docenić to, że jest tak, a nie inaczej. Nasi dziadkowie walczyli w wojnach, bitwach, organizowali powstania. Nie przesypiali nocy, nie jedli, daleko od domu, który ostrzeliwany był przez wrogów, walczyli o lepszą przyszłość. „Spacerowali” czarnymi kanałami, wychylali rękę, by sprawdzić czy na powierzchni ziemi są jakieś okruszki – i tracili palce. Tracili też bli-

VII EDYCJA

KONKURSU LITERACKIEGO O LAUR ZŁOTEGO PIÓRA

ZAPRASZA
**MŁODZIEŻ SZKÓŁ ŚREDNICH
ORAZ 3 KLASY GIMNAZJUM**

*My Polacy
my Dolnoślązacy*

**dla najlepszych
przewidziano cenne nagrody**

prace napisane w dowolnej formie należy składać do 18 listopada 2011 r.
uroczysta gala - Sala Wielka Ratusza - Wrocław - 30 listopada 2011 r.
bliższe informacje u nauczycieli języka polskiego, bądź pod adresem:
www.liceum-wroc.salezjanie.pl

PATRONAT MEDIALNY:
Gość Niedzielny, R, niedziela

PATRONAT HONOROWY:
Rafał Jurkowlaniec – Wojewoda Dolnośląski
Rafał Dutkiewicz – Prezydent Miasta Wrocławia
ks. Marian Gołębiowski – Arcybiskup Metropolita Wrocławski
ks. Stefan Cichy – Biskup Legnicki
ks. Ignacy Dec – Biskup Świdnicki

skich, którzy przez nich umierali z głodu. Nie tracili nadziei, że będzie dobrze, że się uda. To byli silni ludzie. Pani Maria znana na całym osiedlu -, wojnę przeżyła, nauciała się, po krzakach spała, bo w domu Niemcy napadali.” Pan Paweł -, ojca mu banda UPA zamordowała. Pan Zygmunt -, do końca września 43’ walczył w AK na ziemiach nowogrodzkich, później praca dywersyjna w Niemczech i areszt. Pan Jan – wzięli go jako partyzanta, że niby Żydów przetrzymywał,, nawet jak Ruskie przyszli i wyswobodzili, nie miał spokoju.” A przed nimi jeszcze miliony innych, tych co krew i łzy wylewali, ginąc od broni wroga. I powiedz im, że to co robili nie ma sensu, że to nic nie znaczy. Nie da rady. Bo mamy morze, góry, jeziora- nie byle jakie, bo polskie.

Czy dziś nie jest tak, że zamiast żyć – biegniemy? Spiesząc od punktu A do punktu B, tempem japońskich kolei, możemy nie zauważyć tego, co tak naprawdę jest istotne. Przy drodze rośnie drzewo. Traci liście. Czy ktoś przechodząc obok, zastanawia się jeszcze kto je posadził? W jakim celu to zrobił? Może to mężczyzna, który planował także założenie rodziny i wybudowanie domu. A może tylko firma, dbająca o zieleń miasta. Jesteśmy spadkobiercami dobra, które po sobie zostawili- Ci przed nami. To, czy pozostaniemy obojętni na dalsze losy naszej Ojczyzny, czy będziemy bazować tylko na tym co mamy- zależy jedynie od nas. Przeszłość jest istotna, wiemy, ale każdy dzień staje się historią. Ona tworzy się na naszych oczach. To my ją kreujemy. Być może będą pisali o nas w książkach. Ciekawe, ile byłoby to wersów i jaki miałyby one charakter? Napiszą o ludziach wdzięcznych, dobrych, pełnych szacunku? Jaka będzie ta literatura? Chyba nie wojenna? Myślę, że nie. Dziś nie ma potrzeby wyciągania grubej artylerii. Na powstania też nie ma miejsca. W miastach ciasno, bo ludzi dużo. Szkoda byłoby sklepów, tam tyle butów, spódnic, cukierków też dużo. Teraz jest chyba tak, że nie działamy już przeciwko komuś. To co robimy jest dla nas, dla naszych dzieci, dla wnuków. Do czynów wiodą nas, wpojone w latach dzieciństwa wartości, jakieś cele.

Fundamenty Ojczyzny są potrzebne – wiemy, bo już na nich budujemy. Choć są mocne, powinniśmy o nie dbać i je wzmacniać.

Bo kto wie, kiedy przyjdzie wielka woda, wielki ogień, czy też przemazzeruje przez nasze czarnoziemny szereg buldożerów. Ale... nie chcemy się przecież wyróżniać? Mentalność żyjących dziś, kruchych, ale niby to twardo stąpających po ziemi ludzi, jest dziwna. Niektórzy działają, to widać. Widzą to Ci wrażliwszi. Inni uczestniczą w tym nieświadomie.

Ci pierwsi, w święta państwowe, wywieszają flagi naszej stylizowanej Polski. Wiszą one przy umytych oknach. Starsze panie w kolorowych fartuchach, myją je co jakiś czas. Kraj musi się godnie reprezentować. Może, gdy ktoś będzie szukał, np. w dzień niepodległości, jedynego otwartego na osiedlu sklepu, by kupić piwo w ramach obiadu i zobaczy trzepoczącą na wietrze z zachodu flagę- zastanowi się nad jej znaczeniem. Doceni to tak, jak idące powoli do kościoła dewotki, rozglądające się po blokach za nowinkami. One już trochę przeżyły, znają się na rzeczy. Wiedzą, że takie porywy patriotyzmu służą i muszą być kultywowane. Młodzi też się znają. Nawet ci uważani za najgorszych, ci w dresach, niosący coś w kierunku stadionu, w plecakach ocierających się o ortalionowe kurtki. Kilka sekund później widzimy jak nad głowami kibiców, wiją się na wcale to niezużytych materiałach nazwy ich miejscowości w drużynowych kolorach. Chłopcy z ogolonymi na łyso głowami nie mają zbyt dobrej opinii, nawet gdy na ich ustach,, Mazurek Dąbrowskiego”, pozostają tymi złymi. Ktoś wyrobił im taką opinię, niekoniecznie oni sami. Zło częściej zostaje w pamięci, niż dobro. Dlatego tych lepszych rzeczy musi być więcej. Polaków też powinno być więcej.

Jak widzimy dzisiejszą, nowoczesną rodzinę? Jest mama- włosy starannie upięte, na nosie okulary, nie byle jakie, żakiecik, spodnie, chyba, że tradycjonalistka- to w spódnicy. Jest tata- właśnie wychodzi z ciemnego samochodu, zachodniej marki, w jego oczach rysuje się pytanie, czy aby zabrał wszystkie papiery z biura, które miał przejrzeć w domu, na sobie ma dokładnie wyprasowany, idealnie czysty garnitur- choć jest już po całym dniu pracy. Jest dziecko. Jedno dziecko. Trochę to przykre, ale teraz typowe. Czy też się mylę? Spędza ono czas z babcią lub w przedszkolu, ubrane w czerwoną kurteczkę z najnowszej kolekcji renomowanej sieciówki. Na

myśl nasuwa mi się pytanie: Czy dwójka dzieci byłaby już przesadą? Czy naprawdę jedyny czas spędzany z tym młodym Polakiem to niedzielne zakupy w markecie i jazda samochodem, podczas przewożenia małego geniusza z korepetycji z angielskiego na kurs tańca? Czy chcemy mieć w przyszłości społeczeństwo zarozumiałych ściśłowców, którzy całe dnie będą przesiadywali w firmach i nawet nie zobaczą pierwszych samodzielnych kroków, postawionych przez swoje pociechy, na naszej polskiej- niegdyś nękaną ziemi, którzy nie usłyszą od nich pierwszego polskiego słowa? Tymczasem, może warto przysiąść z filiżanką dobrej herbaty i nad tym pomyśleć. Pomyśleć nad tym, jaką chcielibyśmy widzieć przyszłość. Zdecydowanie nie musi być to obraz arkadyjskiej krainy. Nawet mnie przerastają takie myśli. Ale czy państwo, w którym chcieliby żyć ludzie, nikt nie myślałby o emigracji, tworzyłyby się kochające rodziny i byłyby stanowiska godziwej pracy, nie jest realne?

Rok 2011, ekspresowy rozwój techniki, wyższa kultura traci odrobinę na wartości, ale od magistrów aż się roi. Dziś można właśnie tak. Takie są realia i chyba tego nie zmienimy. Dobrze byłoby, gdybyśmy wykorzystywali talenty, dane nam przez Boga. Nawet Jan Kochanowski (w pieśni- „O dobrej sławie”) pisał, że patriotyzm to takie właśnie działanie. Może ktoś np. ładnie śpiewa, pomyśli- i cóż mi z tego? A tu rada, żeby wystąpić, chociażby dla lokalnej publiczności, pokazać się. A nuż miasto, na tym coś zyska. O! Politykiem można zostać. Nie ma co narzekać, że się coś nie podoba, tylko działać. Albo inaczej jeszcze: firmę założyć, albo chociażby gospodarstwo – pożytecznie wykorzystywać każdy kawałek naszego kraju.

Ludzie różnie mówią. To wiadomo od wieków. Jedni się krajem interesują, inni mniej, ale to jak ze wspólnotą mieszkaniową. Żarówka na ganku przestanie świecić, to jeden będzie czekał, aż kto inny to zauważy, a właśnie ten drugi wymieni. Ze składki miesięcznej na żarówkę szkoda. Są też tacy co nawet nie dostrzegą dobrego serca sąsiada, który wydał 7,50 na świetlówkę, ale ten będzie miał przynajmniej spokojne sumienie, będzie wiedział, że coś zrobił, że jak w korytarzu światło, to się przynajmniej nie potknie. Obywatele nie powinni czekać na działanie innych, ale zabrać się za fundamen-

ty, ściany i dach. Warto dbać o swoje sumienie.

„Katowickie węglokopy”, i ci co pierniki pieką w Toruniu, i ci od warszawskiej syrenki, a nawet prości chłopcy z Mazur. Widzimy, że coś zrobili. Mówi się o nich. Umocnili fundamenty. Każdy coś może. Nigdy nie będzie tak, że nasz czyn nie zostanie zauważony. Są przecież obcy i bliżsi ludzie, są mrówki i chrabąszcze, w ostateczności ściany, które przecież mają uszy.

„Bo wolność nam dana jest przez Boga, jest nam nie tylko przez Boga dana, jest nam także zadana!”

(Jan Paweł II, Homilia wygłoszona podczas „Statio Orbis” na zakończenie 46 Międzynarodowego Kongresu Eucharystycznego we Wrocławiu 1 czerwca 1997 r.)

TWÓJ GŁOS W SPORZE O SPOSÓB ROZUMIENIA WOLNOŚCI CZŁOWIEKA.

Od dwóch godzin opierał się plecami o chłodną, przybrudzoną ścianę i co jakiś czas zerkał ukradkiem w stronę niedbale zwiniętego na twardym łóżku pościelonego prześcieradła. Otaczała go ciemność, a on zupełnie stracił rachubę czasu. Gdy po raz ostatni spoglądał na podświetlony cyferblat swojego zegarka, dochodziła północ. Wszystko zaczęło się dokładnie rok temu, w wietrzną i zapłakaną listopadową noc, lśniącą światłami wypływającymi z oszklonych biurów.

Gdy dawniej przesiadywał wieczorami nad Odrą, całym jego umysłem władało poczucie ogromnej wolności. Nie opłatały go żadne łańcuchy, nie krępowały niczyje zakazy ani konstytucyjne kartki. Był pewien, że może robić to, na co ma ochotę. Takie samo poczucie wolności towarzyszyło mu, gdy jechał zatłoczonym autobusem przez tonące w dymie spalin ulice. Mokną od potu ręką ścisnął rękojeść rewolweru trzymanego w kieszeni spranych spodni, a spojrzenie jego sennych, na wpół przymkniętych czarnych oczu błędziło po zakurzonej szybie i opłatało zamglone sylwetki ludzi spacerujących po chodnikach. Wdychał duszący zapach perfum, zbyt obficie wylanych na szyję starszej kobiety, która co parę sekund wycierała zaczerwieniony nos zmiętą chusteczką w zielono-czarną kratę. Z przystanku, na którym wysiadł, poszedł w stronę szeregu dobrze mu znanych kamienic z czerwonej cegły. Starał się o niczym nie myśleć podczas

swojej niemającej końca wędrówki pomiędzy snującymi się w przeciwnym kierunku widmowymi postaciami. Zatrzymał się dopiero przed drzwiami pokrytymi łuszczącą się brązową farbą. Otworzył je mocnym szarpnięciem i wspiał się po schodach na trzecie piętro, ostrożnie stąpając po kilkucentymetrowej warstwie kurzu. Nie chciał rozdrapywać starych ran, bo przecież nie tak dawno obiecał sobie, że już nigdy nie wróci do tej kamienicy, ale wieczory spędzane samotnie na wilgotnej trawie nad Odrą umocniły w nim poczucie wolności, świadomość, że może postępować wedle zasad, które sam uzna za słuszne. Pragnął wymierzyć sprawiedliwość, bo uważał, że ma do tego pełne prawo. Nawet nie popatrzył w podkrążone, zaczerwienione oczy mężczyzny, który otworzył mu drzwi. Huk wystrzału zagłuszył sumienie i myśl, która ułamek sekundy przed wystrzałem znalazła się w jego głowie – że być może jego ojciec miał prawo żyć.

W powietrzu unosiła się silna woń środków do czyszczenia drewna oraz drogich perfum, których używał jego adwokat, młody, żywiołowy i ogolony tak gładko, jak gdyby na tę czynność przeznaczył co najmniej cały dzień. Wyglądał na niecierpliwego, miał rozbiegane oczy, ale ani razu nie zaszczycił spojrzeniem swojego klienta.

Sędzia, łysiejący mężczyzna w przykrótkiej todze z fioletowym, niedbale zapiętym żabotem odczytał wyrok, stojąc dumnie jak wiecznie przybrudzony i okurzony posąg bogini sprawiedliwości, podczas gdy on stale wpatrywał się w swoje splecione na blacie palce. Jakim prawem ten człowiek mówił mu, powołując się na konstytucyjny artykuł, gdzie jest granica jego wolności? Jakim prawem pozbawiał go swobody, jakim prawem deklamował napuszonym tonem te wszystkie wytarte, puste słowa, nieskrywające w sobie ani krzty znaczenia? Jakim prawem...? Miał ochotę wstać i krzyczeć, tak głośno i tak długo, aż zabraknie mu głosu, aż pozwolą mu stąd odejść, aż każdy zrozumie, iż jego wolność upoważniła go do zastrzelenia ojca za to, że przed laty zostawił swoją rodzinę. Zaskliły mu się oczy, na moment stał się znowu sześciolatnim chłopcem, przyciskającym do piersi poplamioną maskotkę z na wpół oderwaną główką i czekającym, aż lży płynące wąskim strumykiem po jego zmarzniętych policzkach zaschną. Obrócił lekko głowę, poszukując

wzrokiem znajomej twarzy mamy, mimo iż wiedział, że ona na pewno nie przyszła, przecież umarła kilka lat temu. Grube palce mężczyzny w mundurze zacisnęły się na jego ramieniu. Wstał, wbijając wzrok w czubki swoich zniszczonych adidasów.

Skrupulatnie skreślał kolejne daty w wiszącym na ścianie białym kalendarzu z widokiem na jakąś zachodnioeuropejską metropolię. Od roku odliczał czas, jaki jeszcze będzie musiał spędzić za kratami. Początki znosił bardzo ciężko, nie potrafił zrozumieć, dlaczego ktoś ogranicza mu wolność, dlaczego zamyka go w małej celi i zabrania mu oglądania zachodów słońca nad rozświetloną taflą rzeki. Denerwował się, krzyczał, nie spał w nocy. Spora część więźniów uważała go zapewne za wariata, a on był tylko uwięziony przez poczucie wolności tak silne, że nie pozwalało mu chłodno spojrzeć na świat. Uspokoił się dopiero po ponad miesiącu, gdy odwiedził go przyjaciel z czasów szkolnych. Patrzył w jego szare oczy, zaciskając usta z bezsilności i nie wiedząc, co powinien powiedzieć. Wszystkie słowa, jakie przychodziły mu do głowy, połykał, zanim zdążył otworzyć usta, by wyrzucić je na zewnątrz. Gdy w końcu wypowiedział pierwsze, kolejne popłynęły jak potok. Przyjaciel odezwał się dopiero wtedy, gdy on skończył opowiadać. Nadal jesteś wolny, bo nigdy nie byłeś bardziej wolny niż teraz, powiedział. Masz prawo do życia, masz prawo do bycia sobą. Cela niczego ci nie ogranicza, bo wolność masz w sobie, a nie na zewnątrz.

Nie wiedział, czy się roześmiać, czy nie. Słuchał słów swojego przyjaciela, myśląc sobie w duchu, co on może w ogóle wiedzieć o wolności. Zwykły pracownik budowlany w przetartej marynarce, z trójką dzieci w domu i żoną robiącą mu kanapki do pracy. Wolność?

A teraz siedział w swojej celi, wciąż wbijając coraz bardziej senny wzrok w niedbale złożone na łóżku prześcieradło i wiedząc, że przyjaciel naprawdę miał rację. Nie potrafił zrozumieć, jakim cudem dawniej pozwolił się tak omotać poczuciu złudnej wolności, dlaczego zniewoliło go ono do tego stopnia, że nie wiedział, co robi. Wskazówki na podświetlonym cyferblacie pokazały mu pierwszą. Rocz-nica śmierci jego ojca. Dobrze wiedział, że tej nocy już nie zaśnie.

„Bo wolność nam dana jest przez Boga, jest nam nie tylko przez Boga dana, jest nam także zadana!” (Jan Paweł II).

TWÓJ GŁOS W SPORZE O SPOSÓB ROZUMIENIA WOLNOŚCI CZŁOWIEKA.

„Mogę zobaczyć kartkę białego papieru – zaczął. – Nic nie jest na nim napisane, jest zupełnie czysty. Dopiero został zrobiony. Jest nowy. Można z nim wiązać wielkie nadzieje: może ktoś napisze na nim piękny list. Albo narysuje śliczny rysunek, na przykład portret dziecka. (...) Ale wielka szkoda, że ten papier nigdy nie pozna, co to piękno – ciągnął. – Dlaczego? Bo nie ma w sobie wiary”.

Tahir Shah, „Dom kalifa”, tłum. M. Glasenapp



Szliśmy z Weroniką najszybciej, jak tylko mogliśmy. Był piękny, wiosenny poranek, a rynek półsenny, z ratuszową wieżą spowitą delikatną woalką mgły. „Będzie wtedy piękny, wiosenny poranek”, rozbrzmiewał we mnie znowu głos Filipa, to jedno zdanie, które tworzył z poszarpanych urywków słów, sylab wypowiedzianych w krótkich chwilach wolnych od głodu nikotynowego. „Będzie”, mówił i wychodził na balkon, by zapalić. „Wiosenny”. A teraz szliśmy z Rebeką przez rynek półsenny, próbując wyprzeć ze świadomości myśl, która spopielała wszystkie pozostałe.

„Jestem wolny”, mawiał. Zapewne jeszcze niedawno, może godzinę, dwie temu – wstał, na dzień dobry wypalił papierosa i pościelił łóżko. A może i nie pościelił, bo po co? Zrobił sobie kawę tak mocną, że nawet diabeł by się skrzywił i jak zwykle przypalił tosty. Wychodząc, ostatni raz miękko omiótł wzrokiem pustą, zabałaganioną kawalerkę, być może westchnął, tęsknie albo z ulgą, któż wie. Nałożył ten swój wyświechtany, irytujący nas wszystkich kapelusz

i wyszedł na stację, by w ten piękny, wiosenny poranek rzucić się prosto pod koła pociągu.

Jakże oszałamiająca była świadomość, że mógł to sobie tak dokładnie zaplanować. Zaplanować, a mimo to jeszcze wczoraj umawiać się z nami na sobotę. Przerażał mnie fakt, że już nigdy nie zobaczę, jak wchodzi, już na wstępie denerwując nas kapeluszem i uśmiechając się zadziornie. Jak Weronika wygania go na balkon, by niewolniczo oddał się swemu nałogowi. Milczała teraz, idąc obok mnie. To jej najczęściej robił na przekór, powtarzając niczym mantrę: „Jestem wolny”.

Jak bardzo się mylił, zrozumiałam dopiero teraz.

Milczałam, bo coś tobie miałam powiedzieć? Szłam obok ciebie, omal nie mdlejąc z emocji. Szłam, a każdy krok był dla mnie jak uderzenie w policzek wychłostany zimnym wiatrem. Ile to razy słuchałam, jak Filip naśmiewał się ze mnie, z moich przekonań, wartości, z mojej wiary. Gardził zarówno ambicją, jak i pokorą, prychał na znak krzyża i szept krótkiej modlitwy, gdy mijaliśmy katedrę. Byliśmy tak blisko, a jak wiele nas dzieliło, skoro każdy poważniejszy temat kończył się kłótnią. Według Filipa byłam zniewolona – dążeniem do celu, zasadami, niedzielną mszą. Zniewolona i głupia po prostu, niedorzecznie zachwycając się niepozornym, zielonym pączkiem, który wyslizgiwał się z wnętrza nagiej gałązki jakby znikąd. To, co dla mnie było cudem natury, według niego potwierdzało jedynie bezcelową przemijalność świata, bezsens istnienia. A wszelkie przestrzegane przeze mnie reguły i obietnice sprawiały, że na własne życzenie zapadałam się w otchłań, świadomie rezygnując z tego, co Filip nazywał – wolnością.

Stałyśmy pod szpitalem, do którego karetka zabrała Filipa, ogłuszając wszystkich sygnałem syreny. Dwa piętra nad nami gasły oddech, tętno i wąty płomyk źrenic. O dwa piętra za blisko, o dwa za daleko.

I wówczas ledwie dostrzegalna łza przetoczyła się kryształową perełką po policzku milczącej Weroniki. Nadal bez słowa, jakby mnie tu w ogóle nie było, a przecież tak bardzo chciałam ją objąć,

zdząć z jej powiek ciężar smutku i roztoczyć przed jej oczami zupełnie inny, piękniejszy obraz. Żeby srebrne gwiazdozbiory kwitły w głębi jej źrenic, odbite wysoko na niebie. Nie mogłam jednak tego zrobić, zbyt długo znałam Weronikę. Nie było mi wolno jej nic narzucić, uciszyć, gdy krzyczała, ożywić, gdy zaniemówiła. A jeśli ci czegoś nie wolno, uszanujesz to lub wyśmiejesz i wzgardzisz.

A kiedy tak stałam, jak gdyby na uboczu, przyglądając się bezradnie cierpiącej Weronice, ujrzałam, jak nagle podnosi się z ławki i odchodzi. Powoli, nie odwracając się ani razu w moją stronę, z niewidzącym wzrokiem wbitym w nieznajome okna szpitala. Zdążyłam jeszcze zobaczyć, że po kilkuset metrach zaczęła biec, zanim wkrótce znikła w bocznej uliczce.

W taki właśnie sposób, w imię swej wolności, Weronika zostawiła mnie samą.

Przepraszam, że nie pozwoliłam ci wtedy podejść do mnie. Może właśnie tak miało być, może właśnie dzięki tamtej chwili osamotnienia przypomniał mi się werset z Listu do Koryntian. Modliłam się wówczas za Filipa i, jakkolwiek niedorzecznie to zabrzmiało, gdzieś w głębi duszy usłyszałam: „Wszystko mi wolno, ale ja niczemu nie oddam się w niewolę”.

Wiem, co myślałaś o wolności, Rebeko. Że jest nam nie tylko dana, że „jest nam także zadana”. Przypomniałam sobie, ile to razy próbowałam zmienić sposób, w jaki Filip postrzegał życie. Jeśli nie nawrócić go, to przynajmniej otworzyć mu oczy. Bezskutecznie. Wcześniej, podczas jego wywodów i teraz, stojąc pod szpitalem, czułam, jakby ktoś próbował podkopywać fundamenty mojego świata. Modlitwa cichła na moich wargach, ja sama zaczynałam wątpić, czy to wszystko ma jakkolwiek sens. Moje słowa podważano, moich uczuć nie szanowano, czemu więc miałabym nie zwątpić? A czyż moim zadaniem nie było bronić przede wszystkim własnej wolności i nie pozwolić, by zagłuszyły ją ciernie? Przecież wolność jest darem od Boga, skarbem, o który powinno się dbać i chronić go przed złodziejem.

„Ale ja niczemu nie oddam się w niewolę”, usłyszałam i odeszłam stamtąd, Rebeko.

Długo czekałam, krążąc w tę i z powrotem po szpitalnym korytarzu, nim któryś z lekarzy był mi w stanie cokolwiek powiedzieć. Nie musiałam tam zostawać, mogłam pójść w swoją stronę, patrzeć na niebo nad rynkiem, na rumiane obłoki zawstydzone dotykiem słońca, wypić koktajl z przyjaciółmi, korzystać z życia. Ale zostałam i nie było w tym żadnego powodu do chwały, zostałam, bo chciałam, bo byłam wolna. Nie byłam z Filipem spokrewniona, a jednak w tym dniu zwolniłam się z pracy i poprzekładałam spotkania. Dla mnie wolność nie była jak notatnik, w którym zapisuję coś tylko wtedy, jak znajdę wolne miejsce. Bo prawdziwa wolność przejawia się dopiero wtedy, gdy strony już są wypełnione i trzeba odważyć się pisać po stole.

Skulona na krzeselku w poczekalni, zastanawiałam się, dlaczego Filip zmarnował swoją wolność. Czemu widział ją tak zniekształconą, tak wypaczoną i do czego go to doprowadziło. Być może, nie utożsamiając się z żadną religią czy ideą, nie miał źródła, skąd mógłby czerpać, doniczki, aby wzrastać. I jakże do pocucia wolności potrzebny jest drugi człowiek.

A kiedy tak siedziałam, skulona w zmarznięty kłębek, podszedł do mnie pewien staruszek o zmęczonych oczach, w których, ku mojemu zdziwieniu, taił się roztańczony błysk.

– Będzie dobrze – powiedział, wyginając spękane wargi w półsennym uśmiechu.

A ja mu uwierzyłam, choć nie wiedziałam, dlaczego.

VIII Dolnośląski Konkurs Literacki o Laur Złotego Pióra „My Polacy, My Dolnoślązacy” rok 2012



VIII EDYCJA KONKURSU LITERACKIEGO O LAUR ZŁOTEGO PIÓRA

*My Polacy
My Dolnoślązacy*



ZAPRASZA

**MŁODZIEŻ SZKÓŁ ŚREDNICH
ORAZ 3 KLASY GIMNAZJUM**

**dla najlepszych
przewidziano cenne nagrody**

prace napisane w dowolnej formie należy składać do 20 listopada 2012 r.
uroczysta gala - Sala Wielka Ratusza - Wrocław - 5 grudnia 2012 r.
bliższe informacje u nauczycieli języka polskiego, bądź pod adresem:

SPONSOR GŁÓWNY:



www.liceum-wroc.salezjanie.pl

PATRONAT MEDIALNY:



PATRONAT HONOROWY:

Rafał Dutkiewicz - Prezydent Miasta Wrocławia
Aleksander Marek Skarupa - Wojewoda Dolnośląski
Rafał Jurkowlaniec - Marszałek Województwa Dolnośląskiego
Arcybiskup Metropolita Wrocławski
ks. Stefan Cichy - Biskup Legnicki
ks. Ignacy Dec - Biskup Świdnicki
ks. Alfred Łoj - Inspektor Inspektorii Towarzystwa Salezjańskiego we Wrocławiu

Marlena Ślęzak

Zespół Szkół nr 23 we Wrocławiu - Technikum nr 12

SPORT JAKO WYZWOLENIE Z WIRTUALNEJ RZECZYWISTOŚCI.

„Ludzie nie ruszają się już tak bardzo jak kiedyś.” Owo stwierdzenie jest początkiem dyskusji, którą wielokrotnie rozpoczynałam ze swoimi przyjaciółmi. Uważam, że sport istotnie jest wyzwoleniem od wirtualnej rzeczywistości, ale by nakłonić innych, aby skorzystali z tego wyzwolenia trzeba zastanowić się, dlaczego go potrzebują. Czemu gry komputerowe i Internet z taką łatwością wciągają nas w swój świat? Postaram się odpowiedzieć na to pytanie i wskazać drogę tym, którzy zatracili się w wirtualnym świecie.

Pierwszą rozmowę przeprowadzam z bratem. Jest to zadanie trudne, bo siedzi on przed komputerem, na monitorze błyskają jasne promienie, od których łatwo można dostać epilepsji, głośne huki wydobywają się z głośników, klawiatura otrzymuje co parę sekund brutalne ciosy w postaci natarczywych kliknięć, myszka jest nerwowo szarpana na wszystkie strony, a mój brat wykrzykuje jakieś polecenia do mikrofonu. Polecenia są niewątpliwie skierowane do jego internetowych towarzyszy, a nie do mnie. Obserwuję go uważnie i zaczynam się zastanawiać, dlaczego tak bardzo zależy mu na czymś, co istnieje tylko i wyłącznie dzięki zestawie misternie poskręcanych kabli. Spoglądam na monitor, który nadal razi masą kolorów i widzę awatara mojego brata występującego w jednej z jego gier. Nie orientuję się, czym lub kim jest, ale wystarczy mi niewolnicze oddanie maszynie widoczne w jego wzroku by wiedzieć, że postać nie ma znaczenia. Liczy się gra.

Wreszcie wszystko się kończy. Nagle kolory przestają atakować widza, klawiatura ma szansę odpoczynku, a myszka zdoła zebrać siły do kolejnej godzinnej szarpaniny. Brat ściąga słuchawki

KANONIZACJA

JANA
PAWŁA II

i przeciera oczy. Zerkam na zegarek, by sprawdzić jak dużo czasu minęło, odkąd zamarł w jednej pozycji i wlepił oczy w ekran. Godzina. Szybko korzystam z tego, że poświęca mi swój czas, chociaż wiem, że gra nie ucieknie i można ją w każdej chwili włączyć. Rozmowa zaczyna się spokojnie, brat odpowiada raczej flegmatycznie. To moje pierwsze spostrzeżenie. Jeszcze kilka minut temu był ożywiony. Zaledwie oderwał się od wirtualnego świata, a już wpadał w jakiś dziwny letarg. Pytam, co sądzi o braku ruchu wśród ludzi w dzisiejszych czasach. Zastanawia się chwilę, po czym szykuje się do odpowiedzi. I nagle, kiedy już mam usłyszeć odpowiedź, mój brat zamiera. Jakiś głos dochodzący z głośników paraliżuje go tylko na chwilę, po czym powoduje, że brat rzuca się w stronę klawiatury. Na ekranie, niczym pokaz fajerwerków, znów wybuchają kolorowe światła. Wiem, że straciłam z nim kontakt na kilka godzin. Nie rezygnuję jednak i przyglądam się temu, co robi. Wielokrotnie spotykałam się z takim zachowaniem. Mój brat nie jest jedyny. Moi koledzy, bliźni przyjaciele, a nawet rodzina potrafią zniknąć na całe dni w wirtualnym świecie. Co jest tego przyczyną? By dowiedzieć się więcej, postanawiam zrezygnować z rozmowy. Decyduję się na doświadczenie. Czekam kolejną godzinę aż oczy mojego brata całkowicie sprzeciwią się wpatrywaniu w kolorowe obrazki i siadam przed monitorem. Włączam jedną z gier brata, uprzednio sprawdzwszy pocztę, facebooka, portale plotkarskie, elektroniczny dziennik i inne mniej ważne rzeczy. Całkiem przypadkiem patrzę na zegarek. Minęło czterdzieści pięć minut. Jestem zszokowana. Przecież usiadłam ledwie kilka chwil temu! Jak to możliwe, że minęło tyle czasu? Przejrzałam raptem kilkaset stron, to nie powinno mi tyle zająć. Ale jednak zajęło. Jestem na dobrej drodze do zrozumienia idei wirtualnej rzeczywistości i (niestety) dołączenia do niej.

Pośpiesznie wyłączam przeglądarkę i uruchamiam grę. Znów huk z głośników i oczobójcze iskierki. Na początku kontroluję to, co robię. Czas mija, a ja dopiero pod koniec zdaję sobie sprawę, że zachowuję się tak jak brat. Na blacie biurka leży puszka pepsi i jakieś orzeszki. Nie pamiętam, w którym momencie zniknęły i o której poszłam po następną porcję. Gra się skończyła, czuję się dziwnie.

Oczy mnie bołą, a gdy je zamykam, nadal widzę sceny z gry. Jestem najedzona, nie czuję pragnienia, a wewnątrz mnie formuje się coś na kształt satysfakcji. Właśnie udało mi się zabić głównego przeciwnika w grze. Spore osiągnięcie. Ale przecież to wszystko wydarzyło się na monitorze komputera. Wystarczyły dwie godziny, abym zatraciła się w tym świecie. Co czułam, wcielając się w swoją postać, uciekając przed przeciwnikami, skacząc z dużych wysokości, wpadając w pułapki i w ostatniej chwili z nich uciekając, wędrując po kosmosie, badając planetę po planecie, zapoznając się z ludźmi znajdującymi się na drugim końcu świata? Wszystko to przeżyłam, siedząc w domu przed komputerem. Musiałam tylko usiąść wygodnie i kilkoma skinieniami nadgarstka sprawić, że dołączyłam do tego świata. To zatrważająco łatwy sposób na zabicie czasu. Powstrzymuję się przed włączeniem kolejnego etapu gry. Wiem już, dlaczego tak łatwo jest dać się wciągnąć do sieci. Sport wydaje się czymś bardzo nieatrakcyjnym, a jego szanse na wydostanie graczy z ich wirtualnej pułapki są nikłe. Dlaczego? Ludzie są z natury leniwi. Dążenie do czegoś, na przykład zdobycia sportowych osiągnięć, wymaga nakładu pracy i czasu. Czasu, którego szkoda nam marnować na ćwiczenia, ruch. Wolimy usiąść przed monitorem i sprawić, że w danej grze stajemy się tym, czym chcemy lub do czego chcemy dążyć. Tam nas akceptują, tam nikt nas nie osądza, tam nie liczy się nasza osobowość. Jeśli coś pójdzie nie tak, można cofnąć się i wszystko zmienić. Tam czujemy się pewnie, bo nic nie ma prawa się zmienić. Ten świat jest wspaniały, ale zgubny. Życie w wirtualnej rzeczywistości jest czarną dziurą, której pozwalamy się pochłoniąć. Zanika nasze morale, zaciera się różnica między dobrem a złem. Zanikają wartości wpojone przez rodziców. Pozwalamy na to, bo najczęściej nie radzimy sobie z prawdziwymi problemami; takimi, których nie rozwiąże kilka kliknięć na klawiaturze. Myślę, że sport może być jednym, jeśli nie kluczowym, sposobem na wyrwanie się z tego impasu. Wysiłek pobudza nasz organizm, podczas gdy komputer sprawia, że tylko niektóre partie ciała „działają” kosztem innych (np. mięśnie brzucha). Im częściej będziemy wychodzić do ludzi, tym łatwiej będzie nam się oderwać od monitora i poradzić sobie z prawdziwym światem,

naszym realnym życiem. Nie możemy zastępować sobie rodziny i przyjaciół wirtualną rzeczywistością, nawet jeśli jest to łatwiejsze.

Spędziłam przed monitorem dwie godziny i czuję, jak duży miało to na mnie wpływ. Jeżeli ludzie, zwłaszcza młodzież, nie zostaną wyzwoleni od zbyt dużego wpływu gier zaniknie ich niepowtarzalność. Sądzę, że aby do tego nie dopuścić uprawianie sportu jest dobrym początkiem. Dlatego wstając od komputera, postanawiam namówić swojego brata na długi spacer z dala od wirtualnego życia. Tak na początek. Nim spróbuję wyzwalać innych, zacznę od swojej rodziny.

10^{LAT}
„My Polacy,
My Dolnoślązacy”
Konkurs Literacki

Patryk Halczak

Liceum Ogólnokształcące nr I im. Mikołaja Kopernika w Lubinie

ZMIERZCH CZY EWOLUCJA UCZUĆ PATRIOTYCZNYCH?

Tego dnia polska część Raju była bardzo ożywiona. Nie dalej jak kilka dni temu Święty Piotr wpuścił do niej młodego chłopca – Janka, który zginął na Ziemi w wypadku autobusowym. Początkowo nie wywołało to zbyt dużego wrażenia. Oczywiście, część Zbawionych wyrażała żal, iż taki młody, bo zaledwie szesnastoletni chłopiec zakończył swoją ziemską wędrówkę, lecz były to głosy nieliczne.

Do wstrząsu doszło dzień później. Okazało się, iż jako reprezentant młodego pokolenia został postawiony w stan oskarżenia o brak patriotyzmu młodych Polaków.

Już od kilku lat zmartwieniem polskiej części Raju było to, iż w Ojczyźnie zanikają wszelkie objawy miłości czy choćby jakiegokolwiek przywiązania do swego kraju. Młodzi ludzie coraz częściej wyjeżdżali z Polski, wstydzili się swego pochodzenia bądź je ukrywali. Teraz, wykorzystując przybycie Janka, chciano poznać przyczyny takiego stanu rzeczy.

O trzynastej czasu niebieskiego rozpoczęła się sesja plenarna Rady do Spraw Patriotyzmu Współczesnych Polaków. Janek siedział na środku sali, ubrany w czarną koszulę, nieco wytarte jeansy i jasne adidasy. Zagubiony i oszołomiony rozwojem sytuacji, spoglądał ze zdumieniem na swych rozmówców usadowionych naprzeciwko niego za szeroką dębową ławą.

Pierwszy z lewej, siedział Michał Jerzy Wołodziejowski – najlepszy szermierz w Rzeczypospolitej ubrany w dragoński strój, raz po raz poruszający swym mizernym wąsikiem. Obok niego szeroko ziewał ktoś łudzaco podobny do... Tak!!! Do Bolesława Chrobrego! Dalej siedzieli: siwy ksiądz Augustyn Kordecki w wytartym, zsza-

rzałym habicie; Tadeusz Kościuszko z błyszczącym Virtuti Militari; Józef Piłsudski w dobrze skrojonym mundurze marszałkowskim ze złotą buławą w rękę; patrzący uważnie zza okrągłych szkiełek okularów Romuald Traugutt; ubrany w stylowy garnitur Roman Dmowski i, o ile się nie mylił, Tadeusz Zawadzki ps. „Zośka” – w skórzanej kurtce i szarym, materiałowym berecie. Nie takie „towarzystwo” spodziewał się zastać tu Janek.

Pierwszy posiedzenie rozpoczął najstarszy szarżą i wiekiem Bolesław Chrobry: – Młodzieńcze, czy zechcesz nam wszystkim łaskawie wykoncypować, co się było stało z naszą piastowską nacją? Dlaczego to nie kochacie swego dziedzictwa, takim to wielkim sercem jak ja czy mój ojciec – Mieszko? Co złego uczyniła Wam ta ukochana Ojczyzna?

Janek, nadal speszony, wstał z krzesła, uklonił się nisko i westchnąwszy głęboko odpowiedział: – Miłościwy Królu! Żyjąc na Ziemi, nie zauważyłem niczego takiego, o czym Wasza Miłość wspomina...

– Jak to? – przerwał mu oburzony Piłsudski. – Dlaczego więc wyjeżdżacie za chlebem na Zachód? Czemu nie pamiętacie o świętach narodowych? Nie pamiętacie słów hymnu? Nie znacie historii swego kraju? Odpowiedz mi chłopcze...! – urwał. – Po prostu teraz życie jest inne. W Polsce nie ma wojny, trudno więc zostawać wielkimi bohaterami, którzy zginęli za Ojczyznę. Ale jestem pewien, że gdyby była taka konieczność, moi rówieśnicy i ja stanęlibyśmy w szranki. Wystarczy spojrzeć na stadiony podczas meczów reprezentacji. Czy widzieliście je kiedykolwiek, panowie? Te tłumy krzyczące ze wszystkich sił „Polska”? Za czasów pana Wołodyjowskiego nie znano futbolu, lecz czy jest to powodem do tego żeby oskarżać jego pokolenie o brak patriotyzmu?

– Co ze znajomością historii? – odezwał się spokojnie poważny Romuald Traugutt. – Owszem, zauważam tu pewne braki, ale to również jest nieporównywalne. Rzeczywiście, niektórzy nie znają daty bitwy pod Grunwaldem czy, z całym szacunkiem, miejsca pierwszej koronacji. Nie jest to chlubne, ale zajrzycie panowie do polskich domów. Zobaczcie, ilu polskich chłopców kieruje wirtualnie Polską w „Europie Universalis” lub strzela do wirtualnych

Niemców w „Cali of Duty”, wyobrażając sobie, iż bronią Warszawy czy Westerplatte. Powiecie: „To śmieszne”. Może i tak, ale powiedzcie sami, czy nie jest to okazywanie patriotyzmu w sposób godny XXI wieku. Podobnie rzecz się ma z telewizją. Czy wiecie, ilu polskich chłopców i dziewcząt ogląda w każdą niedzielę kolejny odcinek serialu pt. „Czasu Honoru”? Ilu z nich czekało na premierę „Bitwy pod Wiedniem”? No właśnie, każdy z nas pragnie poznawać historię, wszystko uzależnione jest od sposobu jej podania.

– Gdzie natomiast wiara, która zawsze była podstawą naszej polskości? – zapytał z cicha ksiądz przeor Augustyn Kordecki.

– To bardzo trudna sprawa. – odpowiedział Janek. – Owszem, młodzież nie garnie się do kościołów, ale przecież są i tacy, którzy corocznie uczestniczą w pielgrzymkach, służą przy ołtarzu jako ministranci czy nawet ministrantki. Zresztą należy spojrzeć na to z innej strony. Obraz Waszej młodości jest wyidealizowany. Przecież to oczywiste, że pan Wołodyjowski wołał ćwiczyć jazdę na koniu niż klęczeć w kościele przez pół dnia. Każdy wiek ma swoje prawa.

– Jednak prawdą jest, że nawet w niedzielę, czy podczas mszy za Ojczyznę młodzieży, dzieci i w ogóle ludzi jest mniej niż kiedyś – bardziej stwierdził niż zapytał przeor.

– To kwestia indywidualnych wyborów, ale przecież lepiej, żeby było dwadzieścia procent głęboko wierzących i praktykujących wiernych niż sto procent tak zwanych „roczniaków”. Można więc za ryzykować stwierdzenie, iż wszystko zmierza w dobrym kierunku.

Dmowski, do tej pory jedynie kręcący intensywnie głową odezwał się wreszcie: – A co z tymi wyjazdami za granicę, młody człowieku? Ładnie to tak odbierać wykształcenie w naszej kochanej Ojczyźnie, a potem leczyć Niemców czy Szwedów?

Janek zbłądł. Sam planował wyjechać do Anglii po skończeniu studiów. Dlaczego chciał to zrobić, skoro kochał swój kraj?

– Sam rozważałem taki krok – rzekł nerwowo. – Przyznaję, że głównie z przyczyn czysto ekonomicznych. Ale czy i Antek Boryna w „Chłopach” nie planował wyjechać do Ameryki? Czy i obecny tu sam pan Tadeusz Kościuszko nie popłynął do Stanów, o których

to wolność walczył? No właśnie. Podobnie jest i teraz, choć powody są nieco inne. Ale my przecież chcemy wrócić, chcemy te zarobione pieniądze zainwestować w naszym kraju, aby naszym dzieciom było lepiej. A ci, którzy zostają na emigracji? Przecież oni nawet podświadomie będą tęsknić...

Milczący dotąd „Zośka”, wpatrując się usilnie w oczy Janka, powiedział:

– Przepraszam, ale wydaję się, że ten chłopak ma rację. Pamiętam swoje pokolenie. Nie różniliśmy się od nich prawie w ogóle. Czytaliśmy książki, bawiliśmy się, spotykaliśmy się z dziewczynami, tańczyliśmy, cieszyliśmy się każdym dniem. Gdyby nie wojna, nikt by o nas nie usłyszał i nie nazwał „bohaterami”. Czy normalność nie jest jednak również bohaterstwem? Czy to, iż idzie się na stadion i śpiewa hymn, nie jest zjednoczeniem się z Ojczyzną? Każdy wiek, czy to jedenasty, piętnasty czy dwudziesty, był zupełnie inny. Wydaje się, że mimo swoistej inności, nasza polskość została zachowana. Także i dziś, gdy zdaje się, iż los kochanej Ojczyzny nikogo nie obchodzi, można być pewnym, że współcześni młodzi ludzie zdadzą egzamin i to celująco. Zostaną zaliczeni przez potomnych w poczet bohaterów i największych patriotów, gdy tylko nadejdzie czas próby...

Posiedzenie było skończone.

ZMIERZCH CZY EWOLUCJA UCZUĆ PATRIOTYCZNYCH?

Współcześnie za patriotyzm uważa się umiłowanie własnej ojczyzny i gotowość do poświęcenia dla niej, a także szacunek wobec kultury, tradycji i języka narodu, do którego mamy zaszczyt przynależeć. Pojęcie to zmieniało się jednak wraz z upływem czasu. Jednym z najdawniejszych przykładów patriotyzmu są twórczość i dokonania Tyrtaiosa: poety i stratega. W VII wiek p. n. e. wybuchła wojna meseńska. Potężna Sparta prosi Ateny o pomoc w poskromieniu buntu niepokornych i walczących o niepodległość Messeńczyków. Ateny – jak na miasto bogini sprawiedliwej i słusznej wojny przystało – pomoc przysyłają. Tak oto w szeregi Spartan trafia mocarny poeta Tyrtaios, wiodąc ze sobą zastępy nieprzeliczonych słów otuchy, doprawionych nutką śpiewu. Jego głos powoduje, że powstałe w spartańskich sercach pęcherze strachu pękają niczym bańki mydlane (lub bębenki Messeńczyków, któż to wie), dzięki czemu Sparta zwycięża. Od imienia bohatera tej wojny utworzono nazwy poezja tyrtejska, czyli patriotyczna, wzywająca do walki i postawa tyrtejska – gotowość do poświęcenia życia za ojczyznę.

Jako że praca ta traktuje o patriotyzmie, w patriotyczny sposób opuszczę starożytną Grecję i powędruję na północ w czasoprzestrzeni, do szczęśliwej Polski – kraju, gdzie diabeł nie zagląda w obawie, że mu widły ukradną (ale to detal techniczny). Od razu zaznaczę, że Polacy są narodem niezwykłym – o nietypowej historii i pełnym sprzeczności systemie wartości, co daje nieco groteskowy efekt. Początków unikalnego charakteru polskiego patriotyzmu należy szukać w barokowym sarmatyzmie. Wykształcił on wzór polskiego szlachcica: kochającego wolność dzielnego wojownika, wal-

czącego w słusznej sprawie, aczkolwiek przestrzegającego świętych zasad gościnności. Był to jednolity i giętki system wartości, stanowiący unikalne połączenie kultur wschodu, zachodu i rdzennie słowiańskiej. W czasie swej świetności był dominującym wzorcem, oddziałującym na społeczeństwa Europy Środkowo-Wschodniej. W czasie panowania dynastii saskiej sarmatyzm uległ zepsuciu, aż w końcu nadeszła epoka stanisławowska i sarmata stał się synonimem upośledzonego intelektualnie, zdegenerowanego fizycznie i dbającego wyłącznie o własne interesy pijaka, co pozostawiło trwałe świadectwo w polskiej kulturze i po dziś dzień jest rytualnie odtwierzane w przymonopolowych «świętyniach».

Zwolnione miejsce szybko jednak ponownie zostało zawłaszczone. Na polskiej, z braku lepszej nazwy, scenie politycznej pojawiło się Stronnictwo Patriotyczne – nieformalne ugrupowanie działaczy oświeceniowych, dążących do przeprowadzenia reform w czasie Sejmu Wielkiego. Współpracowało z królem, który wślawił się magiczną próbą stworzenia armii, korzystając z tajemnych sztuk dalekowschodnich szamanów origami. Sam monarcha w czasie wojny polsko-rosyjskiej 1792 roku wykazał się niemałym poświęceniem: jako naczelny wódz publicznie zapewniał, że wyruszy na front, a w razie potrzeby i życie poświęci, i będzie żył po spartańsku. Udał się nawet na czele swej gwardii na przedmieścia Pragi i po bohaterskim spożyciu obiadu wrócił do zamku. Ze względu na warunki obozowe zjadł skromny posiłek, składający się z marnych sześciu dań, podanych na cynowych zamiast na srebrnych talerzach. Nie dziwi więc fakt, że nazajutrz na ścianach teatru pojawił się afisz: „Entreprenerzy sceny narodowej mają honor zawiadomić zrozpaczoną publiczność, że przedstawioną będzie nowa komedia oryginalna, skomponowana przez Radę Wojenną, pt. Wyprawa przeciw komarom, czyli pocieszny obóz pod Pragę. Bezpośrednio potem aktorowie pruscy i rosyjscy odegrają wielką tragedię pt. Podbój Polski. Ponieważ na tragedię skarb ekspensował około dwudziestu milionów, przeto widowisko będzie bezpłatne”. Trzeba przyznać, że przedstawienie było bardziej udane niż udawane, co jest teatralnym ewenementem na skalę światową.

W epoce romantyzmu nastąpił rozwój polskiego patriotyzmu, zapoczątkowany już wcześniej przez insurekcję kościuszkowską, która zaowocowała epopeją napoleońską, a w konsekwencji utworzeniem Księstwa Warszawskiego i Królestwa Polskiego oraz wybuchem czterech powstań (ot, tak, żeby się przypomnieć). Pojawienie się pojęcia narodu miało na to niemały wpływ. Wcześniej prostemu chłopu było bez różnicy, czy jego burak niemieckim się stanie, czy polskim; ważne, aby część zbiorów znalazła się w chłopskim brzuchu. W konsekwencji, po klęsce powstania styczniowego, Polacy doszli do wniosku, że jednak warto byłoby przetrwać, wpadli więc na genialny pomysł wykonywania pracy organicznej (czy pracy u podstaw); należy rosnąć w siłę, aby w odpowiednim momencie uderzyć i odzyskać niepodległość. Tak oto zyskaliśmy podstawy patriotyzmu współczesnego.

Czy we współczesnych czasach jest miejsce na patriotyzm? Wydawałoby się, że w dobie kapitalizmu postawa ta zaniknie. Otóż nie zanikła. Uległa ewolucji, choć obecny stan patriotyzmu można uważać zarówno za jego zmierzch, jak i kolejny szczebel na drabinie rozwoju. To trochę tak, jak z ptakami i dinozaurami. Czy pojawienie się pierzastych jest godnym następstwem mezozoiku, czy też kropką nad „i” w słowie „zglądzeni”? Nie można jednoznacznie orzec. Dziś polski patriotyzm przejawia się na dwa skrajnie odmienne sposoby. Z jednej strony mamy patriotyzm tradycyjny; stąd tak charakterystyczne dla dzisiejszych Polaków umiłowanie do patosu i wzniosłych gestów. Sztuka polska chętnie przedstawia podniosłe wydarzenia, uroczyste sceny pełne patriotów poświęcających się dla dobra ojczyzny, jak Józef Poniatowski, Tadeusz Rejtan czy Tadeusz Kościuszko.

Z drugiej strony mamy patriotyzm sarkastyczny, do wszystkiego podchodzący z dystansem. Do perfekcji bowiem opanowaliśmy sztukę obywatelskiego nieposłuszeństwa, zaczynając od wszczętej przeciw niesprawiedliwościom sądowym wojny kokoszej, podczas której doszło do eksterminacji okołolwowskiego drobiu, poprzez zorganizowanie pierwszego strajku w dziejach Nowego Świata w 1619 roku, aż do wspólnych poszukiwań świętej relikwii

– mózgu naszego premie – podczas wprowadzania szlachetnej reformy ACTA. Patriotyzm ten ukazuje z pewnym pobłażliwym przywiązaniem stereotypy współczesnych Polaków. Pełno w nim cwaniaków kiwających urzędników i ich absurdalne przepisy czy snujących filozoficzne rozważania typu: „pić albo nie pić-cóż to za pytanie”. Może się to wydawać niedorzeczne, ale śmiech jest niezwykle potężnym narzędziem. Pomaga nam oswoić się z przykrą rzeczywistością, wyszukiwać w niej dobre strony. Pozwala przemieniać stadiony w baseny tak, aby Polak czuł się jak ryba w wodzie, a ochroniarz jak kret na lodzie. Walczyliśmy z komunizmem, uroczyście wręczając milicjantom kwiaty, poprzebierani jak na karnawał. Musicie bowiem wiedzieć, rodacy, że tylko my zrozumiemy, dlaczego krzyczący policjanci z pałami gonią koguty, misie i zajaczki, które proponują im kwiaty, dlaczego firmy kładące asfalt na naszych drogach ciągle mają go w bród, dlaczego mamy najlepszych na świecie iluzjonistów-specjalistów od znikania i jeszcze wiele innych fantastycznych zjawisk, które wywołują zdumienie na twarzach obcokrajowców.

IX Dolnośląski Konkurs Literacki o Laur Złotego Pióra „My Polacy, My Dolnoślązacy” rok 2013



IX EDYCJA

KONKURSU LITERACKIEGO O LAUR ZŁOTEGO PIÓRA

*My Polacy
my Dolnoślązacy*



ZAPRASZAJĄ

**MŁODZIEŻ SZKÓŁ ŚREDNICH
ORAZ 3 KLASY GIMNAZJUM**

**dla najlepszych
przewidziano cenne nagrody**

prace napisane w dowolnej formie należy składać do 21 listopada 2013 r.
uroczysta gala - Sala Wielka Ratusza - Wrocław - 5 grudnia 2013 r.
bliższe informacje u nauczycieli języka polskiego, bądź pod adresem:

www.liceum-wroc.salezjanie.pl

PATRONAT MEDIALNY:



SPONSOR GŁÓWNY:



PATRONAT HONOROWY:

Rafał Dutkiewicz - Prezydent Miasta Wrocławia
Aleksander Marek Skórka - Wojewoda Dolnośląski
Rafał Jurkowlanec - Marszałek Województwa Dolnośląskiego
Beata Pawłowicz - Dolnośląski Kurator Oświaty
kard. Zenon Grocholewski - prefekt Kongregacji Wychowania Katolickiego przy Stolicy Apostolskiej
ks. Józef Kapny - Arcybiskup Metropolita Wrocławski
ks. Stefan Cichy - Biskup Legnicki
ks. Ignacy Dec - Biskup Świdnicki
ks. Alfred Leja - Inspektor Inspektorii św. Jana Bosko we Wrocławiu

Maria Prusakowska

Liceum Ogólnokształcące nr XII, im. Bolesława Chrobrego we Wrocławiu

„Cuda świata można znaleźć we własnym ogrodzie.”

- Phil Bosmans

„CHORY”

Autobus trząsł się konwulsyjnie, podporządkowując monotonnym ruchom otępiałych pasażerów. Przechodnie tonęli w świetle powoli gasnących lamp ulicznych, wciąż jeszcze wracając myślą do dopiero opuszczonych łóżek. Leniwie wschodzące słońce zalewało blaskiem niezupełnie jeszcze rozbudzone ulice Wrocławia.

Zapaliło się czerwone światło i autobus zahamował. Starszy mężczyzna, którego siwe włosy srebrzyły się w rosnących powoli promieniach dnia, ścisnął w dłoni płócienny worek. Zawartość torby przechyliła się niepokojąco, a uważne ciemne oczy staruszka zatrzymały się na kierowcy.

– Idiota – wymamrotał w jego kierunku i choć gdzieś mu się nie śpieszyło, spojrzał na cyferblat zegarka.

Dziesięć minut spóźnienia! Dziesięć minut temu powinien był być na miejscu, a nie stać w korku w połowie drogi.

Drzwi otworzyły się i do pojazdu wtoczył się tłum postaci z nisko zwieszonymi głowami.

Mężczyzna westchnął z dezaprobatą. Gdzie oni wszyscy jadą o tej porze?

Oczy staruszka były bystre, ale wyraźnie zniecierpliwione i zmęczone. Pod nimi – dwa duże wory, wypełnione po brzegi ciemnym znużeniem ostatnich lat. Patrząc na jego wykrzywioną w grymasie twarz, można było pomyśleć, że Stwórcy zabrakło farb i tę postać pokrył rozcieńczonym z bielą ostatkiem szarości.

Kiedy krępe ciało staruszka przebiło się wreszcie przez na-

rastający w autobusie tłok i wydostało na zewnątrz, autobus ruszył dalej z cichym, typowym dla starocia postękiwaniem.

„Tłok o tej porze – pomyślał mężczyzna, stojąc teraz samotnie na przystanku – żyjemy w chorym mieście.”

– Chore miasto – powtórzył na głos i powolnymi krokami zaczął zmierzać w stronę luki w idealnie przyszytych żywopłocie.

Mijając tablicę z napisem ROD „Radość”, uchylił nienaganie naoliwioną furtkę i zniknął w ogrodowej alei.

– Witam, sąsiedzie! – usłyszał gdzieś z tyłu głowy.

Odwrócił się niechętnie, świadom tego, kto był właścicielem słów.

– A witam, witam, panie Kwiatkowski. Co u pana? – wybąkał niechętnie.

– A powolutku, sąsiedzie, powolutku. A u pana? – nachalny mężczyzna przyłączył się do staruszka, specjalnie zwalniając kroku.

– Ach – leciwy „sąsiad” machnął wolną ręką – Panie, daj pan spokój. Patrzą, panie, i ręce załamuję. Co się tu dzieje! Szkoda sobie język strzępić. Korki w mieście – zaczął wymieniać – zatłoczone autobusy, wulgarna młodzież, fatalni kierowcy... Panie, patrz pan – powiedział stanowczo, otwierając płócienny worek – jeden baran dzisiaj tak zahamował, że mi prawie szczepkę bukszpanu połamał, co sobie na sadzonkę wiozę. Wiesz pan, żeby posadzić koło altanki, co w tamtym roku tam forsycje miałem, ale ten, za przeproszeniem, baran Gospodarz Alejkowy mi wyciął. No mówię, szkoda gadać.

– Sąsiedzie, nie ma o co kotów drzeć, to na pewno przez pomyłkę było. A korki są, bo remontują. Remontują, znaczy, że lepiej będzie. Dbają o miasto. A widział sąsiad jak ładnie plac Grunwaldzki zrobili?

Staruszek parsknął.

– Ładnie? Panie, w gazecie widziałem, w ogóle niepraktycznie. Teraz będą tam jeszcze większe korki. I ten przystanek ogromny. Po prostu ohydnie. Oooo- hydnie! Ale cóż, takie już te władze mamy, że zamiast w coś przydatnego inwestować, to ładują masę

kasy w bzdury. Dzień dobry, pani Tomczykowa! – rzucił w stronę mijanej kobiety, po czym mówił dalej – Jak Niemcy na przykład. Oni, panie, mają taką opiekę zapewnioną dla ludzi w sędziwym wieku, że wszystkiego dopilnują. A u nas? U nas, to jak sam sobie pan herbaty nie zrobisz, to pan nie wyzdrowiejesz. Chore państwo. A we Wrocławiu nie masz pan ani jednej przychodni, w której by nie było kolejek. Toż ja umrę zanim mnie lekarz przyjmie. Trzeba było za młodych lat wyjechać i by się miało spokój. No, ale to jest temat do kielicha, bo tak to... No, nie da rady, panie.

– Ano nie da, nie da. – powiedział przejęty mężczyzna, po czym obaj zniknęli w swoich ogródkach.

Cień świeżo posadzonego krzewu śledził wędrujące po niebie słońce. Kiedy zrobiło się już na tyle zimno, że zgrabiałe dłonie staruszka odmawiały współpracy, a reumatyzm dał o sobie znać w zmęczonym kolanie, mężczyzna schował wszystko do ogrodowej altany, okrył badawczym wzrokiem cały skwer, przyjrzał się swej pracy i zadowolony ruszył alejką w stronę domu, w którym nikt nie będzie na niego czekał.

Autobus, o dziwo, przyjechał o czasie, niemalże pusty. Staruszek zajął pojedyncze siedzenie, położył dłonie na oparciu kolejnego miejsca i bujany przez wlokący się pojazd przysnął tylko na minutkę... dwie... piętnaście. Jego opadające powieki odprowadzały zachodzące słońce.

Chwilę zajęło mu dochodzenie do tego, gdzie się znalazł, kiedy po otwarciu oczu zobaczył zupełnie obcą część miasta.

Słońce już dawno zapadło gdzieś pod horyzont, a miasto, jeszcze nie śpiące, ale zasypiające powoli głębokim snem, błyszczało jasnymi lampami. Drzwi otworzyły się, a sędziwy mężczyzna wypadł pędem na przystanek. *Urząd Wojewódzki* – odczytał z tablicy rozkładu jazdy.

Jak ja teraz wrócę do domu? – pomyślał, wpatrując się w ulicę.

Podniósł wzrok i spojrzał na manewrującą między budynkami rzekę. Spojrzał na wznoszące się nad nią wieże, oświetlone jasno pomarańczowym światłem. Spojrzał na odbijający się w wodzie

obraz Katedry i Wyspy Piaskowej, zobaczył poruszające się z falami Odry obrazy, obsypane uciążliwym bluszczem Muzeum Narodowe, skrzący się za zakrętem złoty gmach leciwego Uniwersytetu i piękny bielący się pośród ciemności budynek w kolorze kości słoniowej, stojący w miejscu, gdzie rzeka dzieliła swe koryto na dwoje. Zamarł na chwilę, wpatrując się we Wrocław, jakiego nigdy przedtem nie widział. Wrocław, który przecież należał do niego. Delikatnie oświetlone chodniki prowadziły wzdłuż tafli wody zapatrzonych w dal przechodniów. I zapomniał, dlaczego „szkoda mu było strzepić język” na opowieść o tym mieście i dlaczego od tak dawna nie spacerował nocą. Nie pamiętał nawet, dlaczego nienawidzi wychodzić z domu.

Ciepło rozlało się po jego ciele, a jasne światła latarni spływały po jego skórze.

I nie czuł już zmęczenia ani rozdrażnienia, poczuł zaś taką siłę, która unosiła jego słabe nogi i poruszała nimi powoli, w rytm ulicznego gwaru.

– Wieczorny spacer dobrze mi robi – szepnął staruszek, nie odwracając wzroku od urokliwego widoku.

Zatrzymał się na chwilę i przez sekundę, najkrótszą jaka istnieje, pomyślał, że to głupota.

* * *

Na moście stał zgarbiony mężczyzna. W bezruchu wpatrywał się w blask miasta.

To trwało chwilę. Bardzo krótko, bo zaraz ruszył przed siebie, a jego krępa postać powoli zniknęła pośród śmiechu młodzieży, klaksonów samochodów, turkotu tramwajów i szmeru rozmów.

Ktoś w tłumie odnalazł tego wieczora własny, głęboko skrywany spokój.

Ktoś w tłumie uśmiechnął się sam do siebie, po raz pierwszy od wielu, wielu lat.

Natalia Złotkowska

Liceum Ogólnokształcące nr IX, im. Juliusza Słowackiego we Wrocławiu

„Człowiek musi wierzyć w parę prostych pojęć, jeśli chce żyć przyzwoicie” (Joseph Conrad). Twoja recepta na wychowanie młodego pokolenia Polaków.

„BŁĘDY”

Dzień był tak samo koszmarny i czarny jak jego wnętrze. Od rana wiedział, że dobrze się on nie potoczy. W biurze, gdzie przerzucał tony papierów, symulując pracę, tylko wydłużył swoją mękę. Potem szybki bieg do szpitala. Widok ojca słabnącego z dnia na dzień był przykry. Staruszek zapragnął naprawić wszystkie zaniedbania z przeszłości i wszystkie zapomniane wartości wyrzucić jednym oddechem w przestrzeń. Czego oczekiwał? Tego, że przez skórę wszystkie te słowa przedrą się do krwiobiegu i rozgoszczą w ciele syna, dokonując diametralnej zmiany w osobowości? Momentami miał tego dość. Facet, który przez całe jego dzieciństwo zaznaczał swoją obecność smugą mgły i był raczej ojcem widmo, teraz opowiadał mu, co jest dobrem, a co złem. Usiłował wzbudzić w nim szacunek do siebie, do innych, do przyrody, kraju. Mówił, że teraz, kiedy jego życie dobiega końca, może powiedzieć, co jest prawdziwą wartością i kwintesencją. Czy to nie było żalosne?

Odczuwał litość, kiedy podając spierzchniętym ustom kolejną łyżkę jogurtu, myślał o ojcu jak o powłoce, z której uchodzi powietrze, a ona za wszelką cenę chce, żeby nie był to tylko dwutlenek węgla. Chce być mądra i chce uczyć innych. Staruszek powinien w zasadzie się cieszyć z tego, że ktoś przychodzi i nakarmi go jogurtem. Chyba zatem nie jest tak źle wychowanym człowiekiem, jak sądzi jego ojciec.

Stałym motywem poruszonym w monologu był Staś. Syn i wnuk. Ojciec usiłował za pomocą słów kierowanych do syna wy-

chować wnuka. "Co za idiotyczna sytuacja" – myślał wracając do domu. Zjadł zimną kolację, jak zwykle gdy żona wylewała poty, spędzając czas na siłowni. Staś już spał. Liczył sekundy, zanurzając się pod wodą, która wypełniała wannę. Przez głowę przelatywały mu obrazy z dzieciństwa. Im dłużej o tym myślał, tym mniej barwne się ono wydawało. Z perspektywy codzienności i obowiązków, dni wypełnionych rutyną, wspomniany czas beztroski jawił się pełen blasku, radosnych okrzyków, słońca. A przecież tak nie było. Wszystkie sentencje ojca brzmiały jak fałszywe tony: "Spędzaj więcej czasu z synem- pamiętaj – to ważne. Naucz go, jak wygląda dąb, jak założyć łańcuch w rowerze, opowiadaj bajki przed snem, pokopcie razem piłkę, naucz odróżniać wróbla od sikorki. Wspieraj go. Ucz szacunku do matki. Ucz, że trzeba szanować i babcię, i dziadka. I innych ludzi. I ma nauczycielki słuchać. Kup mu zwierzaka. Niech się uczy odpowiedzialności. Pokaż mu, że uczciwa praca może dawać satysfakcję. Niech ma kolegów, przyjaciół. Naucz go pacierza. Naucz 10 przykazań. I hymn niech zna. Opowiedz o dziadku. Naucz go być dobrym człowiekiem. Obowiązki wypełniają czas i nie pojawia się nuda i pustka w głowie. A od tego- wiadomo- głupie pomysły." Szkoda, że on sam nigdy nie myślał w taki sposób. Szkoda, że łańcuch uczył go zakładać ojciec Szymka, a pierwszą procę robił z wujkiem Adama. Szkoda, że na rozpoczęcie roku szkolnego, na komunię, na rozdanie świadectw w liceum spóźnił się, bo wracał z podróży służbowej. I te wieczne pretensje do matki, do szkoły. Pamięta, jak kiedyś spadł z płotu i rozciął skórę na kolanie. Nie był ważny ból. Nie było by po tym nawet śladu we wspomnieniach, gdyby nie ojciec, który wrzeszczał, że nie ma płakać, że tak się facet nie zachowuje! A on był w wieku swojego syna. Miał 4 lata i prawo do płaczu. Ojciec... W zasadzie nigdy go przy nim nie było. Jakby ich życie toczyło się w równoległym wirtualnym świecie. A teraz ma wymagania i oczekiwania! I sypie sentencjami jak z rękawa. Jutro znowu musi tam iść.

Od śmierci ojca minął rok. Wszystko szybko się potoczyło. Chyba odczuł ulgę, gdy nadeszła wiadomość ze szpitala. Przestał słuchać codziennych wywodów i wychowywania w pigułce. Można było znowu wrócić do swojego życia. W pracy dostał awans, Ala

rozkręciła mały biznes, a Stasiek poszedł do przedszkola. Wszystko układało się znakomicie. Tak mu się przynajmniej wydawało. Do pewnego dnia, kiedy to reprezentacja kraju grała bardzo ważny mecz. Generalnie nie interesowało go to nic a nic, ale w firmie z tej okazji pozwolono wyjść wcześniej. Był piękny dzień. Rozluźnił krawat i ruszył do domu. Nowe auto było takie, jak sobie wymarzył. Zaparkował przed bramą i wystawiając twarz w stronę słońca, powoli szedł w kierunku drzwi. Usłyszał wesołe okrzyki i śmiechy. Spojrzał w tę stronę. To Zbyszek, jego sąsiad, na pobliskim boisku biegał z dziećmi z okolicznych domów. Kopali piłkę. Miał być rzut karny. Podeszedł bliżej, z uśmiechem obserwując zabawę. Jednak uśmiech szybko zniknął z jego twarzy. Zobaczył oczy pełne zachwytu i podziwu, które słuchały wskazówek Zbyszka, tłumaczącego, jak uderzyć piłkę. Zobaczył rumiane policzki, rozwiane włosy. Zobaczył, jak Zbyszek uczy jego syna gry w piłkę.

Spędzaj więcej czasu z synem- pamiętaj-to ważne. Naucz go, jak wygląda dąb, jak założyć łańcuch w rowerze, opowiadaj bajki przed snem, pokopcie razem piłkę, naucz odróżniać wróbla od sikorki. Wspieraj go. Ucz szacunku do matki. Ucz, że trzeba szanować i babcię, i dziadka. I innych ludzi. I ma nauczycielki słuchać. Kup mu zwierzaka. Niech się uczy odpowiedzialności. Pokaż mu, że uczciwa praca może dawać satysfakcję. Niech ma kolegów, przyjaciół. Naucz go pacierza...

„Człowiek musi wierzyć w parę prostych pojęć, jeśli chce żyć przyzwoicie” (Joseph Conrad). Twoja recepta na wychowanie młodego pokolenia Polaków.

”(...) wierzę mocno, że państwo, którego wszyscy obywatele byliby harcerzami, byłoby najpotężniejsze ze wszystkich”

Bł. Ks. Phm. Stefan Wincenty Frelichowski

„ODWAGA”

Rozległ się dźwięk, zwiastujący jej w tym momencie, że nadeszła chwila, której nienawidziła najbardziej spośród swojego całonocnego grafiku, mianowicie budzik. W jej głowie pozostały jeszcze załamki brutalnie przerwane snu, gdy po omacku z zamkniętymi oczami próbowała odnaleźć telefon i przerwać swoje katusze. Jest teraz jeszcze tylko magiczny przycisk „uśpij” i powróci do zaczarowanej krainy, z której ją wyrwano, a która już zaczynała jej się wymykać. Pozbyła się czym prędzej natrętnego alarmu i wtuliła głowę w poduszkę, jednocześnie naciągając kołdrę pod sam nos, by jeszcze bardziej ograniczyć swój malutki świat. Jednak zamiast tęczy obłoków i smoków latających po niebie w jej głowie zagościły irytujące i niedające spokoju myśli:

– Znowu to samo... a obiecywałaś sobie, że dzisiaj będzie inaczej... jeśli teraz nie wstaniesz zavalisz wszystkie pozostałe plany!

– Ale w łóżeczku jest tak ciepło i przytulnie, a ja padam ze zmęczenia...

– Trzeba było nie czytać książki do białego rana! Rusz się!

– Ale tu jest tak cudownie...

– Przecież obiecałaś sobie, że będziesz bardziej konsekwentna! Anka rusz się!

Ten argument podzielał. Jeśli teraz nie wstanie, to jak poradzi sobie z budzeniem całej drużyny na obozie, gdzie sen ograniczony jest do minimum ze względu na sprawy organizacyjne? Eh...

– Jeszcze tylko pięć minut... - pomyślała z błogim uśmiechem na twarzy i poczuciem dobrze spełnionego obowiązku.

– NIE! Obiecał ci, że obudzisz się za godzinę, jak teraz zaśniesz, ruchy!

Sama sobie nie wierząc, uchyliła powieki. Przez zasłonięte okno wpadało cienkie pasmo jasnego i ostrego jak brzytwa światła.

– Musi być strasznie wcześnie – przeleciało jej przez myśl, jednak odważnie sięgnęła po nieszczęsny telefon, który swym istnieniem wywołał tak burzliwą dyskusję w jej głowie. Zerknęła niechętnie na jasny wyświetlacz i przekonała się, że miała rację, była 05:20. Z tego wynikało, że biła się z myślami przez jakieś dwadzieścia minut.

Z wyrazem największej męki na twarzy zwlekła się z łóżka i, jak na ścięcie, ruszyła w stronę łazienki. Spłukała twarz lodowatą wodą, co choć trochę otrzeźwiło jej umysł.

– Dobrze, że o tej godzinie nie spotkam nikogo znajomego – stwierdziła, widząc swoje spuchnięte, zaspane i potargane odbicie w lustrze. Wyszła z łazienki i poczłapała z powrotem do pokoju. Po cichutku, tak, aby nie obudzić innych domowników, wskoczyła w ciepły dres, złapała MP3 ze słuchawkami i wyszła z mieszkania.

Poranek powitał ją chłodną szarością i opustoszałymi ulicami, co jest jak najbardziej zrozumiałe, zważywszy na to, że było dopiero wpół do szóstej i miasto budziło się do życia. Zrobiła krótką rozgrzewkę i po chwili truchtała już wąskimi uliczkami w rytm muzyki, rozkoszując się niczym niezmaconym spokojem. Już za godzinę te ulice zmienią się w hałaśliwe i zatłoczone skupiska samochodów, rozbrzmiewać będą klaksony, a szarzy i zajęci swoimi sprawami ludzie będą spieszyć do codziennych obowiązków.

Pojedynczy przechodnie rozglądali się za nią, dziwiąc się, skąd bierze motywacje do porannego biegania, podczas gdy oni sami nie mieli ochoty z rana nawet na poranną toaletę czy zabranie się do śniadania.

Ania była jednak obojętna na te spojrzenia. Zwykle trochę ją one peszyły, lecz dziś jej uwagę absorbowwała pewna sprawa, która od dawna już nie dawała jej spokoju. Mianowicie zastanawiała się, co począć ze sprawą Michaliny. Dziewczyna nie była może duszą towarzystwa, ale żeby tak ją traktować... Zgłaszała dyrekcji i nauczycielom, że uczniowie zachowują się w stosunku do niej nie w porządku, jednak wiele to nie zmieniło. Próbowwała nawet rozmawiać ze znajomymi z klasy, lecz ją zbyli, bo przecież „nic złego jej nie robią, a to jest TAKIE ŚMIESZNE”. Dziecinada no, ale nie będzie przecież sama walczyła z całą szkołą... Osobiście nie miała nic przeciwko Miśce, może jest specyficzna i czasem jak coś powie, to można nie wytrzymać, ale nikt z nas nie jest idealny, każdy jest inny, a ona przynajmniej się tego nie wstydzi. Jest sobą, a nie tylko „jedną z wielu”. Z drugiej strony Julka może mieć trochę racji, twierdząc, że to nie jest nasza wina, że nikt jej nie lubi, gdy mówię jej o swoich wyrzutach sumienia:

– Sama jest sobie winna, to nie my mamy problem, tylko ona, nie przejmuj się błahostkami.

Tylko co zrobić, jeśli dla mnie to nie są błahie sprawy? Sama miałam kiedyś problem z akceptacją w grupie. Dopiero w harcerstwie poznałam ludzi, dzięki którym się otworzyłam i nauczyłam rozmawiać z innymi. Dlatego uważam, że jej także potrzebny jest ktoś, kto wyciągnie do niej pomocną dłoń i zwyczajnie po ludzku pogada o wspólnych zainteresowaniach. Przecież, do cholery, ta dziewczyna czyta Sapkowskiego, ona musi być w porządku! No i znowu, jeśli się za nią wstawię, to utracę życzliwość osób ze szkoły, którą dopiero co udało mi się pozyskać, a jak spędzić kolejne trzy lata w miejscu, w którym wszyscy patrzą na ciebie wilkiem? Trudna sprawa...

Takie myśli towarzyszyły jej przez całą godzinną dawkę wolności. Szybkim truchtem przemierzyła ostatni odcinek, wbiła kod i weszła do klatki. Raz dwa po schodach i była na górze. Na zegarku miała szóstą trzydzieści, a wiedziała, że mama i Marta mają dzisiaj na ósmą, więc pewnie jeszcze smacznie śpią, dlatego delikatnie zapukała. Na szczęście tato już był na nogach, jak to on i otworzył jej. Wpadła do środka, chwilowo pozostawiając swoje zmartwienia

gdzieś w okolicach wycieraczki przed drzwiami, marząc już tylko o kąpiele. Wzięła szybki i chłodny prysznic i zaczęła szykować się do wyjścia. Poranny jogging podniósł jej poziom endorfin, więc pakując książki do plecaka nuciła pod nosem, senność opuściła ją całkowicie. Jej wzrok padł na chwilę na naszykowany na pufie mundur. Dziś wieczorem ma zbiórkę drużyny, po szkole wpadnie tylko na chwilę zrzucić „garbą”, przebrać się i pojedzie na spotkanie z harcerzami. Już nie mogła się doczekać. Szybko „wciągnęła” naszykowaną przez tatę owsiankę i poleciała na autobus. Na wyludnionej godzinie temu drodze teraz wił się wąż samochodów. Było już grubo po siódmej, a o 8:25 zaczynała lekcje...

– No cóż, może się uda, jak nie, to trudno... – stwierdziła w myślach, ciesząc się w duchu, że, NIESTETY, ominie ją ta bardzo ważna praca klasowa z matematyki. Jednak tego dnia nie było dane jej pani rozpaczać z powodu nieobecności Anki na lekcji, gdyż na horyzoncie ukazał się żółto – czerwony wehikuł, najbardziej wyczekiwany w tej chwili obiekt na przystanku. Tak więc została wessana wraz z resztą oczekujących do środka i tak już mocno zatłoczonego busa. Przepchnęła się przez tę ciżbę i wyskoczyła na Wyścigowej, przesiadając się w kolejnego zionącego spalinami potwora. Tam było niewiele lepiej, ale maszyna dowiozła ją niemal pod same drzwi szkoły. W ten sposób znalazła się na miejscu na tyle wcześnie, by zdążyć jeszcze rzucić nauczycielce mordercze spojrzenie w drzwiach sali, gdy ta popatrzyła na nią z kpiną i niedowierzaniem:

– Anka, ty w szkole? Niebywałe... A ja już wpisałam ci nieobecność. Chyba cuda się jednak zdarzają.

Po czym, wraz z tą pokrzepiającą oraz podnoszącą na duchu uwagą, wpadła do klasy i z miną głodnego bazyliuszka, który za chwilę zacznie degustować wyjątkowo smakowitą ofiarę, rozpoczęła rozdawanie sprawdzianów.

Z niewiadomego powodu w głowie Ani zamiast definicji dziedziny czy formy zdaniowej zmiennej „x”, zagościły nagle wszelkiego rodzaju motywy niewyjaśnionych i popełnionych z premedytacją morderstw z książek Agaty Christie. Zadziwiające, że takie myśli dopadały ją tylko na lekcjach matematyki.

– Zamierzasz tak stać, czy w końcu zajmiesz miejsce? Zaraz zaczynamy, jeśli nie chcesz, nie pisz i tak jak zwykle zobaczymy się na poprawie. Pewnie z resztą również – stwierdził Bazyliszek, obnażając swoje kły w morderczym uśmiechu. Starając się zapanować nad sobą i nie wcielić w życie techniki uśmiercania za pomocą czegoś w stylu użądlenia wyjątkowo wścieklej osy, rozejrzała się po sali w poszukiwaniu wolnego miejsca. Wszyscy byli już skupieni na kartkach, tych na ławkach jak i tych pod nimi. Tylko w pierwszym rzędzie jedno miejsce świeciło pustkami, obok Michaliny. Na samym końcu pomieszczenia kusiło ją jeszcze bezpieczne i osamotnione miejsce pod oknem. W tym momencie wszystkie poranne wątpliwości powróciły i to ze zdwojoną siłą.

– A niech tam – pomyślała i ruszyła w kierunku Miśki. Kiedy szła kilka głów uniosło się do góry, a gdy zajęła swoje miejsce i schyliła się po długopis do plecaka, wyłapała parę zdumionych spojrzeń. Coś ścisnęło ją w żołądku, jednak kiedy się wyprostowała, dostała nagrodę. Miśka wpatrywała się w nią, posyłając jej delikatny acz pełen zdumienia i radości w oczach uśmiech. Odwzajemniła go i zabrała się do pisania. Cała w skowronkach, zadowolona, że postąpiła właściwie, zanurzyła się w krainę kompletnie dla niej niezrozumiałą na jedno z najdłuższych czterdziestu pięciu minut tego dnia.

Ocknęła się wraz z dzwonkiem. Odetchnęła głęboko i z uczuciem psychicznego wyczerpania odsunęła kartkę jak najdalej od siebie. Napisała wszystko, ale nie miała złudzeń co do tego, że czeka ją za tydzień jeszcze jedno nadprogramowe spotkanie w tej sali tortur. Zarzuciła sobie plecak na ramię, razem z resztą klasy wyszła na korytarz. Od razu rozpoczęła się dyskusja na temat wyników i odpowiedzi. Chyba wszyscy w ferworze dowiedzenia słuszności swoich wypocin zapomnieli o porannym incydencie. Jeden przez drugiego żywo dyskutowali, a Ania razem z nimi, lecz kiedy dotarli pod klasę, w której mieli mieć kolejne zajęcia, zauważyła stojącą samotnie pod oknem Michalinę. Zachęcona poranną niespodzianką podeszła do niej i zaczęły rozmawiać. Na początku tylko wymieniły parę uwag o samym sprawdzianie, jednak potem dyskusja zeszła na inne tematy. Tak jak Anka podejrzewała, dzieliły wspólne zamięłowanie do książek. Świetnie im się rozmawiało, jednak przerwały im kąśliwe

uwagi rzucane przez niektórych chłopaków. Parę dziewczyn, nie chcąc zostać przydzielonymi do tej niechlubnej grupy, przyłączyło się do nich. Ania miała to w nosie i chciała podjąć przerwana dyskusję, lecz Michalina wyraźnie się speszyła i z powrotem zamknęła w swojej skorupie;

– Chyba lepiej żebyśmy nie rozmawiały. Tak przynajmniej mnie ignorują – powiedziała cicho, lecz pewnie.

– Daj spokój, nie przejmuj się nimi. Niech gadają, możemy im tylko współczuć, że ich poziom intelektualny pozwala im tylko na taką formę zaimponowania sobie nawzajem – Ania spojrzała z uśmiechem na koleżankę.

– Ale...

– Żadnego „ale”! To co tam było z tym Geraitem i Vilgefortzem?

Trzy dziewczyny stojące obok i przysłuchujące się wszystkiemu spojrzały po sobie. Skinęły głowami i podeszły do bohaterek całego zamieszania. Uśmiechnięte włączyły się do rozmowy. Gdy to zrobiły, od strony agresorów posypały się jeszcze bardziej złośliwe komentarze.

– Dalibyście sobie spokój i zamknęli się wreszcie – Agata, najbardziej lubiana dziewczyna w klasie, spojrzała na nich z pogardą i ruszyła w stronę małej grupki otaczającej Miśkę, która z niedowierzaniem przyglądała się rozwojowi wypadków.

– I brawo za odwagę cywilną – dodała Agata, uśmiechając się do Ani, po czym sama wzięła żywy udział w podjętej rozmowie. Ich mała grupa dyskutowała na przeróżne tematy, co chwila wybuchając śmiechem. Wszyscy obserwowali ze zdumieniem, że w centrum uwagi znajduje się nie kto inny jak mała, niepozorna dziewczyna, z której twarzy nie schodził uśmiech. Zachęcone postawą koleżanek i atmosferą panującą w grupie, kolejne osoby dołączały do nich. Wszystkich oczarowały zaś wesołe ogniki palące się w oczach dziewczyny, która pierwszy raz będzie mogła wrócić do domu z wysoko uniesioną głową, ciesząc się z tego, kim jest. A wszystko za sprawą jednego nieśmiałego uśmiechu i koszmarnego sprawdzianu pod okiem Bazyliszka.

*„Cuda świata można znaleźć we własnym ogrodzie” (Phil Bosmans)
Rozważ tę myśl w odniesieniu do twojej małej ojczyzny.*

SZARLOTKA JEST DOBRA NA WSZYSTKO...

– Marto, przypominam ci, że jutro musisz oddać mi tę pracę – głos nauczycielki fizyki, która pełni funkcję licealnego koordynatora do spraw konkursów, przebił się przez gwar szkolnego korytarza podczas długiej przerwy.

– Jaką pracę, proszę pani? – spytała Marta, odwracając się i rezygnując w tej chwili z wypicia jeszcze jednego łyku napoju o smaku jabłkowo-jakimś tam, który spragniona kupiła właśnie w szkolnym sklepiku (drogo jest w nim sakramencko, ale co zrobić, gdy dręczy cię pragnienie).

– Marto! To przecież praca na ten konkurs, o którym mówiłam ci miesiąc temu! Sama przecież pisałaś mi w mailu, że przeczytałaś informacje o nim i zaczęłaś już pisać.

– A, tak! Ten! Tak, zaczęłam pisać... – odparła zgodnie z prawdą Marta, przypominając sobie, że otworzyła na komputerze nowy dokument, napisała chyba dwa zdania, gdyż w ogóle nie miała pomysłu na rozwinięcie trudnego, enigmatycznego tematu.

– Ale przyniesiesz mi jutro tę pracę? Już cię zgłosiłam. Nie możesz nas zawieść.

– Oczywiście – powiedziała niezbyt pewnym głosem dziewczyna.

Gdy wróciła do domu, włączyła komputer i ponownie przeczytała temat konkursu: „Wszystkie cuda świata znajdziesz w swoim ogrodzie.”

– Hm... – westchnęła przygnębiona. Zupełnie nie wiedziała,

o czym pisać. Słowo „ogród” jakoś mgliście kojarzyło się jej Edenem i drzewem. Według tradycji była to jabłoń. Jabłoń, jabłko, co to nie-daleko pada od swojego macierzystego drzewa i takie tam.. Zaczęła pisać, ale bez entuzjazmu, w zasadzie prawie wszystko kasowała, co pojawiło się na monitorze laptopa.

– Martusiu, przyjdź do mnie! – usłyszała głos mamy. – Możesz mi przy pieczeniu szarlotki.

Weszła do kuchni. Mama odbierała właśnie jakiś nieoczekiwany telefon. Gdy skończyła rozmawiać, wrzuciła pospiesznie komórkę do torebki, chwyciła leżące na marmurowym blacie kluczyki od fiesty i powiedziała tylko: „Jadę do szpitala. Upiecz ciasto sama, jutro przyjeżdża ciocia Agnieszka z wujkiem. Pa!” Trzasnęły drzwi. Marta nie zdążyła nawet zaprotestować – i tak by to nic nie dało. Tak to jest, gdy ma się matkę-anestezjologa. Ostatecznie upieczenie jabłecznika nie było dla niej nowiną. „Kurczę – ucieszyła się nawet. Nie będę już musiała pisać tej dziwacznej pracy o cudach i ogrodach na konkurs. Tak jest! Zamknę się w kuchni, odgródzę od wszystkich cudów i nie-cudów świata. Super!”

Po pierwsze mąka. Gdzie ona jest? Co, u licha? Prawie pusta torebka? Coś tam na dnie jeszcze jest, ale to za mało. Marcie nie uśmiechało się jechać rowerem do najbliższego sklepu, bo raz, że było to z kilometr piaszczystą drogą, a dwa, że na dworze zaczęła kropić listopadowa mżawka. Od czego jednak spiżarnia? W jej rogu, na niewielkim zielonym stoliku, stał solidny biały worek, zawiązany od góry jakimś kosmatym, chyba konopnym, sznurkiem. To pomysł taty. Zanim pojechał do Belgii, do pracy (minął już miesiąc od jego wyjazdu), „zorganizował mąkę rodzinie” (jego własne słowa). Mama nawet śmiała się, że przygotowuje swoje dziewczyny, jakby miała wybuchnąć wojna. Marcie wydawało się głupotą kupować z pięćdziesiąt kilogramów mąki na raz. Ale oczywiście nie była to zwykła mąka. Ojciec najpierw kupił zboże od jednego rolnika w ich miejscowości, a potem pojechał z nim (ze zbożem a nie rolnikiem) do jakiejś sąsiedniej wioski, gdzie funkcjonuje ostatni czynny młyn w gminie. Na tę wyprawę namawiał Martę – ona jednak wykreści-

ła się, bo nie czuła konieczności oglądania całego tego „przemiału”. A potem tato cały wieczór długo opowiadał, jak szczegółowo konferował z młynarzem, czego też ten straszy pan nie opowiedział mu o swoim, istniejącym ponoć jeszcze przed wojną, młynie. Że wielką sztuką jest zrobienie wzorcowej mąki krupczatki – takiej, z której wyszłoby najlepsze kruche ciasto na szarlotkę i takie tam...

No tak – ciasto! A jak ciasto – to masło do mąki. Tu, tym razem mama postarała się, aby w domu było prawdziwe wiejskie masło. Zgodnie z umową zawartą z panią Witoszkową, właścicielką Kory i Raby, dwóch wielgachnych krów, które żyją sobie beztrudno w ostatnim gospodarstwie, pod samym już lasem – raz w tygodniu Marta jedzie po solidną osełkę masła. Pani Madzia Witoszkowa musi być chyba jakąś krewną tego młynarza poznanego przez tatę, bo też zawsze gada dużo i barwnie – nie oczywiście o przemiele mąki, ale o swoim ukochanym synu, który pojechał „do stolicy i „praktykuje tam na adwokata”. Marta przypuszcza, że jeśli tylko pan Witoszek junior odziedziczył krasomówstwo po mamie, to z pewnością zajdzie wysoko jako mecenas. Na szczęście Kora i Raba nic nie mówiły (no chyba, że we Wigilię). Zadbane krówska były oczkiem w głowie gospodyni, która co wieczór szcztokowała ich boki zgrzeblem, a jesienią pasła nadmiarem marchewki z własnego ogródka i jabłkami, których mnóstwo leżało pod drzewami za domem.

Jabłka! Marta, szybko zagniotła ciasto, włożyła je do lodówki, by schłodziło się odpowiednio i pomimo siąpiącego deszczu pobiegła do sadu. Założył go jeszcze jej dziadek. Nigdy go nie widziała – tylko ze zdjęć kojarzyła niewysokiego, wąsatego pana z łysiną. Dzisiaj najważniejsze były szare renety – najlepsze ze wszystkich możliwych odmian do jabłecznika. Królowe tego rodzaju ciasta. Monarchinie, chociaż z wyglądu najuboższe krewne miłośnicy nam panujących w marketach wielkich, kolorowych jabłek najnowszych, modnych odmian. Zebrała spod drzew kilkanaście zielonych i twardawych owoców i pędem do domu, by nie zmoknąć, bo nic nie zarzuciła na plecy. Obrać, pokroić na ćwiartki, a potem zetrzeć na tarce – na cieniuteńkie plasterki.

Tarka, tarka... W górnej szafce, po lewej stronie – tam zawsze stoi obok moździerza. Jest! Tarka o czterech bokach, stara, prawie czarna. Po babci. Jeszcze ze Lwowa. Została wraz z moździerzem kupiona w tym roku, w którym babcia przyszła na świat. Babcię Martę oczywiście doskonale pamięta. Jakże mogłoby być inaczej, skoro odeszła ona rok temu – trafić chciał, że dokładnie 1 listopada. Marta nie chodzi zbyt często na jej grób... Boi się cmentarzy, jakoś jej tam nieswojo. Nie lubi też tego jarmarcznego znoszenia ogromniastych chryzantem na Wszystkich Świętych, tego palenia monstrualnych zniczy, ale zawsze, kiedy bierze do ręki poczerńiałą tarkę...

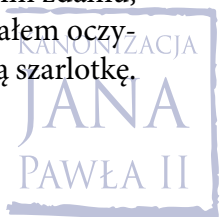
Marta zadumała się i nawet jakoś ucieszyła się, że została sama przy robieniu szarlotki. Jest w swoim żywiole w swoim ogrodzie, kulinarnym ogrodzie. Nie wejdzie jej tu żadna przybłęda z szerokiego świata! Nawet gdyby była jakimś siódmym cudem. Wara jej! A kysz!

A cynamon? Tu dziewczyna czuje, że owszem, dobrze, że nawygrażała się, ale jak tu zrobić szarlotkę bez cynamonu?! Trzeba będzie wysunąć szufladę z pachnącymi przyprawami, trzeba będzie wpuścić jednego wędrowca z dalekiego świata. Ale czy to w sumie taki obcy gość? Pamięta bowiem, że gdy była jeszcze w podstawówce, tato czytał jej przed zaśnięciem fragmenty „Lalki” Bolesława Prusa o małym sierocie o imieniu Ignacy, który musiał pracować w sklepie. I w tym sklepie jego szef uczył go: „Co to jest cynamon? Jest taki kora z jedne drzewo. Gdzie mieszka taki drzewo cynamon? W Indii mieszka taki drzewo.” Tak więc i cynamon jest jej starym bliskim znajomym. Ale tato nie skosztuje tej szarlotki... Kiedy wróci z tej cholernej Belgii? Może na Święta...?

Piekarnik na 180 stopni, góra-dół i jedziemy! Aby nie przepaść czasu pieczenia się ciasta, Marta nastawia kuchenny budzik w kształcie jajka na odpowiednią porę. Potem bierze I tom „Lalki” i zatapia się w lekturze. Marta zamknęła się w kuchni, w swoim tajemniczym ogrodzie. Zamknęła drzwi od hałasów świata. Zapomniała o wszystkim, nawet o pisemnej pracy, którą ma oddać jutro pani od fizyki (licealnemu koordynatorowi do spraw konkursów). W piekarniku tymczasem zaczął zakwitać piękny złoty kwiat szarlotki.

Ciasto gotowe. Czujecie, jak cudownie pachnie, jak jego woń napęłnia cały dom? Niech tylko nieco ostygnie... Chcecie kawałek? Z pewnością Marta zaprosi was do swojego domu, do Długołęki. Dla was, gości z dalekiego lub bliskiego świata znajdzie się miejsce za stołem i szklany talerzyk z kawałkiem pysznej szarlotki. Chyba, że wujek – ten od cioci Agnieszki upora się z solidnych rozmiarów blachą jabłecznika prawie sam – czego, niestety, nie można wykluczyć, znając jego wcześniejsze kulinarno-konsumpcyjne osiągnięcia.

Założmy jednak wariant optymistyczny, że szarlotki wystarczy. Skosztujecie i może podpowiecie Marcie, o czym można pisać na temat cudów świata i odnajdywania ich we własnym ogrodzie. Liczcie się jednak i z tym, że moja przyjaciółka ma swoje zdanie. Może dojdzie i do tego, że nakładając wam kolejną porcję ciasta (kto ładnie poprosi, to i dostanie do niego bitą śmietanę) Marta będzie uparcie (choć może tylko dla zasady) obstawała przy swoim zdaniu, że lepiej jest uprawiać swój ogródek, o przepraszam, chciałem oczywiście powiedzieć, że Marta uważa, iż lepiej jest piec swoją szarlotkę.



*„Człowiek musi wierzyć w parę prostych pojęć, jeśli chce żyć przyzwoicie”
(Joseph Conrad).*

TWOJA RECEPTA NA WYCHOWANIE MŁODEGO POKOLENIA POLAKÓW.

Przyzwoitość – słowo to dla każdego z nas będzie oznaczać coś innego. Ale w oczach nastolatków co jest przyzwoite?

- waga – do 45 kg MAX!! (żebrą są przecież takie sexy!),
- ciuchy – lans na Bershki, H&My, ZARY... Broń Boże spodnie z targu! WSTYD!
- kasa – im więcej tym lepiej! – Wydawać oczywiście, bo zarabiają na nas rodzice...
- ilość spożytego alkoholu i przygody (które opowiadają znajomi, bo się ich nie pamięta),
- seks – niby temat tabu, ale jak się już przeliże jakieś ciacho, to warto się tym pochwalić,
- tunele, kolczyki, implanty, tatuaże, operacje plastyczne...

STOP!

Dlaczego tak jest? W jaki sposób można to zmienić? Czy da się to zrobić?

Jak?

Powstają pytania i wątpliwości.

Młodzi chcą być zauważani. No, ale kto lubi być przezroczysty? Zapominamy o osobowości, zaczyna się liczyć tylko wygląd. Rodzice jako prezent sponsorują swoim dzieciom operacje plastyczne. Myślę, że to świadome podkopywanie nam wiary w siebie, jeżeli rodzic zgadza się na coś takiego. Od samego początku brak nam

wzorców do naśladowania. Dziewczyny powoli stają się kopiami Joli Rutowicz. Ale czemu się dziwić, jak tyle rzeczy zawodzi. Nawet święty Justin Bieber pali trawkę, odwiedził dom publiczny oraz wysłał do Internetu filmik +18 we własnym wykonaniu. Krocząc po epokowych wzorcach i zaczepiając o średniowiecze widzimy obraz Boga – Stwórcy oraz prawdziwych Świętych... Nie piszę o tym przypadkowo, bo w każdej epoce było to „coś”, co łączyło ludzi: wierzenia, mity, sztuka, idee, patriotyzm, wojna, stan majątkowy, miejsce pochodzenia, wspólne zainteresowania, muzyka, wspólne problemy itp., itd. Tyle nas potrafiło połączyć, teraz się co raz bardziej oddalamy. Wiadać to choćby w klasach. Tworzą się grupki wzajemnej adoracji...

Młodzież trudno zrozumieć. Dużo osób ma problem z chodzeniem do szkoły, cierpi na brak obowiązków i siedzi na kompie. W dobie Internetu FACEBOOK pochłania młodych bez reszty.

Popadamy w skrajności. Chcąc nie chcąc, tracimy równowagę. Uczymy się życia, często balansując na krawędzi. Pojawiają się fałszywi przyjaciele i „pocieszacze”: alkohol, narkotyki... To jest czas, kiedy większość z nas się budzi za późno, bo jest czas na szaleństwa, ale i na obowiązki też trzeba go znaleźć. Jednak czasami jest już za późno.

RECEPTA NA WYCHOWANIE MŁODEGO POKOLENIA:

Składniki:

- ciut wyrozumiałości,
- troszeczkę dobrych porad,
- kilka kropel oleju „do głowy”,
 - odrobinę czułości,
- nieskończoność miłości,
- poczucie własnej wartości.

Mimo że czasami wydawać się może, że problemy, które nas spotykają, są nie do rozwiązania, to należy pamiętać, że takie jest życie dorosłych, do którego powoli wkraczamy.

W pogoni za byciem idealnym pod każdym względem nie trać siebie. Każdy jest inny i nikt nie jest doskonały. Musisz stawiać czoło trudnościom, uczyć się na własnych błędach i nie dać się wyprowadzić z równowagi ani wmówić sobie, że jesteś gorszy. Rozwijaj swój talent, rób to, co lubisz, a osiągniesz sukces.

I pamiętaj:

KIM JESTEŚ? JESTEŚ ZWYCIĘZCĄ!”

**X Dolnośląski Konkurs Literacki
o Laur Złotego Pióra
„My Polacy, My Dolnoślązacy”
rok 2014**



JUBILEUSZOWA X EDYCJA KONKURSU LITERACKIEGO O LAUR ZŁOTEGO PIÓRA



ZAPRASZAJĄ

**MŁODZIEŻ SZKÓŁ PONADGIMNAZJALNYCH
ORAZ 3 KLASY GIMNAZJUM**

**dla najlepszych przewidziano
cenne nagrody**

*My Polacy
my Dolnoślązacy*

MECENAT

prof. Jan Miodek

prace napisane w dowolnej formie należy składać do 14 listopada 2014 r.
uroczysta gala - Sala Wielka Ratusza - Wrocław - 2 grudnia 2014 r.
bliższe informacje u nauczycieli j.polskiego i pod adresem:

WSPÓŁORGANIZATOR



www.zlote-pioro.pl

PATRONAT MEDIALNY



SPONSOR



PATRONAT HONOROWY

Cezary Przybylski – Marszałek Województwa Dolnośląskiego
Tomasz Smolarz – Wojewoda Dolnośląski
Rafał Dutkiewicz – Prezydent Miasta Wrocławia
Beata Pawłowicz – Dolnośląski Kurator Oświaty
ks. Józef Kupny – Arcybiskup Metropolita Wrocławski
ks. Ignacy Dec – Biskup Świdnicki
ks. Zbigniew Kiernikowski – Biskup Legnicki
ks. Alfred Leja – Inspektor Inspektorii św. Jana Bosko we Wrocławiu

Jakub Zapolny

Zespół Szkół Ogólnokształcących im. S. Żeromskiego w Strzegomiu

*„Ojczyzna moja wolna, wolna... Więc zrzucam z ramion płaszcz
Konrada” (Antoni Słonimski). Twoja próba opisania tożsamo-
ści współczesnego Polaka po 25 latach życia w wolnym kraju.*

**BY ZROZUMIEĆ, BY PRZEBACZYĆ
I NIE ZAPOMNIEĆ**

Wrześniowy wieczór. Pachnie już jesienią. Wczesnie zaczyna się ściemniać. Jest cieplej niż zwykle o tej porze roku. Czuję się zmęczony, aczkolwiek myśl o dzisiejszych planach pobudza mnie do działania. Do szkoły jest niezbyt daleko, a chcemy spotkać się w gronie znajomych z koła filmowego. Machinalnie sięgam po płaszcz. Nie muszę wprawdzie imponować Aldonie nowym trenczem, ale... Długim szalikiem maskuję brak guzika, a kiedy słyszę warczenie dzwonka, pośpiesznie wsuwam kościany drobiazg do kieszeni. Dzisiejszy wieczór mam zajęty. Aldona miała przyjść na osiemnastą. To już za moment. Wybraliśmy dziś „Katyń” Wajdy. W końcu dziś środa i do tego 17 września. Ale wtedy – w 39 była chyba niedziela...? Pedantycznie poprawiam kołnierz. Myśl w głowie jedna – trudny film. W duchu jestem dumny, że to Aldona zaproponowała ten film. Po produkcjach Ingmara Bergmana i Ridleya Scotta przyszła kolej na polski film wojenny. Bo chwila jest odpowiednia – myślę. Sam Wajda kręcił go – jak czytałem – na 68 rocznicę agresji sowieckiej na Polskę. W 2007 roku miałem 10 lat. Po siedmiu latach od premiery. Dziś! 17 września 2014 roku czas na naszą premierę filmu. Naszą prywatną. Obejrzymy go razem. W gronie siedemnastolatków!

Płaszcz? Ile znaczeń, ile typów, ile krojów? Ubiór w tym momencie dla mnie nabrał innego znaczenia. W lewej ręce ściskam mocno swój stary płaszcz. Uboższy o jeden kościany guzik, a pra-

wą mocno, mocno trzymam za rękę Aldonę. Wieczór pełen refleksji za nami. Mam nadzieję, że filmowe kadry nie wrócą dziś w postaci drastycznych sennych koszmarów. Nie powrócą..., ale zastygną niemyym krzykiem w naszej pamięci. Nie dyskutowaliśmy jak zwykle. Cisza przytuliła wszystkich. A... choć, wielu miało pewnie na uwadze zapiski majora Solskiego i słynną scenę ze swetrem, to ja zwróciłem uwagę na płaszcze, pięknie dopasowane do wojskowych mundurów, z polskimi orzełkami na guzikach. Tymi, o których tak pisał skromnie Zbigniew Herbert:

„Tylko guziki nieugięte
przetwały śmierć świadkowie zbrodni
z głębin wychodzą na powierzchnię
jedyny pomnik na ich grobie (...)
guziki z płaszczy i mundurów”.

Ciepłe wojskowe płaszcze chroniły żołnierzy przed zimnem. Te same, które zbrodniarze zarzucali na głowy swym ofiarom. Te szyte na wzór francuski płaszcze. Płaszcze oficerskie. Płaszcze skórzane. Spięte z tyłu petem płaszcze oficerskie. Z nieco ciemniejszym kołnierzem, z patkami w kolorze broni i służb.

Gdy zaborcy zagrażali naszej ojczyźnie, pod płaszczem „lisa” działali nasi patrioci. Płaszcz przypominał pelerynę i nie był tylko ówczesnym krzykiem mody, ale symbolem konspiracji. O nim to pisali i Adam Mickiewicz, i Antoni Słonimski. Ten drugi po odzyskaniu przed Polskę niepodległości nawoływał radośnie, by zrzucić „z ramion płaszcza Konrada”.

Tak, oto za owym płaszczem kryli się patrioci. Po odprowadzeniu Aldony, stoję przez chwilę sam. Zastanawiam się, jak wiele dla kogoś znaczyć może zwykły płaszcz. Okrycie wierzchnie, które można przywołać na myśl tak wiele znaczeń. Płaszcz stał się symbolem tajemnicy dla tych, którzy nie mogli walczyć otwarcie. Mowa tu o polskich Konradach różnych epok. O tych, którzy „ludzili despotę”, uciekając się do metod aprobowanych przez Niccolo Machiavellego.

Płaszcz Wallenroda ochraniał go przed Krzyżakami, choć pozornie sytuował go po ich stronie. To ów Litwin próbował zrzucić swój „płaszcz rycerza” (jak sam go nazywał), gdy opowiadał swoją historię. Stał się on dla niego swoistą koszulą Dejaniry. Zastanawia mnie symboliczny gest zerwania przez Konrada krzyżackiego stroju. Od tej pory wszystko będzie jasne. Bohater nie musi się już ukrywać. Jednakże gest ten dowodzi, że Wallenrod zmuszony jest poświęcić swe życie.

Po odzyskaniu niepodległości Słonimski nawoływał do pozbycia się tyrtejskiego tonu poezji. Do odrzucenia ojczyźnianych tematów! Ale czy słusznie? Trudno dziś oceniać. Dwadzieścia lat później idee wolności powróciły w wierszach i w postawach Kolumbów, a po II wojnie światowej ożyły wśród leśnej braci żołnierzy wyklętych. Swe płaszcze założyli znów „żyjący prawem wilka”.

Wchodzę do mieszkania i z lekką nutką nostalgii przyglądam się swemu odzieniu. Odwieszam je na miejsce i myślę o dzisiejszym dniu. Dniu, można by rzec, zwykłym, aczkolwiek dziś czuję wreszcie, że żyję wolnej ojczyźnie. Wolnej! – słyszycie. Choć, jak śpiewał Marek Grechuta, wolność nie jest dana raz na zawsze:

„Bo wolność – to nie cel lecz szansa by
Spełnić najpiękniejsze sny, marzenia...”

Kiedy zastanawiam się nad tożsamością współczesnego Polaka, stale myślę o symbolice przywdziewania i zrzucania płaszcza. I tego z filmu „Katyń”, i tego z okresu zaborów, i wojen polsko - krzyżackich. Dzisiaj jest to zwykła część ubioru. Oderwany guzik nic nie znaczy. Żyjemy w wolnym kraju. Powinniśmy jednak zachować szacunek do historii, godła, barw narodowych, choć być otwartym i na tolerancję, odmienność i czuć się Europejczykami. Nie zapominać o polskich kolędach, powitać Fredrę na wrocławskim Rynku, pojechać na Wawel...

Urodziłem się w wolnej Polsce. O niewoli czytam z podręczników. Oglądam filmy i bacznie przysłuchuję się opowieściom

rodziców i dziadków. I – jak mawiał Mickiewicz (a ja parafrazuję) – mogę znaleźć szczęście w domu, gdyż jest ono w ojczyźnie. Mogę wreszcie odwiesić płaszcz do szafy, a Aldonę znów zaprosić do kina. Tyle filmów do obejrzenia. I „Miasto 44”. I... No tak, teraz... Wojciech Smarzowski kręci „Wołyń”. – Musimy go zobaczyć Aldono! Zobaczyć, by zrozumieć, by przebaczyć i nie zapomnieć.

Agata Stepaniak
Zespół Szkół Ogólnokształcących, Kłodzko

„Ojczyzna moja wolna, wolna... Więc zrzucam z ramion płaszcz Konrada” (Antoni Słonimski). Twoja próba opisanie tożsamości współczesnego Polaka po 25 latach życia w wolnym kraju.

SZARE SZEREGI

Iksiński przetarł oczy, odrzucił koldrę na bok i z trudem wstał. W swoim pięćdziesięciosiedmioletnim życiu każdego dnia wstawał około godziny siódmej, w zasadzie sam nie wiedział dlaczego, możliwe, że wpływ na tę jego rutynową czynność miały zapamiętane z lat wczesnej młodości słowa ojca, który bezceremonialnie wdzierał się do jego sypialni o świcie, mówiąc, że „kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje”. Iksiński nie odczuwał, żeby przez ten codzienny rytuał zyskiwał cokolwiek, poza kilkoma nudnymi godzinami, ale możliwe, że się mylił, nie wiedział. Nigdy nie próbował tego zmienić.

Iksiński założył skórzane trzewiki, kurtkę i wyszedł. Stuk, stuk, stuk. Jego buty równomiernie uderzały o płyty chodnikowe. Ten sam dźwięk od zawsze, takie same skórzane trzewiki - ta para miała już około 20-tu lat. Dobra, prawdziwa skóra może służyć na wieki, nie ten chiński syf, który zewsząd teraz nas otacza. Stuk, stuk, stuk. Brzydki, odrapany dom, kałuża, krzywy krawężnik. Przez całe swoje życie Iksiński nie potrafił, ba, może nawet nie chciał, pozbyć się pewnego uporczywego nawyku- widział. Widział mech na dachu, widział nierówno pomalowany budynek, widział smugę po powodzi na ścianie kościoła. Pchnął stare, ciężkie drzwi. Krata, stop, nie ma przejścia. Tuż za ostatnim rzędem ławek musiał zatrzymać się przy tych żelaznych, kutych wrotach, nie było klęcznika. Iksiński miał twarz tak szarą, tak obojętną, że można było uznać go za manekina. Ale przyszedł. Sam nie wiedział po co, dlaczego, ale przyszedł. Był tu sam. No, prawie sam.

Boże- myślał Iksiński- czy zgrzeszę twierdząc, że kichnąłeś w momencie, kiedy matka wydała mnie na świat? Czy byłeś solidnie

przeziębiony, by nie zauważyć tego drobnego błędu, niedowidzenia? Może piekły Cię oczy? Rozumiem, też czasami mnie pieką. Czytałem Twe księgi, ale ja nie jestem Hiobem. Wolałbym, żebyś zabrał mi moją norę na Igrekowej, skórzane trzewiki, żeby zginęła moja niesłubna zresztą córka (ożeniłem się, ale tylko my wiemy, co było w jakiej kolejności), niż żebym nadal egzystował w tej nudzie. Nuda, nuda, nuda. Wiara miała być nadzieją, miała być wsparciem, a ja nie czuję, nie słyszę, nie widzę nic poza krzywym chodnikiem. Iksiński dwukrotnie zamrugął zszokowany własnymi myślami, wzruszył ramionami i wyszedł. Minął piątkę przybyszów z kosmosu. Listopad, środek Europy a oni w okularach przeciwsłonecznych. Iksiński odwrócił się za nimi, kolorowe kurtki i wielkie czapki sprawiły, że lekko unióśł brwi i potrząsnął głową. Nie rozumiał. Nie rozumiał, czy on też wydawał się starszemu pokoleniu tak nieludzki, tak... nienormalny?

Iksiński spojrzał w górę. Na tle jasnoszarego nieba jaskrawe billboardy przedstawiały wyszczerzone zdjęcia lokalnych polityków. Głosuj na lewo, na prawo, na arcyprawo. To ich wina: nie-ich; my zbudowaliśmy, a my planujemy, wybierz nas. Bałagan. Polska, Polak.

Kolor Iksińskiego to szary, szara jest jego kurtka, szare są trzewiki, szara kawa, którą pije po południu. Szary telewizor, w który wlepia szare oczy, by zabić szarą nudę. Iksiński jest Polakiem. Jest Polakiem, który się nie potrafi obudzić, żyjąc w przekonaniu, że bycie szarym jest normalne, jest wskazane, że normalność jest szara właśnie. Potrzeba mu uczucia, nieważne jakiego, ważne tylko, by było mocne.

Boże- myślał Iksiński- czy zgrzeszę twierdząc, że nie jestem wyjątkowy?

Tak- odpowiedział Bóg.

Boże- Iksiński westchnął- Czy wiesz, że dzisiaj są moje pięćdziesiąte ósme urodziny? Nie wiem kim są młodzi, gdzie się zgubiłem, w którym momencie przestałem oddychać świeżym powietrzem? Boże! Jestem stary!

– A co ja mam powiedzieć? – odparł Bóg

Maciej Koszorek
Zespół Szkół Elektronicznych Bolesławiec

„Ojczyzna moja wolna, wolna... Więc zrzucam z ramion płaszcz Konrada” (Antoni Słonimski). Twoja próba opisanie tożsamości współczesnego Polaka po 25 latach życia w wolnym kraju.

„Ściągnij płaszcz Konrada, Polaku!” – wrzeszczały mądre głowy. Wierzyły, że tak będzie lepiej. Chciały porzucić romantyczne ideały, bycie jednością z ojczyzną na rzecz wygodnego życia. Wyszły z założenia, że w czasach pokoju nie potrzeba oddania ojczyźnie. Młodzi Polacy szybko udowodnili, że Słomiński grubo się mylił. Płaszcz Konrada jest przekazywany z pokolenia na pokolenie i będzie noszony w takt Mazurka Dąbrowskiego – póki my żyjemy!

Zimno. Szczęk łańcuchów wybudził przyszłego sybiraka z dzwaczego transu, który pozwolił mu przynajmniej na chwilę wyłączyć myślenie. Nie wiedział, który to już kilometr. Równie dobrze mógłby to być dziesiąty albo nawet trzydziesty. Mężczyzna podrapał się odmrożonymi palcami po na wpół ogolonej głowie. Chciał zapłakać, ale na tym mrozie łzy nie przynosiły ulgi. Starał się stawiać pewne kroki. Wycieńczenie i śnieg, oblepiający jego zniszczone buty, mu w tym nie pomagały. Po kilku krokach zatoczył się i upadł na zamarznąłą ziemię. W jego uszach wciąż brzmiały słowa dobrze mu znane:

– Na bój, Polacy, na święty bój! Wolności duch — to Boga miecz...

Wydawało mu się, że przenikliwy wiatr niesie ich echo. Ostatnim dźwiękiem, który usłyszał, było kilka warknięć w dzwicznym języku Rosjan. Świat wokół niego zakołysał się i pograżył w mroku.

Natrętny dźwięk budzika przerwał przyjemną ciszę panującą w pokoju Cześka, licealisty ze Śląska. Chłopak ziewnął przeciągle. Z trudem zwłóknął się z łóżka i wlepił wzrok w ścianę. „Pięć po siódmej, czas do szkoły!” – wrzeszczała do niego tarcza zegara. Westchnął

głośno, otulił się kocem, który przynajmniej w małym stopniu bronił przed zimnym, styczniowym powietrzem i poszedł do kuchni. Podczas śniadania włączył telewizor na jednym z porannych programów informacyjnych. Bardzo szybko tego pożałował. Uśmiechnięty dziennikarzyna o kwadratowej szczęce opowiadał właśnie o nowinkach z kraju, wśród których na ostatnim miejscu pojawiła się jednozdaniowa wzmianka o rocznicy powstania styczniowego, przytłoczona newsami z życia „gwiazdek” i jałowych, jak zwykle, dyskusji znanych polityków. Powtarzał beczelne kłamstwa z takim przekonaniem, że licealista pomyślał o nim jak o skończonym idiocie. Po chwili się jednak zreflektował i stwierdził, że tak dobra gra aktorska nie byłaby osiągalna dla ostatniego półgłówka. Zmełł w ustach grube przekleństwo i nacisnął palcem guzik pilota. Zmarnował już wystarczająco dużo czasu. Zarzucił na ramię plecak i podreptał na przystanek autobusowy.

Życie w szkole toczyło się swoim własnym, powolnym rytmem. Uczniowie, jak zwykle, zajmowali się rozmową, zabawą i okazjonalnie nauką. Czesiek nie był wyjątkiem. Ba! Zazwyczaj to on był duszą towarzyszyństwa. Tego dnia jednak był dziwnie przygaszony i milczący. Zauważył to jego przyjaciel, Damian. Chłopak podszedł do Czesława i klepnął go w ramię.

- Coś się stało? – zaczął nieśmiało – Chyba nikt nie umarł?
- Dziś nie – popisał się wręcz spartańską odpowiedzią Czesiek.
- No, daj spokój, powiedz, o co chodzi?

Licealista uśmiechnął się blado. Rozmyślał o powstaniu styczniowym, które z całą pewnością nie było zwyczajnym tematem uczniowskich pogawędek. Zastanawiał się przez chwilę, czy warto podzielić się swoimi rozważaniami. W czasach podwójnych cheeseburgerów i hollywoodzkich gwiazdek nie było miejsca na historię. Nie mógł jednak znieść świdrującego spojrzenia przyjaciela.

– Wiesz, co stało się tego samego dnia jakieś 150 lat temu? – zaczął niepewnie – Wybuchło powstanie styczniowe. Cały dzień zastanawiam się, czy musiało do niego dojść. Doprowadziło przecież do tak strasznych represji. Jak potoczyłyby się nasze losy, jeśli powiodłoby się margrabiemu Wielopolskiemu? Byłoby lepiej? A może Gintrowski

miał rację i jedyne, co potrafią Polacy, to najpiękniej na świecie przegrywać?

Damian wytrzeszczył oczy. Nie spodziewał się czegoś takiego po Czesławie. Chłopak nigdy specjalnie nie interesował się historią i nie podejmował poważnych tematów. Spojrzał tylko na swojego przyjaciela i wzruszył ramionami. Czesiek pokiwał głową i wrócił do swoich rozmyślań.

Tak minęła mu cała reszta zajęć. Mógł wracać do domu. Poświęcił chwilę na przypalony w pośpiechu posiłek i opuścił progi swojego domostwa tak szybko, jak się w nim pojawił. Postanowił pojechać do pobliskiej wsi, Złotego Potoku, pod jeden z niewielu śląskich pomników ku czci powstańców styczniowych. Wybrał swój ulubiony środek transportu, czyli jak zwykle zatłoczony autobus. Dziękował matce naturze za zimę. Gdyby nie niska temperatura pojazd już dawno wypełniłby się niemiłym odorem ludzkiego potu. Oparł głowę o szybę i podziwiał uroki mijanych wioseczek. Zamknął oczy. Nie zdążył nawet dobrze przysnąć, a już dotarł do celu. Wskoczył na udeptany ciężkimi buciorami śnieg. Przeklął pod nosem tę zimę, którą jeszcze niedawno błogosławił. Mógłby przysiąc, że przed wyjazdem było o wiele cieplej. Opatulił się czym prędzej w ciepłutki szaliczek, zakrył oczy przed śnieżycą i ruszył pod pomnik. To, co ujrzał u celu, co najmniej go zaskoczyło. Nie spodziewał się aż takiego tłumu. Dołączył do grupy i rozejrzał się wokół. Widział twarze tych ludzi. Młode, stare, styране życiem i te pełne energii. Na wszystkich widniała jakaś dziwna zaduma i zacięcie. Mimo mrozu i śniegu uderzającego w twarz po prostu tutaj stali, śpiewając powstańcze pieśni ku czci bohaterów. Czesław otworzył szeroko oczy. Dołączył się do nich. Nie miał już wątpliwości. W oczach obecnych w Złotym Potoku wyczytał odpowiedź na swoje szkolne rozterki. Nawet jeśli Polacy potrafią tylko pięknie przegrywać, to co z tego? To nieposkromiony przez nikogo, nieprzyzwyczajony do pokoju naród. Jeśli będzie trzeba, chwycą za szabelkę, co udowodnili już wielokrotnie w przyszłości. Czesiek widział to w oczach, zarówno starych i młodych... chyba mają to we krwi.

Sybirak tracił ciepło. Wyczerpanie i mróz dawały mu się we znaki jak nigdy dotąd. Mężczyzna stracił nadzieję. Nie miał siły wstać.

Gruba warstwa śniegu przygniatała go do ziemi. Nagle poczuł mocny chwyt na swoim ramieniu. Poszybował do góry. Rzucił swojemu wybawcy pełne wyrzutu spojrzenie, które wyrażało jedynie pragnienie spokoju, nawet jeżeli oznaczał on pozostanie na zawsze na tej obcej, niegościnniej ziemi.

– Wstawaj, chcesz dać Roskom satysfakcję?

Tajemniczy wybawca uśmiechnął się szeroko, otwierając dwie czarne szramy ust. Więzień z trudem uniósł głowę i wbił w niego wzrok. Nie potrafił odgadnąć motywów jego zachowania.

– Dlaczego to robisz? – wychrapał.

Współwięzień ruszył do przodu. Kiedy jednak powstaniec chwycił go za skraj płaszcza, odwrócił się powoli. Na jego ustach wciąż widniał ten pewny uśmiešek.

– Pewnego dnia wygonimy Moskali z naszego domu. Wtedy wolni Polacy będą potrzebowali swoich bohaterów. Ludzi, którzy naprowadzą ich myślenie na właściwą drogę. W przeciwnym razie byle inteligent z kwadratową szczęką przekabaci ich na swoją stronę. Dlatego idę dalej.

Sybirak milczał. Próbował zrozumieć słowa swojego towarzysza, choć wycieńczenie odbierało mu zdolność zbierania myśli i wolę jakiegokolwiek działania. A jednak wciąż stawiał małe kroczki, le-dwo brodząc w wysokim śniegu.

– Rusz się, bo nie starczy dla ciebie miejsca na liście bohaterów.

Powstaniec przyspieszył kroku. Oby tylko ten mądrała miał rację...

Łapiak Kacper

Zespół Szkół im. Jana Kasprzowicza w Jelczu-Laskowicach

„Wiecie, że nienawidzę, nie cierpię kłamstwa, czuję się fatalnie i robi mi się mdło, zupełnie jakbym wziął do ust coś zgniłego” (Joseph Conrad).

Refleksje o znaczeniu prawdy w nowoczesnym społeczeństwie.

PURIMOWA DEBATA

Rabin Achim Ibn Jaco, skończywszy wieczorne nabożeństwo, odprawił zgromadzony tłum, błogosławiąc go wcześniej. Jednak, jego słowa brzmiały gorzko, jakby wypowiedziane z obowiązku, a nie głębi ducha. Do oczu zaczęły napływać mu łzy. Patrzył na wychodzących ludzi i widział ich ponure, zrezygnowane twarze pozbawione radości. A przecież Purim to radosne święto. Przypominał sobie zeszłoroczne obchody, gdy synagoga wypełniona była po brzegi. Rozświetlona blaskiem świec, ozdobiona pachnącymi kwiatami, i pogrążona w dymie kadzidła. Obłok dymu unosił się pod sufitem, tworząc złudzenie nieba. Liturgiczny śpiew rabina czytającego księgi wypełniał salę, a dzieci zebrane wokół słuchały uważnie. Dorośli równie mocno zasłuchani siedzieli w ławkach. Jak tradycja święta nakazuje, wszyscy reagowali głośnymi gwizdami oraz tupaniem, gdy odczytywano imię „Hamana”. Na ten uroczysty dzień czekali cały żydowski rok.

Rabin Achim, rozmyślając o tym, spojrzał jeszcze z nostalgią na ostatnią wychodzącą osobę. Wspomnienia rozplynęły się na tle przegniłych desek i rozmokłego sufitu synagogi. Jego dusza była rozdarta na drobne kawałki. Przetarł łzawiące oczy, zgasił cztery świece stojące na kazalnicy, włożył podarty płaszcz i wyszedł.

Zmierzał do swojego domu, powtarzając pod nosem „Gdyby Bóg sprawił, żeby ten dzień nabrał choć trochę ducha, wszystko wyglądałoby inaczej”. Stąpając tak po marcowym śniegu, gdy księżyc błyszczał już na nieboskłonie, spostrzegł marznącego pod drzewem mężczyznę. Nie wyglądał on na Żyda, ale strapiona dusza rabina kazała mu podejść i zapytać.

– Dlaczego marzniesz na dworze i nie udasz się do swojego domu? – popatrzył na niego z litością, swoimi dużymi oczyma, spod ronda chasydzkiego sztrajmela*.

– Nie mam swojego domu – odparł, spuszczać wzrok.

– Żaden z wychodzących z synagogi Żydów nie zwrócił na ciebie uwagi? – zdziwił się Achim.

– Nie warto, co komu po takim kimś jak ja? – zsunął z pnia, siadając na śniegu.

Rabin przykucnął. Każdego wieczora organizował wieczorne nauczania dla dwóch młodych Żydów. Postanowił więc, że zaprosi i tego przybędę na jedno z nich. Z początku nieznajomy odmawiał, ale po kilku namowach uznał, że przystanie na prośbę, i poszedł razem z nim.

W domu, rabin zaparzył herbatę i postawił na stół talerzyk z tradycyjną purimową potrawą zwaną hamantasami*. Upiekł ją specjalnie na ten wieczór dla siebie i swoich uczniów, którzy mieli dopiero przyjść. Hamantaszy było niewiele, ponieważ w całym kraju brakowało jedzenia. Poczęstował jednym swojego towarzysza i nalał mu gorącej herbaty. Potem sięgnął po jakąś księgę z biblioteczki. Otworzył ją i zaczął czytać szeptem. Pisana była w języku hebrajskim, toteż bardzo zaciekała przybłądę, który przyglądał się jej z uwagą. Rabin, czytając, bujał się to do przodu, to do tyłu. Z kontemplacji tekstu wyrwało go dopiero pukanie do drzwi.

Zaprosił do środka dwóch młodych mężczyzn – oczekiwanych uczniów, i przedstawił ich swojemu gościowi. Na początku trochę się zdziwili, ale po chwili zasiedli do stołu i odmówili modlitwę „Szema Israel”. O nic nie pytali. Czekali tylko uważnie na rozpoczęcie nauki rabina Achima, który właśnie zapalił dodatkową świecę. Pomieszczenie ogarnął przyjazny półmrok, cienie tańczyły na ścianach.

– Oddając się medytacji nad świętymi tekstami, zacząłem rozprawiać o prawdzie. Chcę was o coś zapytać.

Achim Ibn Jaco miał w zwyczaju nauczać poprzez zadawanie pytań.

– Czy poznaliście prawdę? – spojrzał w oczy swoich uczniów.

– Tak! – wyrwał się jeden z nich – Prawda to Tora – stwierdził, najwyraźniej był dumny ze swojej odpowiedzi.

– A więc prawda to przykazania i nakazy? Co w takim razie zbliża nas do prawdy?

– Przestrzeganie Tory – odezwał się drugi.

– A to oznacza, że aby przestrzegać Tory trzeba ją najpierw poznać. Jeśli nie poznamy prawdy, nie będziemy mogli jej wypełniać. Tak właśnie teoria łączy się z praktyką. Na początku poznajemy, a potem wypełniamy. Czy miałoby sens samo poznanie prawdy? Czy gdybyśmy nie wypełniali prawa, sama jego znajomość znaczyłaby cokolwiek?

– Prawda byłaby zupełnie niepotrzebna. Nie przynosiłaby owocu.

– Mało powiedziane. Znać prawo i nie wypełniać go? To sprzeczne wobec prawa! Czyli znać prawdę i nie korzystać z niej, to sprzeczne wobec prawdy! Ale czy prawdą byłoby powiedzenie, że tradycyjną potrawą purimową są hamantasze z makiem?

– Tak, od zawsze robiliśmy je z makiem. To prawda – podkreślił uczeń.

– Prawda jest taka, że w moich stronach Żydzi jadają Hamantasze z konfiturami – odezwał się nieśmiało przybłąda.

– Tak! Właśnie o to chodzi! – powiedział głośno rabin, patrząc na niego ze zdumieniem. – Dla ciebie prawdziwym stwierdzeniem jest, to że Hamantasze zwykło się robić z konfiturami. Dla nas prawdą jest, że Hamantasze zwykło się robić z makiem. Czy to oznacza, że prawda jest zależna od naszego pochodzenia? Czy może prawda jest jedna? Jeżeli prawda jest jedna, to jak do niej dotrzeć? Czy to możliwe?

Obaj uczniowie spojrzeli na siebie, nie znając odpowiedzi. Rabin kontynuował.

– Jeśli znając prawdę, nie przynosimy dobrego owocu, to znaczy że występujemy przeciw niej. A jeśli występujemy przeciw niej, znając ją, to jeżeli nasze sumienie jest właściwie uformowane, zaczyna

nas boleć. Czy oznacza to, że prawda jest tak naprawdę postępowaniem według własnego sumienia?

– Więc po czym poznać, że jesteśmy blisko prawdy?

– Po tym, że znając ją, przynosimy dobre owoce. Tego uczy tora.

– Co w takim razie znaczy przynosić dobre owoce? – dociekali uczniowie.

– Przynosić dobre owoce oznacza żyć w zgodzie z bliźnim i Bogiem. Czynić drugiemu to, co chcesz, aby tobie czyniono. Zapytacie zapewne, skąd wiem, że tak wyglądają dobre owoce? Odpowiem. Wynika to z naszej natury. Wiemy, że kiedy ktoś nas cieleśnie zrani, tworzy się boląca rana. Dlatego też posiadając takie doświadczenie, wiemy, że nie należy ranić innych. Bo właśnie to doświadczenie sprawia, że poznajemy prawdę, a dopiero potem możemy z niej korzystać. Dlatego dobrym uczynkiem wynikającym z poznania prawdy jest opatrzenie bliźniemu bolącej rany.

– Czy to znaczy, że prawda jest w człowieku? Że sami jesteśmy prawdą? – zapytał przybłęda.

– Bynajmniej! – rabin podniósł głos. – Jeśli tak zaczniemy uważać, staniemy się egoistami. Prawda nie wynika z nas samych, my możemy ją tylko poznać poprzez doświadczenia. I tutaj właśnie pojawia się Bóg.

– Bóg jest tym, który nas doświadcza. Czyli on musi być dawcą prawdy. Wtedy z pokorą możemy ją przyjąć, a nie egoistycznie uważać, że jesteśmy jej źródłem – zrozumiał przybłęda, mówiąc uradowany.

Rabin tym razem był w szoku. Popatrzył mu prosto w oczy, widział w nich pasję poznania prawdy.

– Zatem odpowiedzcie. Czy to co dzisiaj jest prawdą, będzie nią także jutro, albo za sto lat?

– Jeśli prawda oznacza życie zgodne z sumieniem i polega na miłowaniu bliźniego i Boga, to oznacza, że i za tysiąc lat pozostanie taka sama. Nie wiem, jak będzie wyglądać świat za sto lat, ale nawet jeśli staniemy na księżycu, to nasza ludzka natura pozostanie taka sama – rzekł pierwszy uczeń.

– A jeśli nasza natura pozostanie taka sama, to nadal będziemy poszukiwać wartości takich jak miłość. Jednak żyjąc w prawdzie, będziemy tę miłość także okazywać.

– Prawda ma też inną cechę. Widać ją z oddali. Przypatrzcie się bowiem tej świecy, która stoi przed nami. Gdyby nie ona, siedzielibyśmy pogrążeni w zupełnych ciemnościach. Mimo iż jej płomyk jest niewielki, to oświetla całe pomieszczenie. I nawet gdybym odszedł z nią na drugi koniec pokoju, nadal widzielibyście wijący się płomyk. Tak samo jest z prawdą. Widać ją z oddali nawet, gdy wokół niej zbierze się wiele kłamstwa. Sami dobrze wiecie, co się dzieje, gdy światło gaśnie.

Wszyscy trzej pokiwali głowami. Rabin mówił dalej.

– Dlatego człowiek prawy jest światłem dla świata. Niezależnie od tego jak ten świat wygląda. Jeśli robi się ciemniej, to płomyk jest bardziej widoczny, i jeśli nie, zgaśnie to widzą go wszyscy z bardzo daleka. Nawet gdyby ludzie podbili księżyc, to znaczenie prawdy pozostanie takie samo. Ale wam daleko do prawdy – odparł, patrząc na swoich uczniów.

– Jak to rabbi? – zapytali zmartwieni jednym głosem.

– Obaj znacie prawdę, ale przybłęda sprzed synagogi marznął na wietrze.

Świeca zgasła.

***Purim** – święto żydowskie o radosnym charakterze upamiętniające wydarzenia z Księgi Estery.

***hamantasze** („uszy Hamana”) – tradycyjna purimowa potrawa, zawijane ciastka z makiem lub konfiturami.

***sztrajmel** – tradycyjne nakrycie głowy noszone przez Chasydów

„Wiecie, że nienawidzę, nie cierpię, nie znoszę kłamstwa (...). Gdy stykam się z kłamstwem, czuję się fatalnie i robi mi się mdło, zupełnie jakbym wziął do ust coś zgniłego”.

Joseph Conrad.

REFLEKSJE O ZNACZENIU PRAWDY W NOWOCZESNYM SPOŁECZEŃSTWIE.

AKT I

Scena I

Szpital. Poczekalnia. Białe ściany i ustawione pod nimi krzesła. Pan Kłamca siedzi na jednym z nich. Niecierpliwie przebiera nogami i stuka palcami w krzesło obok. Wstaje. Chodzi chwilę po poczekalni w tę i z powrotem, po czym znów siada. Otwierają się drzwi jednego z gabinetów. Pojawia się w nich mężczyzna w białym kitlu i z ponurym wyrazem twarzy.

LEKARZ

Proszę, niech pan wejdzie.

Scena II

Park. Jesienna pogoda, na chodnikach leżą brązowe i złote liście. Pan Kłamca powoli spaceruje z rękami schowanymi w kieszeniach czarnego płaszcza.

PAN KŁAMCA (do siebie)

Jak mam jej to powiedzieć? Jak? To będzie dla niej straszny cios, wielki ból. Czy mam w ogóle prawo, by skazać ją na takie cierpienie? To zdecydowanie będzie cierpienie. Przecież mnie kocha, wiem to. Będzie się więc męczyć patrząc na to, co się mną dzieje. Musiałaby wszystko dla mnie poświęcić. Pracę, karierę. Będę wy-

magać opieki, sam sobie z niczym nie poradzę, potrzebna będzie mi pomoc przy najprostszych czynnościach. Nie mam prawa jej tym obarczać. To mój ciężar, nie jej. Pragnęła dzieci... Przecież teraz nie ma takiej możliwości, nie ze mną... Rozstać się? Nie będzie chciała, nie zostawi mnie samego. Może więc zakończyć to samemu nic nie mówiąc? Skłamać? Dla jej dobra. Ona może jeszcze zacząć wszystko od nowa. Jesteśmy tacy młodzi... Beze mnie ma szansę na szczęśliwe, spokojne życie. Będzie łatwiej mi odejść widząc, że nikt przeze mnie nie płacze. Będzie łatwiej odejść, bo może wyzbędzie się pragnienia życia. Nie będę miał przecież dla kogo...

Scena III

Dom. Salon z dużym kominkiem. Na środku skórzana kanapa a przy niej niewielki stolik. Pan Kłamca siedzi na kanapie z niewyraźnym wyrazem twarzy. Do salonu wchodzi jego żona.

ŻONA

Coś się stało? Głupio pytam, przecież widzę. Źle się czujesz? Ciężki dzień w pracy? Późno dziś wróciłeś, mogłeś chociaż zadzwonić...

PAN KŁAMCA (zdecydowanie)

Muszę ci coś powiedzieć.

ŻONA (przerażona)

Tak, zauważyłam... Dlaczego masz taki dziwny głos? Co się dzieje?

PAN KŁAMCA

Moja pierwsza narieczona... Opowiadałem ci o niej. Wróciła z zagranicy. Spotkaliśmy się przypadkiem i wszystko wróciło. Wybacz, powinienem był powiedzieć ci wcześniej. Ja... odchodzę.

ŻONA

Ale...przecież...

PAN KŁAMCA

Nie ma żadnego „ale”.

(wychodzi i odzywa się z pomieszczenia obok)

Mój adwokat się z tobą skontaktuje.

AKT II

Nocny klub. Zatłoczony parkiet i głośna muzyka. Przy barze siedzi pijany Pan Kłamca. Pije kolejny kieliszek wódki. Łamie mu się głos i płacze język.

BARMAN

Może na dziś już wystarczy?

PAN KŁAMCA

Nie będziesz mi mówił ile mam pić! Jeszcze jeden, proszę. Ostatni... A teraz mnie posłuchaj. Posłuchasz?

BARMAN

Posłucham. A potem pójdzie pan już do domu?

PAN KŁAMCA

To się jeszcze okaże... Skłamałem! Nie mogłem jej powiedzieć prawdy, wiesz? Nie zniosłaby tego, za bardzo by ją bolało. Męczyłaby się przy mnie. Wszystko musiałaby dla mnie rzucić, wszystko... A to i tak nie miałoby sensu, bo prędzej czy później odejdę. Zdrada? Pocierpi i jej przejdzie, ułoży sobie życie na nowo, może nawet będzie miała dzieci... Nie będzie patrzeć na mnie i się zadręczać. Pomyśli, że nie byłem jej wart, zdradziłem i związek ze mną był bez sensu. To będzie łatwiejsze. Ja sam to jakoś przetrwam. Czy mi teraz lepiej? Czuję ulgę? Nie, zdecydowanie nie. Mam wyrzuty sumienia, bo obiecaliśmy sobie, że będziemy wobec siebie szczerzy. Jestem wściekły, bo zostawiłem ją wbrew sobie. Chciałbym przecież, żeby przy mnie była, wspierała. Żeby chociaż wiedziała, że bym mógł z nią porozmawiać. Jednak to wszystko dla jej dobra. Chciałem jej zapewnić spokój, bez troskę, bezpieczeństwo, szczęście. Właśnie to teraz robię. Nie moja wina, że jedynym sposobem na to jest odejście. Nienawidzę kłamać, brzydzę się nieprawdą, ale musiałem. Są sytuacje, w których nie da się postąpić inaczej, po prostu trzeba skłamać. Tutaj też nie było innej alternatywy. A mieliśmy tyle pięknych planów... Dużo więcej moglibyśmy ich zrealizować, gdyby nie ta ciągła gonitwa za pracą i pieniędzmi. A teraz? Teraz na nic nam się zdadzą, nie pomogą mi.

Nie mogłem jej powiedzieć, że umieram, wiesz? Za bardzo ją...kocham.

AKT III

Napisze życie. Prawdziwe życie.

**XI Dolnośląski Konkurs Literacki
o Laur Złotego Pióra
„My Polacy, My Dolnoślązacy”
rok 2015**



W XI EDYCJA

KONKURS LITERACKI O LAUR ZŁOTEGO PIÓRA



ZAPRASZAJĄ

MŁODZIEŻ SZKÓŁ PONADGIMNAZJALNYCH
ORAZ 3 KLASY GIMNAZJUM

dla najlepszych przewidziano
cenne nagrody

*My Polacy
my Dolnoślązacy*



MECENAT
prof. Jan Miodek



PATRONAT
WROCŁAW 2016
Europejska Stolica Kultury



EUROPEJSKA
STOLICA KULTURY

WSPÓŁORGANIZATOR



Projekt realizowany za środków budżetu Województwa Dolnośląskiego

prace napisane w dowolnej formie należy składać do 13 listopada 2015 r.
uroczysto gala - Sala Wielka Ratusza - Wrocław - 3 grudnia 2015 r.
bliższe informacje u nauczycieli i polskiego i pod adresem:

www.zlote-pioro.pl

PATRONAT MEDIALNY



SPONSOR



PATRONAT HONOROWY

Geny Przytycki - Marszałek Województwa Dolnośląskiego
Tomasz Smolcz - Wojewoda Dolnośląski
Rafał Dulikiewicz - Prezydent Miasta Wrocławia
Ryszard Pieloncz - Delegat Województwa
ks. Józef Kopy - Arcybiskup Metropolita Wrocławski
ks. Ignacy Dęć - Biskup Legnicki
ks. Zbigniew Kuciński - Biskup Legnicki
ks. Alfred Lej - Inspektor Inspektorii św. Józefa Bożka we Wrocławiu

Ewa Rejman

LO XII im. Bolesława Chrobrego we Wrocławiu

„Ubi concordia, ibi victoria” (Gdzie zgoda, tam zwycięstwo). Refleksje o moralnym zwycięstwie i potrzebie przebaczenia w 70. rocznicę zakończenia II wojny światowej i 50. rocznicę skierowania „Orędzia biskupów polskich do ich niemieckich braci w Chrystusowym urzędzie pasterskim”.

MAŁA DZIEWCZYŃKA Z AUSCHWITZ

Auschwitz. Czy istnieje jakieś słowo, które mogłoby zawierać w sobie więcej grozy? Trudno znaleźć człowieka w tym wielotysięcznym tłumie ludzi. Mała Dziewczynka chodzi po ogromnym terenie. Zagląda w oczy napotkanych „kadłubów”. Puste dziury, ciemne dziury, ciemność – Mała Dziewczynka zawsze bała się ciemności. Czasem, gdy popatrzy dłużej, gdy się uśmiechnie (większość warg już zapomniała, w jaki sposób trzeba się ułożyć w uśmiech), pojawia się nagle błysk. Wtedy zapadłe oczy Małej Dziewczynki też zaczynają błyszczeć – tak, jest człowiek!

Ale tego dnia nie znalazła człowieka w zimnym spojrzeniu tego wysokiego Niemca. Młody, mógł mieć koło trzydziestu lat. Może w domu zostawił swoją żonę i swoją Małą Dziewczynkę? Może zostawił swoją matkę, którą kochał tak bardzo, że obiecał jej wyjeżdżając, że będzie zachowywał się tak, by mogła być z niego dumna? Machał do niej odjeżdżając – postawny, piękny – gotów na budowanie Wielkiej Rzeszy Niemieckiej.

Teraz przeładował broń. Pod ścianą razem z innymi kobietami stała matka Małej Dziewczynki. Mamusia, Mateńka ukochana. Nie chciała, aby córeczka widziała ją w tym momencie, ale było już za późno. Mała stała jak wrośnięta w ziemię, bardzo blisko. Po twarzy matki płynęły łzy, ale wbrew wszystkiemu, całym wysiłkiem woli uśmiechała się do swojej córeczki – i tylko do niej. Niemiec zaklął, przeładowując broń przyciął sobie niechący paznokcie. Matka oderwała wzrok od córeczki, skierowała go na swojego oprawcę.

– *Ojcze, przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią* – wyszeptała zbielealymi wargami. Gruchnął strzał.

Jakaś litościwa ręka zasłoniła oczy Małej Dziewczynki. Jakaś kobieta zaprowadziła ją do bloku jak bezwolną lalkę. Gdyby to był inny dzień, może Mała Dziewczynka zwróciłaby uwagę na to, że ta kobieta była człowiekiem – miała nie tylko to szczególne ciepło w oczach, ale też otwarte macierzyńskie dłonie i kojący uśmiech. Wetknęła jej w rączkę kromkę chleba. – *Jedz, ja nie jestem głodna. No, jedz* – dodała widząc wahanie Małej. W bloku, do którego trafiła było inaczej niż w pozostałych. Niby tak samo zimno i głodno, ale jednak inaczej. Nikt nie wyrwał jej z ręki kromki chleba – tego skarbu, za który niektórzy byliby gotowi zabić. Wieczorem „ta pani od chleba” prowadziła modlitwę. – *Ojcze nasz, któryś jest w Niebie... przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja...* – szeptały popękane usta. – *I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom...* O jak bolało! Mała Dziewczynka uciekła w najodleglejszy kąt bloku. Ogarnęło ją uczucie, którego nie znała nigdy dotąd. Nienawiść. Przedtem to było tylko zdziwienie – zdziwienie, że istnieją na tym świecie źli ludzie. Teraz chciała, żeby oni wszyscy też zostali zabici. Żeby ich Małe Dziewczynki czuły to samo, co ona w tej chwili. Żeby musiały żyć ze świadomością, że nigdy więcej ich rodzice nie utulą ich do snu, nie pocałują obdartego kolanka, nie wytrą zasmarkanego noska. Nienawidziła ich w tej chwili ze wszystkich sił, pragnęła ich cierpienia.

Z wielotysięcznego tłumu w Auschwitz zniknął właśnie kolejny człowiek.

Mała dziewczynka przeżyła Auschwitz. Dorosła. Skończyła studia, znalazła pracę. Stała się kolejną szarą obywatelką Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Tylko zawsze, nawet w największe upały, nosiła bluzki z długim rękawem. Rękaw zasłaniał pięć cyfr – 28327 – to, czym była przez trzy lata II wojny światowej. Czasem, gdy miała się komuś przedstawić, pierwszym, co pojawiała się w jej głowie nie było jej imię i nazwisko, ale właśnie ten numer. W dzień normalnie chodziła do pracy, załatwiała sprawunki, spotykała się z przyja-

ciółmi (już sobie przypomniła, jak to się robi, aby rozciągnąć usta w uśmiech). Ale każdej nocy znów widziała w snach tego Niemca i każdej nocy słyszała słowa matki – *Ojcze, przebacz im!* Duża Dziewczynka bała się zasypiać, zostawiała zapalone światło, ale to nic nie pomagało. Nauczyła się w dzień rozciągać usta w uśmiechu, ale zapomniła, jak to jest płakać w nocy. W ogóle zapomniła, jak to jest płakać. Chciała być twarda. I nie chciała przebaczyć.

Duża Dziewczynka wyszła za mąż i urodziła swoją Małą Dziewczynkę. Jej Mała Dziewczynka nie wzdrygała się już na dźwięk języka niemieckiego, nie bała się bawić z psem sąsiadów – ogromnym owczarkiem niemieckim. Problemami Małej Dziewczynki była popsuta zabawka, gorsza ocena, kłótnia na placu zabaw. I to, że na Dzień Babci zorganizowany przez szkołę jej najlepsza przyjaciółka przyprowadziła aż dwie babcie, a ona ani jednej (tata Małej Dziewczynki nawet nie pamiętał swojej mamy, została wywieziona do Niemiec na roboty, gdy on był zaledwie niemowlęciem. Już nie wróciła).

Mała Dziewczynka lubiła chodzić na zakupy. Czuła się wtedy taka dorosła i odpowiedzialna. Tego dnia kupiła gazetę – Mamusia lubiła czasem ją czytać w tajemnicy przed tatusiem – zawsze się denerwował, mówiąc, że prawdziwe w tej gazecie, to są tylko nekrologi. Mamusia pochwaliła Małą Dziewczynkę za to, że tak szybko się uwinęła. Otworzyła gazetę. Nie pierwszej stronie wielki nagłówek – „Przebaczamy i prosimy o przebaczenie – list biskupów polskich do biskupów niemieckich”. Mała Dziewczynka nigdy jeszcze nie widziała swojej mamy w takim stanie. Palce na gazecie były zaciśnięte aż do białości. Podwinął się jej rękaw z widocznym numerem. – *Nigdy, żaden Niemiec nie będzie mi bratem* – zgnieciona gazeta wylądowała w koszu.

Mała Dziewczynka zaczęła dorastać. Mamusia poważnie zachorowała. Małej Dziewczynce, dzięki rozmaitym znajomościom udało się załatwić dla Mamusi leczenie. W Niemczech. Mamusia nie chciała o tym słyszeć. Powiedziała, że woli umrzeć niż dać się dotknąć tym „potworom”. Przekonały ją dopiero łyzy płynące po twarzy jej Małej Dziewczynki. Klinika była piękna, nowoczesna, bez porów-

niania z tymi w Polsce. Ale Mamusia i tak nie czuła się tam dobrze. Wszystko ją drażniło, a już najbardziej Pani Doktor, która miała ją operować. Pani Doktor była nazywana przez pacjentów Aniołem – trudno byłoby znaleźć kogoś, kto bardziej poświęcałby się dla chorych. – *Niemiecki Anioł to jak słodka gorczyca* – mruczała, ilekroć kobieta przechodziła obok jej łóżka.

To był dzień przed operacją. Do tej pory badaniem Mamusi zajmowali się inni lekarze, teraz robiła to Pani Doktor. Zastygła, widząc obozowy numer. – *Mój ojciec tam był. Był mordercą. Wysyłał do gazu, rozstrzeliwał, męczył. A kiedy wracał do domu bawił się ze mną i nazywał ukochaną córeczką* – głos jej się załamał. – *Został słusznie skazany w Norymberdze na karę śmierci. Ale matka opowiadała, że na chwilę przed wykonaniem wyroku poprosił o spowiedź. Uwierzył, że Bóg mu przebaczy, bo poprosiła Go o to pewna kobieta na moment przed rozstrzelaniem. Prosiła Boga o przebaczenie dla niego. Teraz ja proszę Ciebie o przebaczenie. Proszę o przebaczenie mojemu ojcu bycia mordercą i przebaczenie mi – bycia córką mojego ojca.*

Po twarzy Małej Dziewczynki z Auschwitz popłynęły wstrzymywane od lat łzy. Łzy, które wypłykały nienawiść. Wtuliła się w siedzącą obok niej kobietę. – *Wybaczam* – wyszlochała. – *I proszę o wybaczenie.*

„Kultura to rzecz zdobywana, a nie dziedzictwo. To nauczanie się nowego języka. To nie wyprawa na Marsa, ale docieranie do początków naszej cywilizacji” (Zbigniew Herbert). Twoje rozważania o trudach uczestnictwa w kulturze i pożytkach, jakie z niego płyną, w przeddzień przejęcia przez Wrocław roli Europejskiej Stolicy Kultury i Światowej Stolicy Książki UNESCO”.

Oddech, czyli samodefiniowanie się narodu dzięki kulturze, a indywidualne poznawanie własnej istoty przez jednostkę.

Gdyby ktoś podjął się próby opisu charakteru kultury biologicznym terminem, nazwałby ją oddychaniem. Użyłby tego określenia mając na uwadze, że pod tą pozornie prostą nazwą skrywają się złożone procesy biochemiczne, które mogą zilustrować istotę duchowego dorobku człowieczeństwa. Zaczynając, konieczne jest określenie czym właściwie jest i jak działa w rzeczywistości oddech. Ludzie kojarzą ten termin z mechanicznym pobieraniem powietrza w płuca – słusznie, ale to tylko część prawdy, bo całość oddychania jest procesem dualistycznym. Tego, czego nie widać do równoległego etapu, czyli oddychania komórkowego, polegającego na zamianie tlenu w energię. Dobrze, ale gdzie doszukiwać się tutaj analogii kulturowych? Życiodajny tlen istnieje zarówno w biologicznym makro jak i mikrokosmosie. Komórki pozostające we wzajemnym obdarowywaniu się materiałem i energią z płucami tworzą nieustanny krąg pozwalający na działanie, a idąc dalej – przetrwanie. A gdybyśmy wyobrazili sobie, że pojedyncza komórka ciała reprezentuje jednostkę, indywidualność, człowieka, a całość mechanicznego oddychania jest działaniem określonej części społeczeństwa? Do jakich wniosków na temat kultury doprowadzi nas droga przez symbol zamknięty w ciele? Zapraszam do przeczytania, proszę wziąć głęboki wdech.

Rozpatrując aspekt kultury zarówno budowanej jak i odbieranej przez grupę należy posłużyć się najważniejszą kategorią, czyli

kategorią Narodu. Doskonale widać wtedy nierozzerwalność historii ze sztuką, dziełami, które zapisują się w świadomości zbiorowej, budując nowe wzorce kulturowe, zachowania, cechy wspólnoty. Jako Polacy, którzy obdarzeni zostali niewątpliwie trudną i bolesną historią nie musimy szukać daleko - martyrologiczne okresy dziejów naszego państwa znaczą krwawym śladem świadomość narodową. Pamiętamy opresje, których nie doświadczyliśmy na własnej skórze, mamy Konrada, Kordiana, wojennych katastrofistów, elegijnego chłopca uparcie schowanych gdzieś z tyłu głowy, wpływających na nasze dzisiejsze postrzeganie świata z różnym natężeniem - raz niezauważalnie, innym razem wprost, przez system skojarzeń i analogii, swoistej pajęczyny wzajemnych oddziaływań. W tym miejscu objawia się trudność uczestnictwa w kulturze narodu, w stanowieniu kolektywnej całości mechanicznego oddechu wspólnoty - zostajemy obciążeni niekiedy tragicznym dziedzictwem. Uczestnictwo w kulturze społeczeństwa, pozornie bolesne, a z pewnością niełatwe wymaga od nas nieustannego wysiłku, którym jest redefiniowanie. Ważne jest, aby obok dzieł takich jak "Dziady" Mickiewicza, powstawały te polemizujące z ideałami romantycznymi, jak "Trans-Atlantyk" Gombrowicza. Nadawanie sensu dniu dzisiejszemu poprzez wykorzystanie wcześniejszych dokonań duchowych jest źródłem i podstawą dialogu wewnętrznego narodu, budowaniem nowej rzeczywistości, bo świadomość charakteru swojego społeczeństwa definiuje sens pracy nad kształtowaniem go w odpowiednim kierunku. To właśnie przed ludźmi kultury stoi wyzwanie wzbogacania społeczeństwa, przygotowywanie go na przyszłość. Co pozostaje nam po tym wysiłku, po boleśnie wypełnionych tlenem płucach? Korzyść jest tożsama z tą wynikającą z biologicznego oddychania - jest przetrwaniem. Kultura jest warunkiem istnienia narodu, dużo ważniejszym niż cywilizacja. Gwarantuje spójność, buduje wspólnotę, hartuje ją. W tym duchu przemawiał Jan Paweł II w siedzibie UNESCO drugiego czerwca 1980 roku: "Naród bowiem jest tą wielką wspólnotą ludzi, którą łączą różne spoiwa, ale nade wszystko właśnie kultura. (...) istnieje podstawowa suwerenność społeczeństwa, która wyraża się w kulturze narodu. Jest to ta zarazem suwerenność, przez którą równocześnie najbardziej suwerenny jest człowiek".

Oddychanie mechaniczne nie mogłoby zaistnieć, gdyby nie pojedyncza cząstka, do pewnego stopnia samodzielna - komórka. To ona przetwarza efekty pracy płuc, które potem napędzają je i pozwalają na kontynuowanie cyklu oddychania. Podobna zależność występuje w kulturze. Kultura społeczeństwa warunkowana jest przez uczestnictwo w niej ludzi, którzy ją współtworzą i odbierają. Jednak gdyby pozbawić te osoby możliwości odwołania się do szerszego kontekstu, jakim jest wspólnota, ich wytwory i działanie nie miałyby sensu, bo nie mogłyby zasilać i budować czegoś przekraczającego wąski horyzont jednostki. Czym jednak jest kultura, czym są trudności i korzyści z niej płynące, dla pojedynczego człowieka? Tym samym, co dla społeczeństwa, ale w mikroskopijnej skali. Dorobek duchowy ludzkości jest potrzebny nam do poznawania prawdy o sobie samych. Pytanie brzmi - czy jest to korzyść, czy trudność? Dla mnie jest jednym i drugim, bo spoglądanie we własne wnętrze w sposób szczerzy, pozbawiony autokreacjonizmu zawsze skutkuje świadomością własnego grzechu i ułomności, z drugiej strony pokazuje człowiekowi dobro, które się w nim znajduje. Jednak poznawanie własnego wnętrza bez zewnętrznego kompasu moralnego może prowadzić do zagubienia, nihilizmu, co jest częstym problemem dzisiejszej sztuki. Człowiek musi obcować z kulturą, wykorzystując swoją przynależność do grupy o określonych zasadach wypracowanych przez tysiące lat, inaczej pozostanie zwykłą komórką, skazaną na zagładę po oderwaniu od symbolicznego ciała. Nie jesteśmy robotami zaprogramowanymi na posłuszeństwo, przeciwnie - naszą istotą jest wolność. Dlatego to określanie siebie z pomocą wspólnoty musi być świadome i dobrowolne. Jak pisze Zbigniew Herbert w swoim esej "Duszyca" - „Jednym z grzechów śmiertelnych kultury współczesnej jest to, że małodusznie unika ona frontalnej konfrontacji z wartościami najwyższymi. A także aroganckie przeświadczenie, że możemy obyć się bez wzorów (...) każdy kontakt z przeszłością wymaga wysiłku, pracy, jest przy tym trudny i niewdzięczny, bo nasze małe >>ja<< skrzeczy i broni się przed nim“. Patrząc na całość procesu „kulturowego oddychania” trudno oprzeć się wrażeniu, że w obu aspektach dualistycznego procesu mamy do czynienia z tym samym zjawiskiem definiowania swojej istoty w otaczającej rzeczywistości.

To, co przeżywa człowiek obcując z kulturą jest fraktalem dotykania tego samego przez ludzkość.

Czasami w historii jakiegoś narodu czy miasta nadarza się niepowtarzalna szansa. Szansa, by nabrać powietrza w płuca z nieznaną dotąd siłą, szansa na promowanie i rozwój własnej kultury na wielką skalę. Wrocław otrzymał tę szansę w 2011 roku, gdy został wybrany Europejską Stolicą Kultury na 2016 rok. Niesamowita ilość wydarzeń artystycznych, promocja architektury, literatury, filmu, malarstwa, imprezy kulturalne to znak rozpoznawczy mojego miasta. Jako osoba aspirująca do miana uczestnika kultury czuję się zaszczycony i obdarowany - tak jak Wrocław - szansą, aby wzbogacić, upiększyć samego siebie. Warto zdać sobie sprawę, że ten cykl wydarzeń, podobnie jak sama kultura, nie jest tylko wyłącznie prezentem, danym nam z zewnątrz. Jest to wynik złożonej pracy wielu ludzi, osób z pasją, gotowych na wielki wysiłek rozwijania i propagowania jej wśród Polaków, a szczególnie wrocławian. Decydując się z tą świadomością na aktywne uczestnictwo w przyszłorocznych wydarzeniach przyczyniamy się do budowania naszego dolnośląskiego ekosystemu, złożonego z ludzi, którzy musieli tworzyć tutaj nową Polskę od początku, mówiący najczystszą polszczyzną, choć korzystający z dorobku wielu obszarów, różniący się, ale zjednoczeni w budowie czegoś trwałego, wspaniałego i po prostu pięknego. Czegoś, co nie będzie powodem do wstydu, ale przeciwnie - dumnego pomnika naszych starań, naszego wysiłku, naszej próby budowania w trudnych do zamieszkania kiedyś miejscach Europejskiej Stolicy Kultury.

Trzymajmy się tego, pamiętając czemu służy sama kultura - znalezieniu własnego miejsca w otaczającym nas świecie. Takim właśnie chcę być uczestnikiem kultury Wrocławia - świadomym, dumnym, szczerym. Parafrazując myśl Kartezjańską... „Oddycham, więc jestem” - oddycham kulturą, oczywiście.

Grzegorz Sawica
I LO Nowa Ruda

„Żaden człowiek nie jest samoistną wyspą; każdy stanowi ułomek kontynentu, część lądu. (...) Przeto nigdy nie pytaj, komu bije dzwon. Bije on tobie”... (John Donne). O znaczeniu solidarności dawniej i dziś”.

6:30. Kawa. Portfel. Klucze. Drzwi. Powoli przemieszcza się w porannym korku, pije kawę i przegląda dokumenty. W radiu słycha wiadomości o tym kto stracił, a kto zyskał na dzisiejszych notowaniach giełdowych. Mija siódma trzydzieści. Zaczyna się denerwować, rzuca kilka przekleństw naciskając na klakson. Gęsta zawiesina aut powoli się rozluźnia i coraz szybciej przemieszcza się w kierunku centrum.

8:00. Wchodząc do biura, ma już milion spraw na głowie. Podnosi słuchawkę telefonu i wypowiada cały stos obraźliwych epitetów pod adresem swoich podwładnych. Potem przez chwilę podpisuje ważne dokumenty i odbiera kolejny telefon. Krzyczy do słuchawki, że prosił, aby mu nie przeszkadzano. Nie wie, że rozmawia ze swoją mamą, która chciała go zaprosić na urodziny taty w ten weekend. Po tak oschłym przywitaniu przez syna kobieta odkłada słuchawkę bez słowa. Przez chwilę, zdenerwowany, powtarza gniewne „halo”. Potem dynamicznie odkłada telefon i, klnąc pod nosem, wraca do pracy.

13:25. Na spotkaniu przedstawia nową strategię rozwoju firmy. Cała rada nadzorcza nagradza go krótkimi, choć gromkimi, brawami, więc uśmiecha się od ucha do ucha. Jest dumny z tego, co udało mu się osiągnąć i na jakim stanowisku się obecnie znajduje. Jednak uśmiech szybko znika z jego twarzy pod grymasem skupienia, które jest mu niezbędne do zdobywania kolejnych szczebli kariery. Już obmyśla kolejne posunięcia w korporacyjnej rozgrywce.

o władzę. Nie ma czasu na świętowanie, przez komórkę wydaje kolejne dyspozycje i koncepcje dotyczące nowego projektu.

14:36. Siedząc przy stoliku, szybko przeżuwa sałatkę z kurczakiem i popija wodą mineralną. Uśmiecha się do koleżanki przechodzącej obok jego stolika i z nadzieją spogląda na puste miejsce naprzeciwko; ta jednak obraca się na pięcie i zajmuje pierwsze wolne, odosobnione miejsce. W korporacyjnej restauracji panuje przenikliwa cisza, przerywana jedynie sporadycznym brzdękiem sztućców. Tematem rozmów są tylko negocjacje i ustalenia służbowe. Zignorowany, czuje jak narasta w nim irytacja, wyciąga telefon i pyta asystentki, czy przygotowała już dokumenty. Oświadcza krytycznym tonem, że miały być gotowe na wczoraj i stanowczo grozi zwolnieniem.

15:30. Na spotkaniu ze swoimi podwładnymi czuje satysfakcję z możliwości kierowania dziesięcioosobową grupą ludzi, ma poczucie ważności i istoty roli, jaką odgrywa w firmie. Nadyma się jak paw i wydaje kolejne polecenia. Kiedy zamyka drzwi sali konferencyjnej, ekscytację powoli zastępuje smutek i przygnębienie, wie, co teraz mówią o nim jego podwładni za tymi drzwiami. Nie musi ich podsłuchiwać, nawet nie chce tego robić. Dobrze zna wszystkie przezwiska, którymi określają go współpracownicy i nie ma zamiaru wysłuchiwać ich po raz kolejny. Szybkim krokiem przechodzi przez hol i zamyka się w swoim biurze.

16:45. Rozmawia z szefem; ten chwali go za postępy w pracy i świetnie przygotowaną strategię rozwoju. Budzi się w nim samouwielbienie, które podsycą usłyszczanymi właśnie pochlebstwami. Potem szef pyta, czy zostanie dzisiaj dłużej i skończy część jego pracy. Jest tak omamiony komplementami, że zgadza się bez chwili zastanowienia.

17:00. Patrząc na górę papierów piętrzącą się na jego biurku, pluje sobie w brodę, że znowu dał się wkopać w odwalanie papierkowej roboty za szefa. Patrzy jak szaro-granatowy tłum pracowników opuszcza biurowiec. Odpala papierosa, robi kawę i luzuje krawat. Siada przy biurku i bierze pierwszy plik dokumentów ze sterty.

22:30. Wstaje obolały z krzesła, powoli zbiera swoje rzeczy do aktówki. Słania się na nogach. Kiedy jest już gotowy, zakłada marynarkę, gasi światło, zamyka drzwi i przekręca klucz w zamku.

W holu podchodzi do automatu z przekąskami, z kieszeni marynarki wyciąga drobne i, ziewając, wrzuca je do maszyny. Wstukuje numer na klawiaturze i po chwili w pustym pomieszczeniu rozlega się stukot puszek, która obija się o ściany maszyny. Powoli schyla się po napój energetyczny. Otwiera i pije bardzo powoli.

22:45. Wsiada do samochodu. Odpala silnik i wyjeżdża z podziemnego parkingu. Szybko włącza się do ruchu, który jest znacznie mniejszy niż rano. Jedzie drogą ekspresową do swojego domu na przedmieściach. Czuje się bardzo senny, powieki zaczynają mu ciążyć, ziewa i podnosi puszkę z napojem energetycznym leżącą na siedzeniu pasażera razem z plikiem papierów, które musi przejrzeć na jutro. Pije dwa ostatnie łyki i stara się skupić na tym, by nie zasnąć. Budzi go głośny klakson. Szybko przekręca kierownicę w prawo i wraca na swój pas ruchu. Jego serce bije dwa razy szybciej, adrenalina uderza mu do głowy. Zdecydowanie przyspiesza. Chce jak najszybciej być w domu.

23:30. Otwiera drzwi. Zapala światło, o jego nogi ociera się rudy kot. Domaga się jedzenia. Wiesza marynarkę na wieszaku w przedpokoju, na podłodze stawia aktówkę i człapie do kuchni. Sypiekocią karmę do miski i stawia na podłodze. Bierze szybki prysznic i wreszcie dociera do łóżka.

Znowu jestem dzieckiem, siedzę w szkolnej ławce, poznaję twarze swoich kolegów i koleżanek z podstawówki. Dzwoni dzwonek i zaczyna się lekcja historii. Starszy nauczyciel z siwymi włosami i brodą wchodzi do klasy i zaczyna opowiadać nam o tym, jak ludzie jednoczyli się w obliczu zagrożenia i, aby obalić dyktatora, wywoływali wielkie powstania i protesty. Jak walczyli ramię w ramię i ginęli za towarzyszy broni. Jestem bardzo poruszony tą opowieścią. Widzę tłumy ludzi zjednoczonych w imię wspólnej sprawy. Bezinteresownie oddających wszystko, co mają, dla walczących o wspólny cel. I teraz stoję w tłumie ludzi skandujących hasła protestacyjne, przepełnia mnie złość i ekscytacja. Chcę walczyć w obronie swoich praw. Czuję również niesamowitą jedność z ludźmi, którzy mnie otaczają. Nigdy w życiu nie doświadczyłem czegoś podobnego. Mam wrażenie, że stanowią z tymi obcymi ludźmi jedno ciało. Przyświeca nam wspólny cel, który jest powodem tego zjednoczenia i solidarności. Wiem, że byłbym w stanie poświęcić wszystko, co mam, w imię wspólnej sprawy. Mógłbym nawet ...zginąć. I nagle dorastam, widzę twarze wszystkich ludzi, których zniszczyłem na swojej

drodze do sukcesu, wszystkie przekręty i szemrane interesy. Zaczynają mnie dręczyć czarne wizje tego, co mogło się stać z tymi ludźmi. Pojawia się seria niewygodnych pytań : Czy oni nie mieli prawa do rozwoju ? Może byli lepsi ode mnie ? Czy nie mieliśmy tego samego celu? I tu pojawia się pustka, uświadamiam sobie, że nigdy nie byłem częścią czegoś większego. Odkąd tylko pamiętam liczyłem wyłącznie na siebie, wierzyłem jedynie w swoje możliwości i sam dążyłem do wyznaczonego celu. Wreszcie, stoję przed ołtarzem i przysięgam kobiecie, którą kocham, że będę z nią na dobre i złe, w zdrowiu i w chorobie. Na zawsze. Widzę jej piękną, uśmiechniętą twarz i welon na głowie. Nagle welon i uśmiech znikają. Jesteśmy na sali rozpraw. Orzeczenie sądu: rozwód. Budzę się zlany potem.

6:30. Kawa. Portfel. Klucze. Drzwi ...



Agnieszka Żurek

LO XII im. Bolesława Chrobrego we Wrocławiu

„Ubi concordia, ibi victoria” (Gdzie zgoda, tam zwycięstwo). Refleksje o moralnym zwycięstwie i potrzebie przebaczenia w 70. rocznicę zakończenia II wojny światowej i 50. rocznicę skierowania „Orędzia biskupów polskich do ich niemieckich braci w Chrystusowym urzędzie pasterskim”.

Przewodniczący chrząknął znacząco, ale niewiele to pomogło – zebrani buczeli jak szerszenie na wyroju. Jakaś natrętna mucha brzęczała tuż koło jego głowy. Machnął niecierpliwie ogonem, aby ją odgonić.

– Moi panowie... – zaczął mniej oficjalnie, niż zamierzał.

– Towarzysze, ośle – warknął ktoś z czwartego rzędu. – Dwa-dziesiąt lat z hakiem minęło, a ten się nie może przyzwyczaić. Kto go wybrał przewodniczącym?

– Wiadomo, zapłacił, a porządni działacze przy czyszczeniu kotłów zostali - przewodniczący nie po raz pierwszy odniósł wrażenie, że na sali jest brzuchomówca.

– Towarzysze! – powtórzył, uderzając pięścią w stół. Długie, zakręcone pazury, jego duma, szczęknęły o nieheblowany blat. – Otwieram XXV Zjazd Polskiej Zjednoczonej Partii Diabelskiej pod tytułem „Co ludzie rozumieją jako moralne zwycięstwo – pojęcie, zagrożenia, szansę”. Proszę o zabranie głosu pierwszego sekretarza.

Boruta wstał. Nie czuł się dobrze w tej roli. Bez pasa i kon-tusza nie był w pełni sobą, a nawet przedwojenna kamizelka była lepsza niż ten okropny garnitur z diabelskiego Pewexu. Czuł na so-bie czarne, świdrujące oczy Mefistofelesa. Popełniłem błąd, pomy-ślał nie po raz pierwszy. Powinno się go strącić do Otchłani przy pierwszej czystce, tak jak Rokitę i Iskierskiego. Stanowisko mojego zastępcy z pewnością nie zaspokaja ambicji tego Niemczyka.

– Towarzysze – zaczął – temat moralnego zwycięstwa jest nam nieobcy, bowiem poruszaliśmy go już przy mesjanizmie. Obec-

nie mamy do czynienia z jego bardziej nowoczesną odsłoną, co stawia nas przed nowymi zadaniami i wyzwaniem. Ma to związek z dwudziestowieciem zakończenia wojny, czasu wielkich sukcesów, których nikt nam nie odbierze...

– Za to odebrano nam premie – mruknął ktoś tuż za jego plecami.

– O Dodatku Jedwabieńskim pomówimy później! – ryknął Boruta, kompletnie wytrącony z równowagi. Za chwilę gotowi go oskarżyć, że zdefraudował pożyczkę od diabłów amerykańskich. – Wcale nie należy się tak wielu, jak to się niektórym wydaje! Był to, jak mówię – ciągnął wzięwszy głęboki oddech – czas sukcesów, ale też i zawstydzających porażek. Nie będę wymieniał po nazwisku, ale Piekło nie zapomina. Nie przebacza. Widzieliśmy odrażające przykłady poświęcenia, odwagi i honoru. Dzięki naszym wysiłkom wielu sprawców tych uczynków leży już w bezimiennych grobach, ale to nie znaczy, że możemy zlekceważyć kwestię moralnego zwycięstwa. Proszę towarzysza Zastępcę ds. Propagandy o przedstawienie raportu w tej sprawie.

– Szanowny pierwszy sekretarzu, szanowni towarzysze – zaczął zastępca Gomołkiewicz, chudy, siwawy diabeł, który dotąd nie pozbył się irytującego „szanowny”. – Moralne zwycięstwo to rzecz delikatna i wymaga wielkiej subtelności w działaniu. Gdy zaistnieje, jest odrażającym zjawiskiem w zakresie ludzkiego i narodowego ducha, jako wyraz triumfu bezecnej moralności nad nagą siłą, którą my zawsze popieramy. W tym znaczeniu moralne zwycięstwo, podobnie jak wszystko, co moralne, powinno być przez nas najsurowiej tępiące. Gdy jednak ludzie nabiorą przekonania, że je odnieśli, na tym gruncie doskonale przyjmuje się pycha, arogancja, poczucie wyższości, pogarda, nienawiść – z emfazą powtarzał swoje ukochane słowa. Od dawna naciskał na kolegów, wnioskując o utworzenie osobnego Ministerstwa Nienawiści, ale wciąż brakowało środków. W kuluarach szeptało, że pomysł torpeduje frakcja Mefistofelesa, zwana Niemcami. – Możemy przekonać całe pokolenie o przyrodzonym prawie do specjalnego traktowania, ich celem życiowym niech stanie się pielęgnowanie pogardy i poczucia krzywdy, jedyną

moralnością moralność odwetu. Śmiem twierdzić, że jesteśmy na najlepszej drodze do osiągnięcia tego szczytnego celu...

Zaczerpnął powietrza, w najoczywistszym zamiarze zakończenia przemówienia jakimś wymyślnym ozdobnikiem, kiedy nagle do sali wpadł niski diabeł w czerwonym kubraku młodzieżówki i z rozczochraną czupryną.

– Pilne, pilne wiadomości z Powierzchni! – zawołał zdyszonym głosem.

– Jeśli naprawdę nie są pilne, to cały dział Inwigilacji będzie miał szczęście, jeśli straci tylko posady – mruknął Boruta, po czym spytał szorstko – O co chodzi, towarzyszu?

– Kominek i reszta bandy z episkopatu napisali list do biskupów niemieckich i napisali, że udzielają wybaczenia i proszą o nie – wyrecytował na jednym oddechu posłaniec.

Wszyscy zerwali się z miejsc, kilka krzeseł z hukiem zderzyło się z podłogą. Wybuchł taki rejwach, że przez dobrych kilka minut nie słychać było nic prócz pojedynczych, wybijających się okrzyków:

– To niesłychane!

– To obraza!

– To niepojęte!

Tłoczący się działacze omal nie zadusili pechowego posłańca, a gdy ten wydostał się wreszcie ze ścisku i czmychnął z sali, jego czerwony kubrak nie miał już ani jednego guzika.

Tylko Mefisto pozostał na miejscu. Elegancko przewiesił ogon przez oparcie krzesła i przymrużył oczy, udając, że cała sprawa mało go obchodzi, ale od czasu do czasu złowieszcze błyski wystrzelały spod powiek i omiały całą salę. To na niego Boruta wylał całą furię:

– Dlaczego o tym dotąd nie wiedziałem?! Czy twoi ludzie śpią, czy to kolejny spisek?!

– Moi ludzie zostali tajnym zarządzeniem z 1956 całkowicie odsunięci od Działów Propagandy i Inwigilacji – odpowiedział Mefisto głosem zimniejszym od lodu. – Oba Działy przekazano towa-

rzyszowi Gomołkiewiczowi.

Boruta parszając dymem z nozdrzy odwrócił się do drugiego zastępcy, który miał ochotę skryć się choćby do Otchłani.

– Nasi sojusznicy z powierzchni także nic nie wiedzieli... – zaczął tak, jakby to mogło usprawiedliwić wycieczkę do Bułgarii, na którą wyprawił połowę Działu. – Jak wynika z najnowszego raportu – sięgnął do papierów podanych mu przez niewidzialnego sekretarza – przez kraj przetacza się oburzenie. Komitet Centralny oskarżył biskupów o zdradę i sprzyjanie interesom niemieckim, trwa szeroka kampania przeciw Kościołowi. Ostatecznie może się to obrócić na naszą korzyść, towarzyszu pierwszy sekretarzu – zaczął mówić gorączkowo, bełładnie o rozłamie w narodzie, o niesnaskach i nowych apostazjach, o konflikcie w samym Kościele, sprzeniewierzeniach księży, o tym, że wbrew słowom biskupów będzie rosła nienawiść i pogarda...

– Głupota – przerwał zimno Mefistofeles, wstając. Boruta zauważył, że wstało też przynajmniej kilkunastu innych działaczy. – Teraz może będą niesnaski, teraz może będzie oburzenie, ale ono minie, a te słowa przetrwają, przetrwają naszą Rzeczpospolitą Ludowo-Diabelską, będą nas kluć jeszcze za pół wieku. Przez waszą głupotę młode ludzkie pokolenie będzie się uczyć w szkołach o orędku przebaczenia, będzie głosić pojednanie na oficjalnych zjazdach, będzie pisać memoranda i rozprawy! Bo przebaczenie, gdy ta nikczemna ludzka hałastra udziela go szczerze, jest najobrzydliwszym wynalazkiem ducha, który niweczy wszystkie nasze wysiłki!

Powiódł posępnym spojrzeniem po zgromadzeniu i dodał z naciskiem:

– Na szczęście Piekło nie zna tego wynalazku. Piekło nie przebacza. Przede wszystkim nigdy nie przebaczy błędów i nieudolności. Niech wstanie, kto jest za dymisją pierwszego sekretarza i strąceniem go do Otchłani!

Boruta ze wzrastającym przerażeniem patrzył, jak odsuwają się kolejne krzesła, jak niezdecydowani powiódłszy wzrokiem po sali wstają także, jak z wyrazem zaszczutego zwierza odsuwa krzesło nawet Gomołkiewicz, a potem w grobowej ciszy rozleżał się jakby ochrypli głos przewodniczącego:

– Wniosek przeszedł jednomyślnie!

XII Dolnośląski Konkurs Literacki o Laur Złotego Pióra „My Polacy, My Dolnoślązacy” rok 2016





XII EDYCJA

Konkurs Literacki o Laur Złotego Pióra

*My Polacy
my Dolnoślązacy*



GOSĆ
NIEDZIELNY

ZAPRASZAJĄ

MŁODZIEŻ SZKÓŁ PONADGIMNAZJALNYCH
ORAZ 3 KLASY GIMNAZJUM

dla najlepszych przewidziano
cenne nagrody

prace napisane w dowolnej formie należy składać do 14 listopada 2016 r.
uroczysta gala - Aula Papieskiego Wydziału Teologicznego - Wrocław - 8 grudnia 2016 r.
bliższe informacje u nauczycieli i polskiego i pod adresem:

www.zlote-pioro.pl

MECENAT
prof. Jan Miodek

PATRONAT



WROCLAW 2016
Europejska Stolica Kultury



WSPÓŁORGANIZATOR



Projekt sfinansowany ze środków budżetu Województwa Dolnośląskiego

PATRONAT MEDIALNY



SPONSOR



PATRONAT HONOROWY

Cezary Przytycki – Marszałek Województwa Dolnośląskiego
Paweł Hreniak – Wojewoda Dolnośląski
Rafał Burlikowski – Prezydent Miasta Wrocławia
Roman Kowalczyk – Ośrodek Kultury Gminy
ks. Józef Kapuś – Arcybiskup Metropolita Wrocławski
ks. Zdzisław Kierlikowski – Biskup Legnicki
ks. Ignacy Duc – Biskup Świdnicki
ks. Jarosław Pisz – Inspektor Inspektoriatu św. Józefa w Wrocławiu

Agnieszka Żurek

LO XII im. Bolesława Chrobrego we Wrocławiu

Henryk Sienkiewicz tworzył „dla pokrzepienia serc”. Czy w Twoich czasach potrzebny jest ktoś taki? Do jakich wartości mógłby sięgnąć?

Nie mogę dziś sobie przypomnieć, jak to się stało, że w Dzień Zaduszny znalazłam się sama w wawelskiej katedrze na długo po wyjściu ostatnich turystów. Zapadał zmrok, wydobywając fantastyczne cienie z filarów i posągów, a ostatnie promienie światła padały ukośnie na konfesję św. Stanisława.

Być może dlatego długo nie zauważyłam dwóch postaci wynurzających się z cienia południowej nawy. Gdy odwróciłam się w ich stronę, trochę oszołomiona tym nagłym wyrwaniem z letargicznych marzeń, zwidziało mi się przez chwilę, że wyszli z krypty. Pierwszym, co zwróciło moją uwagę, był ich strój – jeden miał na sobie czarny surdut z przypominającymi ptasie skrzydła połami, kamizelkę i kraciasty halsztuk, drugi zaś, o ile w półmroku wzrok mnie nie mylił, długą szkarłatną szatę z szerokim gronostajowym kołnierzem i ciężki złoty łańcuch na szyi, a w rękę trzymał bogato zdobione berło. Ich kroki nie wydawały najmniejszego dźwięku, a choć rozprawiali o czymś żywo, ich głosy niknęły w gęstym mroku wpelzającym do katedry od bocznych naw i biorącym w posiadanie prezbiterium.

Wydało mi się, że skądsis są mi znani, podeszłam więc bliżej. Ten w surducie miał spiczastą brodkę i nieco obwisły wąs, oczy ciemne, jakby znużone, ale rzucające bystre spojrzenia spod czarnych brwi. Właśnie on mówił teraz:

– Przyznasz jednak, że nawet jeśli ów pokrzepiciel serc był niegdyś potrzebny, to dziś z pewnością serca jedynie zatruwa, siejąc zgubne zadowolenie z siebie!

Dzisiejsza młodzież – odmruknął ten drugi.

Nie taka znów dzisiejsza – wtrącił kpiąco jego towarzysz.

– Nie dość że szacunku dla siwej brody za grosz, to jeszcze

znieważa owego niezrównanego geniusza, którego dziełu tylko wiersza do epopei brakuje...

Znam skądś to wyrażenie... Przygotowywałam się kiedyś do konkursu znajomości Sienkiewicza, ktoś prawie identycznie napisał w recenzji Ogniem i mieczem... Tylko kto... Twarz też znam... Tylko... chyba nie... z obrazu Matejki...

– Panie rektorze – zaczęłam nieśmiało.

– On nie będzie zadowolony, póki mu nie powiesz Jaśnie Oświecony Hrabio, Najdostojniejsza Magnificencjo, Prześwietny Profesorze Tarnowski – zadrwił ten w surducie.

Tarnowski! Stanisław Tarnowski, rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, największy z admiratorów Sienkiewicza... ależ on umarł niemal dokładnie sto lat temu! Jakby we mnie piorun trzasnął, teraz przypominałam sobie również tego drugiego. To zabawne, że na imię miał też Stanisław...

Czy mam przyjemność... z panem Brzozowskim?

Owszem – odpowiedział wynalazca terminu „połaniecczyzna”. – Ale napatoczyłaś się nam, panienko, w samą porę. Blisko sto lat nie było nas na ziemi, więc nie wiemy, co się w Polsce dzieje. Tylko szybko proszę, bo przed północą ja muszę być z powrotem we Florencji, a i Magnificencji w Tarnobrzegu czekają, gdzie spoczywają nasze doczesne szczątki.

O czym panowie chcieliby wiedzieć? – wciąż byłam bardziej zaskoczona niż przerażona tym spotkaniem.

Czy ktoś jeszcze czyta na ziemi owego pocieszyciela burżuazji, zarazę szlacheckiego lenistwa duchowego, którego czytać jest hańbą dla istoty myślącej?

Poczułam się lekko urażona.

Ja czytam. Kocham Sienkiewicza, zakochałam się w nim w wieku jedenastu lat, on mi otworzył oczy...

Na wysoki ideał męstwa, honoru, poświęcenia, stałości, miłości ojczyzny – wszedł mi w słowo uradowany rektor i chyba tylko powaga berła przeszkodziła mu wziąć mnie w ramiona. –Taka po-

wieść to kordiał zdrowia dla społeczeństwa, dobry i wielki czyn!

Brzozowski wzniósł oczy ku tonącemu w mroku sklepieniu.

– Przyznaj – rzekł surowo - czy nie był to największy w literaturze naszej zwodziciel, pozwalając pokoleniom zapaść w słodki sen, odbierając chęć czynu i walki?

– Przecież w wojny światowej połowa partyzantów nosiła pseudonimy z „Trylogii”! Spojrzeli po sobie. Przypomniałam sobie, że żaden z nich nie dożył nawet dnia odzyskiwania podległości.

– Ale powiedz, panienko – rzekł Brzozowski, patrząc na mnie spod oka - czy według ciebie ktoś taki jest jeszcze dziś potrzebny?

– Potrzebny będzie zawsze – odpowiedziałam żarliwie, w zapale zapominając nawet o strachu. – Potrzebny, by nam przypomnieć, że mamy jeszcze skrzydła u ramion...

Młodości, ty nad poziomy wylatuj! – zawołał ironicznie Brzozowski, po czym dodał zupełnie innym tonem – Tak przy okazji, Mickiewicz był znacznie od Sienkiewicza lepszy. Potomność wybacz dla bezgranicznej naiwności bluźnierstwo porównania ich ze sobą.

Potomność! Potomność! – mruczał rozeźlony Tarnowski. – Oto masz przed sobą potomność, przecież ta dziewczyna mogłaby być twoją praprawnuczką. Potomność twierdzi, że pokrzepienie serc jest dziś potrzebne, że to nauka historii dla każdego przystępna a niesfałszowana, antidotum na niedokrewność moralną...

– Przepraszam, nie wszystko to powiedziałam – przerwałam, nie mogąc się nadziwić własnej śmiałości. – Znam panów poglądy na tę sprawę, czytałam Pierwszą pochwałę „Ogniem i mieczem”, czytałam też Współczesną powieść polską – ukloniłam się w stronę Brzozowskiego, nie dodając, że we fragmentach. – Twierdzę, że następca Sienkiewicza jest nam paląco potrzebny, nie dlatego, by był na coś antidotum...

No, właśnie, dlaczego? – spytał Brzozowski zjadliwie. – Do jakich to wartości miałby się odwoływać?

Piękno – zaczerwieniłam się jak pensjonarka. – Piękno, które nigdy nie umiera. Wiem, że pan – spojrzałam na Brzozowskiego – nie lubił sztuki dla sztuki i zgadzam się z panem, bo taka sztuka zawsze chce być wielka przez brzydotę, tak się boi służby... Piękno nie boi się służby, bo wie, że i tam pozostanie sobą, a przez to uwzniośla swego pana tak, że samo panem się staje... Nie wiem, czy zasłużyliśmy na takiego Sienkiewicza, ale wiem, że bardzo go potrzebujemy...

Tylko jedno, panno poetko – przerwał Brzozowski miazdzącym tonem. – Poetko gorsza od tych, z którymi się rozprawilem za mojej młodości, to pewne... Dziś jest noc zaduszna. Jeśli twój Sienkiewicz nie jest martwy, martwy jak szlachetczyzna, jak deski trumny, jeśli tak bardzo potrzebujecie dla niego następcy, to dlaczego nie ukazał się dziś?

Dzwon na wieży oznajmił północ. Pierwsze uderzenie rozbrzmiało głuchym echem po wszystkich kątach kościoła, kamien- ni królowie poruszyli się niespokojnie. Obaj moi rozmówcy rzucili szybkie spojrzenie ku drzwiom.

Czas na nas! – rzekł z naciskiem Brzozowski. – Zanim wybi- je ostatnie uderzenie, musimy być daleko stąd. Pytam, dlaczego nie przyszedł dziś?

On nie musi się ukazywać – odparłam. – Nie musi, bo on jest we wszystkich polskich sercach.

W opowiadaniu wykorzystano fragmenty autentycznych wy- powiedzi Stanisława Tarnowskiego (Pierwsza pochwała „Ogniem i mieczem”, za: Trylogia Henryka Sienkiewicza. Studia, szkice, po- lemiki, wyb. i oprac. T. Jodełka, Warszawa 1962), oraz Stanisława Brzozowskiego (Współczesna powieść polska, za: Sienkiewicz – po- cieszyciel burżuazji, w: Trylogia Henryka Sienkiewicza...).

Henryk Sienkiewicz tworzył „dla pokrzepienia serc”. Czy w Twoich cza- sach potrzebny jest ktoś taki? Do jakich wartości mógłby sięgnąć?

TY JESTEŚ KAMIENICĄ SACHÓW

Siedzący w wysłużonym kawiarnianym fotelu Artysta we- tknął staromodnie skręconego papierosa między cienkie wargi i odpalił go od zapalki, starając się nie podpalić sobie przy tym hisz- pańskiej bródki. Najpierw spojrzał za okno, podmyte nieco poranną ulewą, na zaburzające estetykę głównej ulicy socrealistyczne kosz- marki, połączone z zabytkowymi elewacjami kamienic. Dopiero gdy wypuszczał dym z ust, zerknął na Pisarza, którego poznał kilka go- dzin temu i już kilka razy zdążył ocenić. W tym właśnie momencie wydał mu się podobny do młodego Daniela Olbrychskiego¹: miał tak samo wyrazistą twarz, zawadiackie oczy i charakterystyczny tembr głosu.

Wyraźnie znudzona kelnerka przyniosła w końcu dwie kawy i bez uśmiechu postawiła je na przeciwnych krańcach blatu. Za nią majaczył wystrój pozorowany na dwudziestolecie między- wojenne bar, ustrojony kolorowymi szklami przeróżnych alkoholi. Artysta poczekał jeszcze, aż kobieta odejdzie, po czym pochylił się w stronę rozmówcy, zdradzając poufny charakter rozmowy, którą zamierzał rozpocząć.

– Ja pana bardzo długo szukałem. I znalazłem, jak pan sam widzi, dlatego tym bardziej cieszy mnie nasze spotkanie. Obaj jeste- śmy artystami, więc proszę się nie dziwić, że chciałem podjąć z pa- nem dyskurs. Mianowicie, proszę odpowiedzieć mi na takie pytanie: czy komuś współcześnie można by nieść pokrzepienie serc?

¹ Daniel Olbrychski – polski aktor teatralny i filmowy, wystąpił we wszystkich częściach Sienkiewiczowskiej „Trylogii”.

Pisarz uśmiechnął się półgębkiem i chociaż wiedział, co powiedzieć, ze zmieszaniem zaczął bawić się swoją filiżanką. Bazyliżkowy wzrok paraliżował go znad parującej kawy, odzywając się nieprzyjemnym, zimnym dreszczem w dole jego pleców.

– Ach, proszę się tak nie konsternować! – zakrzyknął w końcu Artysta. – Cokolwiek pan powie, będę więcej jak zadowolony.

– Moim zdaniem pokrzepienie serc jest aktualnie potrzebne tym nielicznym, którzy wciąż mają ów organ po właściwej stronie klatki piersiowej – zaczął z wolna Pisarz. – Zna pan przecież naczelne hasło nowego wieku. Bądź bezwzględny, tylko wtedy poradzisz sobie w *korpo*. Wrażliwość, empatia, indywidualizm... To teraz tylko synonimy słabości. Wydaje się, że nowe tysiąclecie zostanie nazwane epoką stalowych umysłów i wiotczących serc, a ewolucja przystosuje nas do życia w kanalizacji, abyśmy lepiej mogli sobie poradzić w wyścigu szczurów. Wszystko to doprowadzone, do smaku, ogromnym kryzysem wartości. Oszaleć można.

– A co pan myśli o chociażby *pisaniu* dla pokrzepienia serc?

– To znaczy jak Sienkiewicz?

– O właśnie, jak Sienkiewicz. Tyle że współcześnie.

– Dlaczego pan właśnie mnie o to pyta?

Machnięcie ręką odgoniło pytanie, brzęczące jeszcze przy uchu jak irytująca mucha. Pisarz upewnił się, że spod zmarszczek Artysty nie wyzierają oznaki szaleństwa, a kiedy określił wynik badania jako negatywny, zamyślił się. Przetarł oczy, gdyż był zmęczony i odpowiedział:

– Może nie w tym oczywistym, dosłownym, spłyconym znaczeniu, które nasuwa się samo z siebie, gdy przytaczane są te słowa z epilogu „*Pana Wołodyjowskiego*”. Nie ma już przecież potrzeby przemawiania w duchu patriotycznym do tkwiących w narodowo-wyzwoleńczym limbo Polaków. Rodzimy warsztat artystyczny boryka się ze zgoła innymi problemami, z których pierwszym i najważniejszym jest spadek zainteresowania literaturą czy sztuką w ogóle. Trudno się dziwić! Twórcy wychodzą najwyraźniej z założenia, że obraz powinien przytłoczyć nas ukazywanym w nim okrucieństwem, wyeksponować najciemniejszą stronę polskiego społeczeń-

stwa, a jego zakończenie powinno się móc określić traumatycznym. O, i najlepiej zobrazować degenerację rodzaju ludzkiego. I dodać do tego albo Żyda, albo homoseksualistę. Takie dzieło może dostać Nike albo Orły, w innym razie wychodzi nam tania masówka. Co w tej sytuacji myśli o sztuce polski odbiorca? Pokrzepienie serc to obecnie przywrócenie wiary w sztukę. Wtedy możliwe będzie odmienienie literackiego oblicza świata przez przypomnienie „archaicznych” wartości.

Czyli w dużym skrócie uważa pan, że twórczość dla pokrzepienia serc jest potrzebna – zamyślił się Artysta. – Doskonale! Wobec tego, chciałbym przedstawić panu pewien koncept, ale nie tutaj, na zewnątrz. Uregulujmy rachunek i przejdźmy się Świdnicką. W końcu jestem przyjezdny...

Wyszli na świat²

Była późna jesień i burość rozlewała się od nieba, by w końcu zmieszać się z brukiem. Silny wiatr niósł zapach zgniłych liści od pobliskiej promenady, dziwacznie przenikający się z aromatem świeżo wypieczonych pączków. W tym anturażu Artysta przechrastał się nie po raz pierwszy dziwnie opustoszałą aortą europejskiej stolicy. Zatrzymał się dopiero pod Hotelem Monopol w momencie, gdy grzmot przetoczył się nad ich głowami, płosząc gołębie z dachu kamienicy należącej onegdaj do rodziny Sachów. Ciężkie krople zaczęły stukać o jego cylindryczny kapelusz.

Wie pan, co się tam znajdowało? Café Fharig, mój drogi, Café Fharig... Tu twój pradziad mógł porozmawiać z artystą i o artystach, tu wśród pałacowego przepychu składało się hołd sztuce – mówił, a usta wykrzywiały się mu w przedziwnym uśmiechu. – To miejsce spotkań bohemy przełomu wieków, teraz zapomniane. Ty mógłbyś je wskrzesić.

Odwrócił się w stronę otulonego płaszczem Pisarza, który w obawie przed deszczem wyciągał parasol. Artysta uświadomił

² Kawiarnia symbolizuje grunt Polski; „wyjście na świat” jest niejako przeniesieniem problemu na arenę międzynarodową. Zmienia się także sposób postrzegania Pisarza przez Artystę: teraz jest Robertem Taylorem (amerykański aktor, odtwórca roli Marka Wini-cjusza w „Quo Vadis” z 1951r.)

sobie, że nie przypomina mu on już Olbrychskiego, ale raczej Roberta Taylora. Jego postawa była godna amanta, twarz ułagodzona, a spojrzenie spokojne. Zobaczył w nim światowca, który stał u drzwi wielkiej kariery i wahał się jeszcze, czy przestąpić próg.

Największą bolączką współczesnego twórcy jest brak umiejętności przedstawienia w odpowiedni sposób koncepcji utworu pozytywnego czy urokliwego, wzbogaconego o pierwiastek cudowności. Powrotu do czucia i wiary, które pokrzepią serce – szczęśliwe zmarszczki wokół oczu Artysty sięgały głębokości Rowu Mariańskiego, kiedy z entuzjazmem przeżywał swoją wizję. – Czy wie pan, jakie trzy warunki powinien spełnić Mesjasz literatury? Primo, oprócz talentu, ta osoba musi mieć wielką charyzmę i oryginalny wizerunek; ponadto umiejętność trafienia w gusta całego przekroju społeczeństwa. Secundo, zamiast podążać ślepo za wzorcem europejskim, dostrzeże konieczność pokrzepienia polskiego odbiorcy, równocześnie zachowując uniwersalny wydźwięk dzieła. Et tertio, będzie on miał dar realistycznego odnoszenia się do górnołotnych idei, podnoszenia ludzi na duchu i zachęcania do codziennego patriotyzmu. Drogi panie, możesz zostać tym artystą. Jakimi wartościami podniósłby pan z błota serca naszych rodaków?

Romantycznymi – Pisarz przekrzykiwał burzę. Błyskało się. – Postawiłbym miłość naprzeciwko samotności, by eros przypomniała o intymności, a agape o braterstwie. Postawiłbym indywidualizm naprzeciwko banalności, podkreślił status jednostek wyjątkowych w społeczeństwie. Postawiłbym inteligentną walkę naprzeciwko marazmu, ponieważ musimy mieć siłę bronić swoich poglądów. Postawiłbym patriotyzm naprzeciwko obojętności, a także podważył archetyp Polaka-pijaka czy Polaka-okrutnika. Przypomniałbym o sztuce i o jej uwznioślającej mocy, sile sprawczej.

Pan chcesz być tym Mesjaszem i być może zapoczątkowałby pan nową epokę, gdyby nie był pan kamienicą Sachów. Pan będziesz chciał być Sienkiewiczem, ale zostaniesz Norwidem. Ideał sięgnie bruku, ciesz się, późny wnuku! - uśmiech na twarzy Artysty stał się niemal demoniczny.

Na jego słowa rozległ się potężny, ogłuszający grzmot, następnie oślepiła ich błyskawica. Dziedzictwo Sachów, rażone zeusowym orężem, sypnęło tynkiem i cegłówkami. Zadrżały posady, rozdarły się mury. Pałac pękał na pół.

Na litość boską, niech pan się odsunie! - krzyknął Pisarz, prawie lekceważąc prorocstwo.

Pan czeka na wnuczkę. Sienkiewiczównę.

Grzmot i łomot zapadających się piętér zabrzmiały jak śmiech szaleńca. Pisarz, zbyt przerażony, by uciekać, schylił się, starając ochronić głowę, Artysta zaś przyglądał się upadkowi dziedzictwa modernistycznej bohemy. Burza ustała, kamienica runęła. Znad gruzów dało się zobaczyć jedynie krzyż gotyckiego kościoła.

Boże mój... Boże! Kim ty jesteś, fałszywy Tereczaszu!? - wyjąkał Pisarz. Usłyszawszy to, Artysta zdjął kapelusz, rzucił go na ziemię i skłoniwszy się rzekł:

Jam jest Henryk Sienkiewicz.



*„Sądzimy, że abyśmy byli szczęśliwi, potrzebujemy dobrej kanapy. Kanapy, która pomoże nam żyć wygodnie, spokojnie, całkiem bezpiecznie”.
Twoja odpowiedź na słowa papieża Franciszka wypowiedziane podczas Światowych Dni Młodzieży.*

KANAPA

Wróciłem. Nareszcie wróciłem. Każdy, najdrobniejszy męsień mojego udręczonego ciała dygotał z wyczerpania. Osiem godzin męczarni zakończyło się. Osiem godzin i trzydzieści minut, jeśli policzyć czas, który poświęciłem na ekskluzywne zakupy w osiedlowym spożywczaku u pani Haliny. Swoją drogą, gdyby nie ta dobra kobieta w życiu nie dowiedziałbym się, że Ela spod trójki wzięła rozwód, a Marek spod dziewiątki kredyt. Na kajak zresztą. Gdzie on do diabła zamierza pływać tym kajakiem, we Wrocławiu? No ale to w końcu jego sprawa, nie moja.

Wycieńczony doczłapałem do kuchni. Klapnąłem na krzesło. Siatkę z zakupami położyłem na stole. Przekrwionymi oczyma prześledziłem pięć razy drogę najcieńszej wskazówki brzydkiego zegara, który dostałem na urodziny od taty. Tik – tak, tik – tak...

Monotonne tik – tak skojarzyło mi się z miętą i postanowiłem w końcu umyć zęby. Wypadałoby, bo z mojej paszczy ulatniał się odór porównywalny z tym, który dochodzi z czeluści mojego porcelanowego tronu, kiedy zapomnę o zakupie pachnącej cytryną kostki toaletowej.

Nastawiłem wodę na herbatę i dowlokłem się do łazienki. W lustrze ujrzałem zarośniętego stwora, który okazał się być mną. Spojrzał na mnie z takim wyrzutem, że poczułem się wobec niego zobowiązany. Do mycia zębów dorzuciłem golenie. Chciałbym móc powiedzieć, że przemieniło to stwora z lustra w Brada Pitta, ale nie lubię kłamać.

Odstawiony jak szczur na otwarcie kanału, podążyłem do kuchni i zabrałem się za przyrządzanie kolacji. Zalałem saszetkę czarnej herbaty wrzątkiem i przejrzałem zawartość najpierw lodówki, później szafki. Już miałem zrezygnować, gdy mój wzrok odnalazł ją ukrytą za paczką regionalnych. Wyboru dokonałem błyskawicznie. Nie było nad czym się zastanawiać. Miałem jeszcze trochę gorącej wody. Poza tym lubię ryzyko. Już wiedziałem, że ten wieczór będzie inny niż wszystkie.

Trzy minuty później sadowiłem się wygodnie na czerwonej, wypłowiej kanapie przed telewizorem. Przede mną na małym, PR-L-owskim stolczku, obok szklanki herbaty, pyszniła się miseczka z zupką chińską o smaku krewetek. Wsunąłem miękką poduszkę pod plecy, znalazłem odpowiednie dla moich steranych pośladków wgniecenie w siedzeniu kanapy, sięgnąłem po herbatę i odpaliłem telewizor. Zacząłem od końcówki programu kulinarnego, którą obejrzałem z najwyższym zadowoleniem, podjadając pomalutku zupkę chińską. Program skończył się wyświetleniem zdjęcia całkiem apetycznie wyglądających kotletów jagnięcych, które były głównym tematem dzisiejszego odcinka. Następny kęs makaronu powędrował do moich ust. Na kolejnym kanale był jakichś dokument o drugiej wojnie światowej. Wychudzone postacie w pasiastych strojach wychodziły w wojskowym szyku z baraków. Nad ich głowami rozciągało się ponure, bezlitosne niebo. Czytałem kiedyś kilka książek o obozach. Mój przyjaciel nawet pracę magisterską o tym pisał. Coś we mnie drgnęło, oczy zasnuła mi podejrzana mgła, kiedy przypomniałem sobie dane na temat śmierci żydowskich dzieci... Dla bezpieczeństwa przełączyłem na mecz. Poprawiłem się na czerwonej, wygodnej kanapie i spokojnie dokończyłem zupkę. Bezwstydnie wysiorbałem słoną ciecz do ostatniej kropli i całkiem zadowolony z życia obejrzałem mecz do końca, popijając herbatę.

Dochodziła godzina, o której zawsze oglądałem wiadomości. Ściszyłem odrobinę telewizor, w którym właśnie piękna blondynka rozpyływała się nad skutecznością środków na biegunkę i odniosłem talerz do kuchni.

Wróciłem z paczką regionalnych i z przyjemnością wciągnąłem się na kanapie. Miękki, wytarty materiał otulał mnie miło z każdej strony. Podsunąłem poduszkę pod głowę i leniwie wlepiąłem wzrok w ekran. Kolorowe, chaotyczne obrazy wirowały, mieszały mi w głowie i usypiały. Podrapałem się w zamyśleniu po nosie. Ziewnąłem raz i drugi... Dwóch polityków kłóciło się na temat aborcji, potem pojawiła się dziennikarka relacjonująca przebieg wojny w Syrii i inna mówiąca, że jakaś kobieta spowodowała wypadek na autostradzie, ktoś się powiesił... Wtuliłem twarz w poduszkę. Znajomy do bólu zapach kanapy znieczulał mnie po całym dniu jak kieliszek wódki alkoholika. Zacząłem odpływać myślami gdzieś daleko, aż w końcu powieki opadły mi całkiem i chyba na moment zasnąłem, bo kiedy spojrzałem na telewizor, na ekranie leciał Shrek. Generalnie to uwielbiam aspołecznego, zielonego męża Fiony, ale na dwójce miał być nowy thriller, więc po krótkiej walce z samym sobą, postanowiłem przełączyć kanał.

Uniosłem rękę, żeby sięgnąć po pilota... i zdębiałem. Od nadgarstka aż do barku pokrywała mnie siatka czerwonych nici. Wyglądało to tak, jakby moje naczynia krwionośne wyemigrowały na powierzchnię skóry i z nieznanych mi powodów połączyły się z kanapą. Odruchowo szarpnąłem się, żeby wstać... i nie mogłem. Nici oplotaly mnie całego. Zaczynały się i znikwały w materiale kanapy. Spod upiornie czerwonej sieci nieśmiało prześwitywały dżinsy. Gdyby nie to, mógłbym wziąć własne stopy za integralną część kanapy. Otepiałą przesunąłem powoli wzrok po całym ciele. Wyglądałem jak owijająca się kokonem gąsienica. Warstwa nici przerzedzała się odrobinę na wysokości ud i bioder, ale nawet moją klatkę piersiową powoli zaczynała już okrywać szkarłatna pajęczyna. Starąłem się zwalczyć ogarniające mnie przerażenie. Odetchnąłem głęboko raz i drugi. Zamknąłem oczy i policzyłem do dziesięciu... Sen! Innego wytłumaczenia nie ma. Pokręciłem

z dezaprobatą głową. Co za bzdury wymyśla zmęczony umysł. Uniosłem dłoń na tyle, na ile pozwalała mi siatka nici i uszczypnąłem się w policzek. Najpierw raz. Później drugi. Triumfalny uśmiech powoli spęłz mi z twarzy. Wyrwałem sobie piętnaście włosów

z głowy. Przygryzłem wewnątrz policzków aż do krwi. Zarysowałem dziąsło paznokciem. Nic. Wobec takiego obrotu sytuacji postanowiłem ulec panice. Zacząłem więc potępieńczo wyć i rzucać się na kanapie niczym Emily podczas egzorcyzmów. Zerwałem w ten sposób kilka wiązań nici na rękach, które (o zgrozo!) gdy tylko zaprzestałem moich działań, zaczęły żywo owijać me nieszczęsne ciało. Było to dla mnie wystarczającym bodźcem do wznowienia serii histerycznych ruchów. Nici mnie oplatały, ja je zrywałem. One obsesyjnie chciały wciągnąć mnie w czeluści piekielnej kanapy, a ja ogarnięty paniką starałem się wyswobodzić z ich obrzydliwego uścisku. I byłbym przegrał tę bitwę, gdyby nie stojąca na stolyczku szklanka po herbacie, którą w akcie desperacji chwyciłem, stłukłem o podłogę, raniąc sobie dłonie, a jej odłamek użyłem do przecięcia krępujących mnie więzów.

Jak oparzony wyskoczyłem z pokoju do kuchni, porwałem w biegu portfel i kluczyki do auta leżące na stole i tyle mnie widzieli.

Do tamtego mieszkania nie wróciłem już nigdy, ale wiem, że niektóre nitki we mnie zostały... I czasem... czasem w leniwe, samotne wieczory... zaczynają się ruszać. Czuję je. Wypęłzają ze mnie po to, żeby połączyć się z czymś, na czym akurat siedzę. Zabezpieczam się przed budzeniem nitek, jak tylko potrafię. W moim nowym mieszkaniu nie ma kanap. Nie kupuję zupek chińskich, za to smażę (co z tego, że nieudolnie!) kotlety jagnięce. Unikam beczynności. Cały czas staram się być w ruchu. Ale wiem, że niezależnie od tego, co zrobię, nitki zawsze będą we mnie... przyczajone, gotowe wykorzystać każdy moment beczynności...

Henryk Sienkiewicz tworzył „dla pokrzepienia serc”. Czy w Twoich czasach potrzebny jest ktoś taki? Do jakich wartości mógłby sięgnąć?

„ŚWIADOMIE DO ŹRÓDEŁ LUB OŚLEPIENI NA WYSYPISKO ŚMIECI, CZYLI O ZNIEWOLENIU WŁASNYM I INNYCH”

Człowiek to bardzo interesująca istota pod wieloma względami, a przede wszystkim w aspekcie procesu nauki i uczuć. Jednym ze stanów, jakiego się uczymy, jest nadzieja. Oczywiście jej poziom (jeżeli takowy da się określić) zależy od jednostki ludzkiej, jej własnych przeżyć i spotkanych ludzi. Odczuwanie tego stanu dotyczy każdego człowieka bez względu na płeć, wiek czy kolor skóry. To właśnie ona daje nam możliwość snucia marzeń o lepszym przebiegu niektórych spraw, ale co ważniejsze, wzbudza w nas chęć do działania, daje nam moc, którą bez obaw na podważenie moich słów, mogę nazwać najsilniejszą siłą napędową ludzkiego ducha. Sprawiała ona, że wielu zostało okrzykniętych bohaterami, dzięki niej ludzie dzielnie bronili swoich ideałów i zasad, zaś tym którzy nie byli wolni, dawała wytrzymałość i zachęcała do przejęcia spraw w swoje ręce. Okupanci każdego sortu, umieszczeni na każdym punkcie osi czasu bali się jej, gdyż wiedzieli, do czego zdolni są ludzie będący nią wypełnieni, dlatego tak wielu z nich starało się zniszczyć tę ostatnią deskę ratunku ludzi ciemionych.

Przy tak dramatycznym rozwoju wypadków potrzebny jest swego rodzaju bohater, twórca, który posiada wystarczające zasoby nadziei, aby dzielić się nią i podbudowywać innych. W XIX wieku ku pokrzepieniu serc narodowi polskiemu przyszedł Henryk Sien-

kiewicz, starając się przekonać społeczeństwo do jego siły, opierając się o fundamenty wiary i patriotyzmu, potrzebne akurat w tamtejszej sytuacji. Po tych rozważaniach powstaje jednak pytanie, czy w dzisiejszych czasach potrzebujemy pokrzepienia?

Jedną z głównych kwestii, jakie powinniśmy podjąć, rozważając ten konkretny problem, jest samo słowo *pokrzepić*, które, według Słownika języka polskiego oznacza: „dodawać komuś siły”, „podnieść na duchu”, jednak zasady, które rządzą naszym dzisiejszym światem, nie wskazują na to, że potrzebujemy wsparcia, zarówno duchowego (patriotycznego), jak i fizycznego. Stworzyliśmy społeczeństwo, które jest względną jednością i jako szarzy obywatele pośrednio mamy władzę nad bardzo ważnymi kwestiami dotyczącymi naszego życia i środowiska. Jesteśmy masą, posiadającą siłę zmieścić całą zielen z powierzchni planety, która marnuje i produkuje coraz więcej jedzenia, a także wiele innych owoców przemysłu, których tworzenie na dużą skalę jest szkodliwe dla naszej planety, a ponadto zatraciliśmy naturalne dobro naszego ducha, zamykając się w samych sobie, zapominając o ludziach dookoła nas. Duch potrzebuje wsparcia dopóty, dopóki pamięta się o nim, a my, niestety, straciliśmy w tej relacji kontakt, skupiając się na sferze materialnej naszego życia. Myśląc o tym wszystkim, nie jestem w stanie tak potężnej grupy nazwać słabą (pod względem fizycznym, oczywiście), a już na pewno nie taką, która potrzebuje pokrzepienia w swojej sytuacji, ponieważ, aby ludzie potrzebowali wsparcia, trzeba im najpierw przypomnieć o ich duchu, a później uświadomić ich, że są w swego rodzaju niewoli. Jednak kto lub co kontroluje tę grupę?

Tak jak już wspomniałem, żyjemy w czasach pozornego pokoju, w których mieszkańcy krajów bogatej północy mogą się skupić na czerpaniu korzyści ze stabilnej sytuacji gospodarczej ich państw, oczywiście kosztem wyzysku innych narodowości. To odcięcie się od problemów, które, jak zwykli mówić ludzie, „nas nie dotyczą”, w rzeczywistości sprawia, że nasze serca stają się coraz twardsze i coraz bardziej skupione na nas samych. Przestajemy zauważać problemy drugiego człowieka, najpierw tego z odległych zakątków świata i sukcesywnie stajemy się zobojeźniali na kłopoty naszych znajomych

czy bliskich. Relacje jednostki coraz częściej skupiają się na więziach z rzeczami materialnymi, w trosce tylko o ekonomiczną i klasową jakość naszego życia, więc odpowiedzią na pytanie: „Co nas zniewala?” jest stwierdzenie, że robi to konsumpcjonizm i materializm. Te dwa zjawiska, zarówno psychologiczne, jak i społeczne, są okupantami naszego społeczeństwa, dominują nad nim, nie ukazując swojej prawdziwej władzy. Panują nad ludźmi po cichu, aby żaden z nich się nie zorientował, że znalazł się w niewoli.

Oczywiście nie są to istoty chcące przejąć władzę nad światem, tylko procesy myślowe, postawy, które w takim stopniu odpowiadają mózgowi jednostki, że ona nawet nie chce się bronić przed zniewoleniem sprawiającym, że będzie się czuła bezpiecznie i prestiżowo w materialnym wymiarze swojego życia. W powieści autorstwa Chucka Palahniuka pod tytułem *Fight Club*, możemy znaleźć cytat: „(...)jesteś uwięziony w swoim uroczym gniazdku i stajesz się własnością rzeczy, które kiedyś były twoją własnością”; myślę, że to najtrafniejszy sposób na opisanie funkcjonowania dzisiejszego społeczeństwa pod względem przywiązania do rzeczy, natomiast aby opisać tę zbiorowość jako organizm, dodałbym jeszcze myśl Harukiego Murakamiego z książki *Kafka nad morzem*, gdzie widnieje sentencja o tym, że ludzie tak naprawdę boją się wolności, tylko mówią, że jej pragną. Tak naprawdę lubią niewolę, gdyż bez niej nie wiedzieliby co ze sobą zrobić. Z tymi poruszającymi stwierdzeniami z dwóch różnych powieści możemy nakreślić, oczywiście tylko częściowo, ale jakże trafnie, sposób funkcjonowania świata, który przypadło nam w tym momencie tworzyć i zmieniać, jeżeli się na takowe działanie odważymy.

Moim zdaniem, społeczeństwo opisane powyżej jest odrażającym obrazem, jakby wyciągniętym z najgorszych koszmarów, gdzie moralność i etyka zastępowane są z łatwością pieniędzmi czy innymi równie bezwartościowymi rzeczami. Ludzi żyjących w ten sposób nie trzeba pokrzepiać, należy ich wybudzić z letargu, wzbudzić w nich na nowo odruchy, które zwykliśmy nazywać ludzkimi. Pobudka z tego snu nie może być zbyt nagła, gdyż może to ich rozwścieczyć, ale też nie powinna być nazbyt powolna, aby się nie okazało,

że jest za późno dla nas i dla naszej planety. Zamiast kogoś takiego jak pan Sienkiewicz, potrzebujemy drugiego Mahatmy Gandhiego działającego na skalę światową. Pokojowo i stopniowo uczącego ludzi braterstwa i miłości, wskazującego im drogi współczucia, zrozumienia i równości. Już od dawna nie potrzebujemy pokrzepienia, aby być wolni, ponieważ z naszym okupantem da się walczyć tylko myślą, to my sami siebie czynimy więźniami, ponieważ boimy się wolności i wzajemnego zrozumienia. Nadszedł czas, abyśmy rozerwali łańcuchy konsumpcji i obojętności, które sami sobie założyliśmy, i walczyli o miłość i jedność Naszą i Waszą.

Nie pozwólmy odebrać sobie samym tych „(...) kilku centymetrów sześciennych zamkniętych pod czaszką”.



**XIII Dolnośląski Konkurs Literacki
o Laur Złotego Pióra
„My Polacy, My Dolnoślązacy”
rok 2017**



XIII EDYCJA

Konkurs Literacki o Laur Złotego Pióra

*My Polacy
my Dolnoślązacy*



ZAPRASZAJĄ

MŁODZIEŻ SZKÓŁ
PONADGIMNAZJALNYCH
ORAZ 3 KLASY GIMNAZJUM

**dla najlepszych przewidziano
cenne nagrody**

prose napisane w dowolnej formie należy składać do 15 listopada 2017 r.
uroczysta gala - Aula Papieskiego Wydziału Teologicznego - Wrocław - 1 grudnia 2017 r.
bliższe informacje u nauczycieli i, polskiego i pod adresem:

MECENAT
prof. Jan Miodek

WSPÓŁORGANIZATOR



„Projekt dofinansowany ze środków budżetu Województwa Dolnośląskiego”

www.zlote-pioro.pl

PATRONAT MEDIALNY



niedziela



SPONSOR



PATRONAT HONOROWY

Czesny Przybylski – Marszałek Województwa Dolnośląskiego
Paweł Franko – Wiceburmistrz Wrocławia
Rafał Budnikiewicz – Przewodniczący Miasta Wrocławia
Ramon Kowalczyk – Dolnośląski Kurator Oświaty
ks. Józef Kąkol – Arcybiskup Metropolita Wrocławski
ks. Zdzisław Kiersnowski – Biskup Legnicki
ks. Ignacy Dux – Biskup Świdnicki
ks. Jarosław Płatek – Inspektor Inspektoratu św. Józefa Bożka we Wrocławiu

Małgorzata Kałuża

Technikum nr 12 w Zespole Szkół Logistycznych we Wrocławiu

„Można nie pomagać, można znaleźć wiele racjonalnych argumentów dla konkretnych przypadków, aby nie pomagać. Ale to nic nie zmienia. Nadal będą głodni, chorzy, cierpiący, potrzebujący. Lepiej zgrzeszyć nadmiarem dobroci i naiwności, niż nadmiarem kalkulacji i nieufności” (o. Fabian Kaltbach OFM). Przedstaw swoje zdanie.

Patrząc na ten cytat, na te mądre słowa, bardzo długo zastanawiałam się, jak jest naprawdę. A raczej zastanawiałam się, jak świat dzisiaj podchodzi do pomocy. Każdy chociaż raz zadał sobie to pytanie: „Czy warto pomagać?”. Ludzie z pewnej stacji telewizyjnej, promujący dość popularną fundację, twierdzą, że warto, ale może chodzi im tylko o pieniądze i wzbudzenie w odbiorcach współczucia. Kiedy popatrzą na chore dziecko, to ich dotychczas twarde jak kamień serce zmięknie, to wyślą tego jednego smsa (w przypływie hojności nawet dwa), bo biedna dziewczynka bardzo ciężko choruje i trzeba jej pomóc. A wiesz (zwracam się teraz bezpośrednio do mojego czytelnika), co mnie najbardziej w takich ludziach denerwuje? Obcej osobie pomogą bezwarunkowo i natychmiast, a nie potrafią zawieźć do lekarza swojej ciężko chorej siostry, bo nie mają czasu, bo paliwo za drogie, bo przecież trawnik trzeba skosić, mimo że jest zima i leży 10 centymetrów śniegu.

– Śnieg leży? Ojeeej, niestety nie zawiozę Cię, muszę odśnieżyć.

Oczywiście nie kwestionuję tego, że ludzie wspomagają małymi kwotami wszystkie potrzebujące dzieci, sama, kiedy patrzę na ich cierpienie, czuję, że serce mi się ściska i krew mrozi w żyłach. Jednak dlaczego czasami łatwiej jest nam pomóc komuś kompletnie obcemu niż jednej z najbliższych nam osób? Jaki jest racjonalny argument, żeby naszej mamie, siostrze, ojcu, bratu, babci, kotu, psu czy śwince morskiej nie pomóc, kiedy tego potrzebują? Podziwiam Twój szlachetny czyn, wydałeś 5,50 zł dla chłopca, który choruje na

mukowiscydozę. Gratuluję, jesteś bohaterem. A co z Twoją matką, która potrzebuje Twojej obecności, bo popadła w depresję po śmierci taty? Co z Twoim bratem, który zaczął brać narkotyki, zadawać się z szemranym towarzystwem i napadać na ludzi? Oni nie potrzebują wiele, chcą jedynie Twojego wsparcia. Kalkulujesz, komu opłaca się pomóc i przedkładaś obcych ludzi nad rodzinę? Jestem wzruszona.

Religia chrześcijańska, w jakiej wielu Polaków jest wychowywanych, głosi miłosierdzie i dobroć dla innych ludzi, bo Pan Bóg siedzi w chmurkach i widzi każdy nasz dobry uczynek wobec bliźniego. A jak nie pomożesz pani na ulicy, która niesie ciężkie torby z zakupami, to Bóg pogrozi Ci paluszkami, ale i tak wybaczy, kiedy grzecznie przybiegniesz do księdza przed Bożym Narodzeniem lub Wielkanocą, z fałszywie skruszonym sercem i wyznasz, jaki to byłeś w tym roku niegrzeczny (pamiętaj, św. Mikołaj nie przychodzi do niedobrych dzieci, możesz liczyć jedynie na różgę!). Potem będziesz udawał świętego przez kilka dni, bo przecież się wypowiadałeś, wszystko jest w porządku, na pewno pójdziesz do nieba.

Czasami mam wrażenie, że ludzie właśnie w taki sposób traktują swoją wiarę i podejście do jej zasad, między innymi do dobroci i miłosierdzia. Myślą sobie: „Niby się boję, jakieś tam wyrzuty sumienia mam, ale po co to komu? Przecież Bóg wybacza wszystkim. Co z tego, że nie pomogłem tej pani na ulicy. Na pewno nie jestem gorszy od tego zbrodniarza, który zgwałcił kobietę, a potem ją zabił!”

Tutaj – niestety – muszę rozwiązać wszystkie wątpliwości pseudo- katolików, którzy tak bardzo są pewni swojego cudownego, mlekiem i miodem płynącego, życia w niebie i to jeszcze u samych stóp Stwórcy. Po pierwsze, gdyby Bóg wszystkim wybaczał, piekło by nie istniało i szatan generalnie nie miałby nic do roboty. Myślicie, że on tak dla zabawy nas wszystkich kusi? Jasne, rozumiem, że może mu się tam trochę nudzić i na pewno jest mu piekielnie gorąco, ale – niestety – on ma w tym swój cel. Chce za wszelką cenę doprowadzić do tego, żeby człowiek za swoje złe uczynki nie czuł skruchy w sercu. Żebyśmy byli hipokrytami, robili jedno, a mówili drugie. A „dobroć” to jedna z najłatwiejszych dróg do tego, aby taką hipokryzję w nas zasiać. Przywołałam przykład, w którym

mówiłam o kimś, kto pomaga chorej dziewczynce, wysyła pieniądze na jej leczenie, itd., a nie potrafi pomóc swojej własnej rodzinie. To jest właśnie ta hipokryzja. Jeśli wspomóżę kogoś ze znanej fundacji, będzie miał tego potwierdzenie w postaci zwrotnej wiadomości z podziękowaniami. Aż kusi, żeby pochwalić się przed znajomymi, jaki jest dobry dla innych ludzi, a już zwłaszcza pochwali się przed tą piękną brunetką, która mu się tak bardzo podoba. Niech widzi, że ma gest. A matka chora na depresję i brat narkoman? Co ten biedny korposzczur by powiedział znajomym, gdyby się dowiedzieli, że ma taką patologię w rodzinie i matkę psychicznie chorą? Wstyd wielki. A wieści szybko się rozchodzą i na pewno nie umknęłoby to uwagi któremuś z jego kolegów. A już broń Boże, jakby brunetka się o tym dowiedziała. Patrzyłaby na niego przez pryzmat jego bliskich. Nie może sobie pozwolić na zniszczenie swojej reputacji. Przecież to jest niepodważalny argument na to, że nie zawsze warto pomagać. Chyba każdy się z tym zgadza, prawda?

Po drugie, tak bardzo lubimy porównywać się do innych i wybielać samych siebie. Jasne, człowiek, który kogoś zgwałcił i zamordował, raczej nie stanie jako pierwszy w kolejce przed bramą do niebios i św. Piotr nie rozłoży mu czerwonego dywanu, ale jeśli będzie tego naprawdę bardzo żałował i jego skrusza będzie prawdziwa, nie na pokaz, Bóg będzie mu w stanie to wybaczyć. Oczywiście będzie musiał trochę posprzątać w tym czyścicu, aż to miejsce będzie wyglądem przypominało nazwę. Ale najważniejszy jest czysty i PRAWDZIWY żal za grzechy.

Kiedyś przeczytałam bardzo mądre słowa, które powiedział Budda: „Ty, jak nikt we Wszechświecie, zasługujesz na swoją miłość”. Podobnie jest z dobrocią. Ty i Twoi bliscy, jak nikt, zasługujecie na Twoją dobroć. Naucz się najpierw pomagać swoim najbliższym i dbaj o to, czy im czegoś nie trzeba. Czasami wystarczy tylko poświęcić trochę swojego cennego czasu, nie musisz wydawać na nich milionów, a czasem nawet złamanego grosza nie będziesz musiał dać. Zbawienny może być jeden uśmiech, jedno spojrzenie czy uściśnięcie dłoni, aby komuś zrobiło się lżej. Nie musisz być psycholo-

giem z dziesięcioma dyplomami i dwudziestoletnim stażem. Możesz nawet myśleć, że nie umiesz komuś pomóc, ale zwykła rozmowa lub nawet siedzenie w ciszy może uratować osobę, która sama dla siebie już tego ratunku nie widzi. Jeśli będziesz miał pewność, że zaspokoiliś swoich bliskich swoją dobrocią, zacznij pomagać mniej znajomym Ci osobom, ale nie zapominaj o tym, kto jest dla Ciebie najważniejszy i najbardziej Cię potrzebuje.

Nie kalkuluj, nie podejrzewaj. Bądź czasem naiwny i grzesz dobrocią, ile się da. Bóg na pewno Ci to wybaczy. Ba! Nawet Ci to wynagrodzi. Może będziesz mógł liczyć na czerwony dywan przed bramą niebieską i jakiś mały bankiet przy boku największych elit: św. Jana Pawła II, św. Teresy z Kalkuty oraz samej Trójcy Świętej. Jednak zanim się rozmarzysz nad perspektywą pięknej krainy, pomyśl, ile pracy czeka Cię tutaj na ziemi!

Do dzieła! Miłego grzeszenia.



Julia Myślińska
Zespół Szkół Ogólnokształcących w Kłodzku

„Te trzy hasła miejmy w życiu: „Pracę, jedność i wytrwałość” (K. Ujejski). Rada anachroniczna czy aktualna? Która z tych wartości według Ciebie jest dziś najważniejsza?”

„JEDNOŚĆ W INTERCITY EXPRESS”

– Suń się pan! – wysoki mężczyzna w dresie ostentacyjnie pchnął młodego eleganta z aktówką na stojącą obok damę w szmaragdowym płaszczu.

– Przepraszam – młodzieniec wydusił do kobiety z godnością, wygładzając elegancką koszulę pod ciemnym garniturem. Z grymasem dezaprobaty na twarzy przeniósł wzrok na postawnego dresiarza, przeciskającego się niedelikatnie przez tłum zebranych w pociągu podróżnych. Po chwili kolejny z nich zetknął się z potężnym barkiem mężczyzny, upadając na najbliższe siedzenia.

– POLSKA DLA POLAKÓW! – ryknął dresiarz, złośliwie szczerząc zęby do popchniętej kobiety. Chłopak w garniturze wzdrygnął się odruchowo. Zbyt często słyszał te słowa, i choć tym razem nie były skierowane do niego, poczucie dyskomfortu pojawiło się momentalnie.

– Are you all right? – elegant szarmancko wyciągnął dłoń w stronę niespełna trzydziestoletniej ciemnoskórej kobiety.

– Wszystko w porządku – wstając, uśmiechnęła się, dostrzegłszy cień zaskoczenia na twarzy rozmówcy. Mieszkam tu już długo, znam polski – wyjaśniła po chwili, przyglądając się dokładnie nieznanemu. – Ranjit przyjechał niedawno, jeszcze się uczy - ruchem głowy wskazała na stojącego obok młodego Hindusa.

Chłopak w garniturze wyciągnął dłoń – Tom, a właściwie Thomas –przedstawił się, ukrywając rozczerwanie widokiem towarzysza nieznanemu – Rodzice przyjechali tu z Austrii, a że nie

przemyśleli sprawy, imię dostałem niemieckie. W Polsce to raczej nie pomaga – roześmiał się niepewnie.

– Nikt od nas lepiej o tym nie wie – Ranjit uśmiechnął się szeroko. – Całe szczęście medycy potrzebni są wszędzie. Chyba tylko dlatego miejscowi znoszą moją obecność. W ich opinii Hindus może jedynie przyrządzać Polakom curry, a najlepiej, żeby go tu nie było – skrzywił się z nieskrywanym rozgoryczeniem.

– Och, przecież nie jest tak źle – dziewczyna wtrąciła się, ucinając żale przyjaciela. – Jestem Gloria – jej wzrok spoczął na twarzy Thomasa, by po chwili prześlizgnąć się na skórzaną aktówkę w jego dłoni. – Pracujesz w stolicy?

– Skończyłem w tym roku prawo na Śląsku – odparł niechętnie, przenosząc spojrzenie na przesuwające się za oknem barwne kształty mijanych domów – Trudny kierunek; masa nauki, lata aplikacji, a teraz za pracą muszę jechać do Warszawy – skrzywił się z niesmakiem. – Na miejscu też coś by się znalazło, ale żeby mieć naprawdę dobre zajęcie, trzeba się teraz niemało napracować.

– Najgorsze, że już się tego nie docenia – znienacka rozbrzmiał głos damy w zieleni. Kobieta skierowała łagodne spojrzenie na Thomasa. – Czy można? – spotkawszy się z milczącym przyzwoleniem grupy podróżnych, zajęła wolne miejsce u jego boku. – Niegdyś ludzie dostrzegali wartość w działaniu dla dobra innych; mieli poczucie, że robią coś niezbędnego. Praca nadawała życiu sens, nie kwestionowano jej celu. Teraz zwyczajnie stała się niemodna – na ustach kobiety pojawił się cień pełnego melancholii uśmiechu. – Podziwem cieszą się bogaci, którzy często nie zrobili nic na rzecz innych, a nauczycieli czy robotników się nie szanuje – urwała, spoglądając z zaciekawieniem na siedzącą naprzeciwko parę

– A dla Was, czym jest praca?

– Może Gloria opowie o swoich planach? Ranjit zachęcająco szturchnął ramię przyjaciółki – Jest prawdziwą pasjonatką... – zamilkł pod ciężarem pełnego irytacji spojrzenia dziewczyny.

– Dziękuję Ranjit. Pozwól, że dokończę sama – westchnęła. – Chcę otworzyć zakład fryzjerski. Swoją własną – Gloria uśmiechnęła

się do swoich myśli. – Koszty są niewyobrażalne, przez co dorabiam teraz w kilku nędznych podwarszawskich salonach kosmetycznych. Nie mogę wziąć kredytu, więc minie dobre pięć lat, zanim będzie mnie stać na otwarciu własnego biznesu, ale nie zrezygnuję. Mój ojciec zawsze mawiał, że wystarczy cel, gotowość do ciężkiej pracy i wytrwałość, wtedy można osiągnąć wszystko. Sam też otwierał swój biznes; wie, jak wiele wysiłku to wymaga – urwała na chwilę – Nie poddam się, bo wierzę, że praca jest dla nas możliwością spełniania marzeń. Potrzeba nam jedynie wytrwałości i...

Słowa urwały się w chwili wybuchu. Siła eksplozji wstrząsnęła całym wagonem, ogłuszając pasażerów i pozbawiając ich tchu. Pociąg gwałtownie zahamował, strącając podróżnych z foteli i przewracając na siebie nawzajem. Tom skulił się przy siedzeniu, otępiale spoglądając na przerażone twarze towarzyszy.

– Boże... – kobiecy głos przerwał pełną napięcia ciszę słowami nieskładnej modlitwy. Dopiero wtedy Tom odnalazł w sobie odwagę, żeby spojrzeć w stronę osmalonego przejścia. Nie dostrzegł śladów krwi ani ludzkich szczątków, jednak dochodzące z sąsiednich wagonów zawodzące głosy rannych nie pozostawiały wątpliwości co do mnogości ofiar wybuchu. Już po chwili przez przejście przedostała się grupa zakrwawionych pasażerów.

– Jezus, błagam ratujcie. Lekarza! Mamy tu lekarza?! – mężczyzna w nadpalonym dresie wczołgał się w głąb przedziału, przytrzymując przy ciele rozerwane na strzępy przedramię.

– Polska dla Polaków? – Ranjit westchnął ciężko, bez wahania klękając przy rannym. – Jest tu gdzieś apteczka? – zawołał, rozglądając się bezradnie po przedziale.

– Musimy stąd wyjść. – Głos Ranjita wybudził Toma z odrętwienia – Tu może być więcej ładunków, musimy jak najszybciej wydostać się z pociągu! – młodzieniec nerwowo przebiegał wzrokiem po twarzach chaotycznie krzątających się po przedziale pasażerów.

– To znowu jakiś przeklęty cudzoziemiec! Powybijać ich wszystkich i mielibyśmy spokój! – przesycony wściekłością krzyk momentalnie skupił spojrzenia wszystkich na Ranjicie. W ciągu kil-

ku sekund przed tłum wysunął się postawny mężczyzna o surowych rysach – A może to ten ciapaty postanowił wysadzić pociąg, co? – jego głos wywołał ciarki na plecach Toma, który odruchowo podniósł się, odgradzając nieznajomego od młodego medyka. Zbladł nagle, dostrzegłszy niepozorny, czarny przedmiot w dłoni mężczyzny.

Tom zmiął w ustach przekleństwo na widok pałki teleskopowej. Odetchnął głęboko. – Spokojnie, zachowajmy rozsądek! Skoro zdołaliśmy przeżyć wybuch, szkoda byłoby teraz wzajemnie się pozabijać – Nerwowy śmiech Toma zawisł wśród napiętej ciszy.

– To nie pora na zabawę - surowy, zdecydowany ton głosu Ranjita zaskoczył wszystkich. – Skoro tak bardzo martwi się Pan o swoich współpasażerów, sugeruję, aby pomógł Pan w zajmowaniu się rannymi. Utrudnianie mi pracy nikomu nie wyjdzie na dobre – ostrzegł stanowczo.

– Powinniśmy rozbić okno. Zamachowiec, jeśli podróżował z nami, prawdopodobnie już nie żyje, a, jak wspomniał wcześniej mój przyjaciel, ładunków może być więcej - Gloria przejęła rolę Toma jako kierownika ewakuacji - Niech Pan zrobi dobry użytek z tej pałki - skrzywiła się, wbijając wzrok w skonsternowane oblicze niedosłego napastnika.

W przeciągu niespełna kwadransa, wspólnymi siłami, pasażerowie dwóch ocalałych wagonów feralnego pociągu na linii Katowice – Warszawa, wydostali się ze strefy zagrożenia.

– Dziękuję! Równy z Pana gość; jednak nie każdy kolorowy jest zły - dresiarz pokręcił głową ze zdumieniem, wymieniając się uściskiem lewej dłoni z Ranjitem. Ten uśmiechnął się szczerze, odprowadzając wzrokiem rannego, przenoszonego przez ratowników do karetki.

– Wszyscy są bezpieczni – Gloria spojrzała ze szczerą ulgą w spokojne oblicze Toma i zatroskaną twarz damy w szmaragdowym płaszczu.

– Bezpieczni... no tak. – kobieta zmarszczyła nos w zamyśleniu. – Znać może taki wiersz? Jak to szło...? – Westchnęła i zaczęła recytować:

„Ten, który wszystkim serce swe otwiera, / Francuzem jest, gdy Francja cierpi, Grekiem - Gdy naród grecki z głodu obumiera, / ten jest z ojczyzny mojej. Jest człowiekiem.”¹

– Świat desperacko potrzebuje jedności, moi drodzy. Nie takiej, jaka ostatnio stała się niezwykle popularna – braterstwa jedynie w granicach własnej narodowości czy wyznania - przygryzła wargę, przenosząc spojrzenie na zgłiszcza zmasakrowanego wybuchem wagonu. - Nie takiej.



1 Antoni Słonimski – „Ten jest z ojczyzny mojej”

„Te trzy hasła miejmy w życiu: „Pracę, jedność i wytrwałość”
(K. Ujejski). Rada anachroniczna czy aktualna? Która z tych wartości
według ciebie jest dziś najważniejsza?”

„MŁODOŚCI MOJA...”, CZYLI O TRIADZIE KOHERENTNYCH WARTOŚCI, KTÓRE CENIŁA MOJA BABCIA

2 listopada 2017 r.

Tej nocy nie zmrużyłam oka. Natłok myśli „torpedował” moją głowę, a wynurzający się spod zmęczonych, ale nieruchomych powiek obraz wspomnień nie dawał spokoju. Potrzebowałam dać ujście swym emocjom. Wyrwałam więc z zeszytu kartkę. Chwyciłam za długopis i zaczęłam pisać, tak po prostu.

Lekcja pierwsza - praca

„Młodości moja, nie bądź mi snem marnym - Wykuj marzenia twe w żelazne czyny...”¹

Do domu mojej babci prowadzą dwie drogi, jedna zapomniana, leżąca wzdłuż lasku, a druga wiodąca przez wieś. Z tej ostatniej korzystają wszyscy, w tym i ja. Bardzo lubię dom babci, jego atmosferę i ogródek, który się przy nim znajduje. Właśnie w tym ogródku zastałam babcię podczas jednej z moich wizyt. Przez dłuższą chwilę obserwowałam, jak bez skrępowań rozprawia się z „chwaściorami” - jak je nazywała. Kosztowało ją to wiele wysiłku. Na policzkach miała wypieki, a po jej skroni spływały kropelki potu. Przyglądałam się jej pracy i zastanawiałam się, jaki ona ma sens, skoro babcię stać było na kupno warzyw. Witając się ze mną, uściśnęła mnie tak moc-

1 K. Ujejski, *Młodości moja!*, [w:] [https://pl.wikisource.org/wiki/M%C5%82odo%C5%9Bci_moja!_\(Ujejski,_1866\)](https://pl.wikisource.org/wiki/M%C5%82odo%C5%9Bci_moja!_(Ujejski,_1866)) - dostęp 02.11.2017.

no, że aż ciepło się robi na sercu na samo wspomnienie. Pamiętam, że zapytałam, czy nie szkoda jej energii i czasu na ten ogródek, a ona z uśmiechem odpowiedziała: „Mania, bez pracy człowiek przemienia się w pasożyta, który nie dba o to, gdzie jest, kiedy jest ani jaki jest. I nie mówię teraz tylko o pracy w ogródku. Człowiek nieustannie powinien zajmować czymś swoje ręce, ale i umysł, a jedno i drugie mają ze sobą wiele wspólnego. Pewnej wiosny miałam dylemat, czy użyć oprysku czy nie? Wtedy doszłam do wniosku, że świat to taki jeden wspólny ogródek. A jak to Wisia Szymborska napisała: „W garderobie natury kostiumów jest sporo / kostium pająka, mewy, myszy polnej...”². Doszłam do wniosku, że skoro na świecie wszyscy mają prawo do życia, to dlaczego ja miałabym nie stosować tego prawa w moim ogródku? Inna sprawa jest taka, że chwaściorzy potem zagarniały coraz więcej miejsca tylko dla siebie, a ślimakom nie mogłam wytłumaczyć, że truskawkami musimy się podzielić”.

Lekcja druga - jedność

„Młodości moja, ty mi bądź łańcuchem!

Wiąż mnie z tym biednym, podeptanym ludem...”³

Zawsze kiedy kłóciłam się z mamą, szukałam spokoju u babci. Ten dzień pamiętam bardzo dobrze. Razem z babcią siedziałyśmy na kanapie i piłyśmy herbatę. Za oknem falowała na wietrze flaga Polski. Babcia zawsze ją wywieszała na Święto Niepodległości. Białe-czerwone barwy miały dla niej szczególne znaczenia. Musiała dostrzec moje zainteresowanie flagą, bo po chwili zaczęła mówić: „Biały i czerwony, czystość i walka. Jaki paradoks. Ale i jaka prawda. Nasza ojczyzna przetrwała 123 lata zaborów, najazd Niemców w 39’, wkroczenie Armii Czerwonej i doczekała się wspaniałego roku 89’. A teraz, żyjąc w wolnym, niepodległym państwie, nie potrafimy się ze sobą dogadać. Tak na co dzień. W sprawach ważnych i mniej ważnych. Gdzie podziałą się jedność? Gdzie patriotyzm trwały, a nie

2 W. Szymborska, *W zatrząsieniu*, [w:] <https://poema.pl/publikacja/18715-w-zatrzesieniu> - dostęp 02.11.2017.

3 K. Ujejski, *Młodości moja!*, op. cit.

od święta? „Kochajcie Ojczyznę nie świętecznie, ale codziennie, zawsze, trwale i stale...” – mawiał przecież Kornel Ujejski⁴. Jedność, która niegdyś nie pozwoliła stłamsić w nas Polakach ducha patriotyzmu i pomogła odzyskać wolność, jest potrzebna i dziś. A ludzie budują mury zamiast mostów. Cegła po cegle. Konflikt po konflikcie. Siedzą w swoich czterech ścianach i zapełniają swą życiową przestrzeń rozmaitymi przedmiotami, łudząc się, że to da im szczęście. W gonitwie za «więcej» i «lepiej» zatracają samych siebie, depcząc takie wartości, jak: szacunek, honor, braterstwo, a ich niewyczerpalnym paliwem jest egoizm”. Słuchałam babci i ogarnął mnie niepokój. O to, że zapominamy o jedności, o którą upominał się Ujejski w słowach: „My w nieszczęściu razem!”⁵. O braku jedności, o którym mówiła babcia, i o egoizmie wiedziałam wiele dzięki własnym obserwacjom. Zdałam sobie sprawę z tego, że brak jedności jest poważnym problemem społecznym. Ale i z tego, że człowiek - z powodu braku jedności z przyrodą (której jest przecież częścią) - niszczy planetę, na której żyje. Jak wielki jest egoizm tych, którzy przyczyniają się do wymierania wielu gatunków zwierząt, produkują miliardy ton odpadów, wydobywają surowce, a nie znają przy tym żadnej miary. Jedność to wspólnota, a we wspólnocie ważne jest dobro ogółu. A ogół to nie tylko gatunek ludzki, to cała Zielona Planeta. Jeśli człowiek nadal będzie postępował w tak egoistyczny sposób, nawet „zabawki”, które wokół siebie zgromadził, nie uchronią go przed zagładą. Przed zagładą innych, siebie i Ziemi.

Lekcja trzecia – wytrwałość

„Młodości moja, ty mi bądź aniołem!

Prowadź do celu i drogą cierniową...”⁶

Salon w domu mojej babci od zawsze przypominał mi muzeum. Na ścianach, odkąd pamiętam, wisiało mnóstwo rodzinnych zdjęć, a na półkach stało pełno rodzinnych pamiątek (w tym moje

4 Słowa K. Ujejskiego. Cytat pochodzi ze strony, [w:] <http://www.lwow.com.pl/naszdziennik/ujejski.html> - dostęp 02.11.2017.

5 K. Ujejski, *Maraton*, [w:] *Wybór poezji*, Warszawa 1975, s. 59.

6 K. Ujejski, *Młodości moja!*, op. cit.

wszystkie laurki). Bardzo lubiłam ten pokój. Panująca w nim atmosfera udzielała się każdemu gościowi. Najbardziej interesowały mnie czarno-białe wspólne zdjęcia babci i dziadka. Nie pamiętam dziadka. Zmarł na raka, gdy miałam zaledwie dwa latka. Babcia często o nim opowiadała. Jak mówiła, ich miłość rozświećlały „burz rozbłyśki”, walczyli jednak o nią, a zawieszenie broni oznaczałoby kres ich miłości. Szkoda, że moim rodzicom zabrakło takiej wytrwałości. Zauważyłam, że dziś ciężko jest z w ogóle nie tylko z wytrwałością, ale i trwałością czegokolwiek. Szybko mija miłe spotkanie, cenna lekcja. Równie szybko wycierają się moje nowe dzinsy. Jednak to nie problem. Gorzej, że o wiele za szybko zapominamy o bliskich. Wytrwać w postanowieniach... Wytrwać w wierze... Jakże trudno. Pamiętam, kiedy babcia pokazała mi, jak wiązać sznurówki. Miałam wtedy 6 lat. Siedziałam pochylona nad swymi nowymi butami. Płakałam, a babcia siedziała obok mnie i mówiła: „Spróbuj jeszcze raz... I jeszcze raz...”. No więc próbowałam. Wtedy to zawiązałam piękną kokardkę. Ależ byłam z siebie dumna. Jeszcze wiele kokardek przede mną babciu. Nie poddam się tak łatwo! Twe wskazówki są mi „bronią i tarczą w potrzebie!”⁷. Wiem, co znaczy praca (nawet najskromniejsza, ale wykonywana z pasją), jedność (bo daje siłę, poczucie wspólnoty, bezpieczeństwo i szacunek wobec tradycji) i wytrwałość (kształtująca charakter, silniejsza od talentu, który bez niej nic nie znaczy).

Dzisiaj, gdy wracałam razem z mamą z cmentarza, zerwał się silny wiatr. Każdy kolejny krok wymagał ode mnie większego wysiłku, więc chwyciłam mamę za rękę. Droga była nierówna, a wiatr z każdą chwilą wzrastał i rozwiewał wszystkie liście. Miałam wrażenie, że i nas porwie do wspólnego tańca. Droga była trudna. Otuchy dodawała mi ciepła ręka mamy, która „dopingowała” mnie, aby iść dalej.

Kochanababciu, jest tyle dróg, które w świat prowadzą. Dziękuję za drogowskazy, które postawiłaś na mojej.

7 K. Ujejski, *Maraton*, [w:] <http://wiersze.annet.pl/w/,12625> - dostęp 02.11.2017.

**XIV Dolnośląski Konkurs Literacki
o Laur Złotego Pióra
„My Polacy, My Dolnoślązacy”
rok 2018**



XIV EDYCJA

Dolnośląski Konkurs Literacki o Laur Złotego Pióra



*My Polacy
My Dolnoślązacy*

MECENAT
prof. Jan Miodek

urzędniczo

WSPÓŁORGANIZATOR



ZAPRASZAJĄ

Młodzież szkół średnich, III klas gimnazjalnych
oraz VIII klas szkół podstawowych

**Dla najlepszych przewidziano
cenne nagrody!**

„Projekt dofinansowany ze środków budżetu Województwa Dolnośląskiego”

prace napisane w dowolnej formie składać do 12 listopada 2018 r.

urczysta gala - Aula Papieskiego Wydziału Teologicznego - Wrocław - 29 listopada 2018 r.

bliższe informacje u nauczycieli j. polskiego i pod adresem :

www.zlote-pioro.pl

PATRONAT MEDIALNY



niedziela



SPONSOR



PATRONAT HONOROWY

Czesław Przybyłki – Marszałek Województwa Dolnośląskiego
Pawel Remeł – Wicemarszałek Dolnośląski
Rafał Dukiński – Prezydent Miasta Wrocławia
Roman Kowalczyk – Dolnośląski Karate Olsztyn
ks. Jacek Kąkol – Arcybiskup Metropolita Wrocławski
ks. Zbigniew Kierkowski – Biskup Legnicki
ks. Ignacy Dec – Biskup Świdziński
ks. Jacek Płatek – Inspektor Inspektorat Św. Józef w Wrocławiu
Zbigniew Łoski – prezes Dolnośląskiej Izby Kramienniczej

Adrianna Kwiatkowska

Liceum Ogólnokształcące im. Bolesława Chrobrego w Kłodzku

„To, co możesz uczynić jest tylko kroplą w ogromie oceanu, ale jest właśnie tym, co daje znaczenie twojemu życiu” (Albert Schweitzer).
Refleksja na temat znaczenia jednostki w życiu społeczeństw.

Przychodził w to miejsce od wielu jesiennych, przepętnionych mgłą tajemniczości i słodczą zapachu liści dni. Nie mógł pojąć, dlaczego wybrał właśnie ten skrawek ziemi na miejsce swoich odwiedzin. Wyglądało ono jak wiele innych – oto przed oglądającym rozpościerała się przestrzeń nieskończonych, nagich i bezbronnych pól, uśpionych jakby jakimś czarodziejskim zaklęciem, pobrzmiwającym w ostrych podmuchach wiatru. Gdzieś tam było usłyszeć szczekanie wygłodniałego psa i radosny pisk wiejskich dzieci urządzających głośnie zabawy przy przegniłych zagrodach lub wykłócających się o to, które pierwsze skosztuje świeżego, śnieżnobiałego mleka. Jednak wszystkie te widoki i dźwięki, które stawały się bardziej wyraziste w słońcu jesiennego dnia, otaczały go jedynie z zewnątrz. Wytężał wszystkie swoje zmysły i koncentrował je na niewyraźnych konturach ogromnego i wzbudającego powszechną grozę muru mającego na końcu rozległego pola. Dlaczego Rada Starszych nie zdecydowała, aby go zlikwidować, tego zaprawdę nie wiedział. O murze krążyły rozmaite legendy. Opowiadano między innymi o upiornych strzygach wysysających krew z każdego, kto odważy się włożyć rękę do niewielkiego w nim wylotu. Mieszkaniec wioski niemalże codziennie zbliżał się do niego, gnany ciekawością i nieodpartą pokusą odkrycia tajemnicy roztaczającej nad nim swoją aurę.

W nocy poprzedzającej dotarcie do muru przyśnił mu się bardzo osobliwy sen: oto stał bardzo blisko owego muru, a przy nim dwunastu roślących mężczyzn próbujących z jakiegoś powodu go

zniszczyć. Następnie w miejsce mężczyzn pojawiły się cienie, którym także nie udało się wykonać zadania. Na koniec jego oczom ukazały się młoty – po wielu próbach udało im się w końcu skruszyć przeszkodę. Okazało się, że nic za nią nie było. Bolesny płacz, który od początku dało się tam słyszeć, był tylko dźwiękiem. Jednak mężczyzna dostrzegł po drugiej stronie małe przerażone dziecko, które wyciągając bezradnie ręce, prosiło o kruszynę chleba. Wieśniak wołał w stronę ludzi pracujących na polu, ponieważ sam nie miał przy sobie nic, co można byłoby spożyć. Ludzie jednak patrzyli na niego z nieukrywaną irytacją, rozdrażnieniem, niektórzy nawet z pobłażaniem. Pokazywał im brudne i wychudzone małeństwo, a oni zdawali się go nie dostrzegać, wręcz przeciwnie – uznali mężczyznę za szaleńca. Rankiem wieśniak, biorąc ze sobą niewielki orzech (nie wiedział, dlaczego to robi, przecież dziwne dziecko tylko mu się przyśniło), ruszył w stronę muru. Po dłuższej chwili dotarł wreszcie na miejsce. Jego uwagę od razu przykuł niewielki wyłom w murze, wielkości niedojrzałego jeszcze jabłka, który to owoc często pojawiał się w sadzie jego rodziców w okresie najwonnějších dni wiosennych. Przypomniawszy sobie wtedy krążącą w wiosce opowieść o strzygach i w przypływie nagłego impulsu błyskawicznie włożył rękę w dziurę. Trudno wyobrazić sobie człowieka bardziej przerażonego niż ów wieśniak, gdy poczuł na swojej ręce dotyk ręki o wiele mniejszej, niezwykle kościstej i szorstkiej. W tamtym momencie nie mógł wydobyć słowa. Po dłuższej chwili całkowitej niezdolności do wykonania jakiegokolwiek ruchu zdobył się wreszcie na odwagę, aby resztkami przytomnego umysłu i siłą pozostałej mu woli ujrzyć istotę, która go pochwyciła. Najpierw jego oczom ukazały się inne oczy – niezwykle ciemne, bystre i przenikliwe. Później jego wciąż jeszcze sztywną ze strachu rękę połaskotały drobne, ciemne włosy – ukrywały one przegniłe i wyłamane zęby kogoś, kto, jak z ulgą stwierdził mężczyzna, nie był upiorem, lecz – w co tym bardziej nie mógł uwierzyć – małym chłopcem, który wciąż trzymając rękę wieśniaka patrzył na niego z wielkim uporem i determinacją. Nie mając innego pomysłu, w jaki sposób uwolnić się od uścisku niewielkiej, aczkolwiek silnej rączki, drugą wyjął z kieszeni przyniesionego orzecha

i przerzucił go na drugą stronę muru. Dziwne stworzonko zniknęło równie nagle, jak się pojawiło.

Przybysz nie wiedział, czy to niezwykle zdarzenie i osobliwe dziecko nie były wyłącznie wytworem jego wyobraźni. W nocy, przytłoczony wątpliwościami i narastającym niepokojem, nie potrafił zmrużyć oka. Następnego dnia postanowił jeszcze raz udać się pod mur, aby sprawdzić, czy aby przypadkiem nie oszalał. Jakież było jego zdumienie, gdy już z bardzo dużej odległości widział niewyraźny zarys malutkiej rączki, która zdawała się bezwładnie zwiśać. Tym razem zaopatrzył się w niewielki kubek ciepłego mleka i kawałek sera. Istotka za murem, podobnie jak za pierwszym razem, odebrała od gościa dary, jednak, co głęboko zdumiało wieśniaka, lekko i z czułością pogłaskała jego rękę i uciekła. Odtąd do chłopca przychodził codziennie. Wcześniej z niechęcią i pogardą odnoszący się do innych mieszkańców wioski, zamknięty w sobie i głuchy na piękno tego świata, wieśniak z dziecięcą radością dzielił się tym, co udało mu się wyhodować, z niezwykle i fascynującym przyjacielem, który należał jakby do innego świata, świata poza murem. I choć dalej nie do końca wierzył, że to, co robi i widzi, dzieje się naprawdę, nie chciał, aby to się skończyło. Po każdym z takich spotkań miał wrażenie, że oto otworzyły się przed nim nieznane mu dotąd przestrzenie, pełne dobra, ciepła i piękna. Przebywał w nich z największą rozkoszą. Jego dom, wcześniej martwy, bez życia, wypełnił się perlistym śmiechem mężczyzny poruszającym każdą cząstkę jego duszy. Chociaż malec podczas żadnego spotkania nie odzywał się do przybysza ani słowem, nie przeszkadzało mu to wcale.

– Ja jestem z tamtej wsi za moimi plecami – mówił – a ty pewnie też mieszkasz w jakiejś. Tak? Może opowiem ci o tym, co zdarzyło się po mojej stronie muru? Tylko najpierw weź mleko i chleb, dobrze?

Malec zdawał się odpowiadać wieśniakowi wewnątrz swojej duszy. Podczas opowieści mężczyzny jego twarz wyrażała zadowolenie, niekiedy nawet można było odnieść wrażenie, iż bezgłośnie się śmieje. Na koniec brał podarunki i znikał w mlecznej mgle wiejskich pól, która zabierała go w miejsca niedostępne dla zwykłego śmier-

telnika. Ten rytuał trwał dziesięć lat. Dzień w dzień odbywały się, z dala od zgiełku wioski, spotkania dwóch światów. Pełne wzajemnego zrozumienia, empatii, pełne mistycznej głębi, jaka istnieje tylko między najwierniejszymi przyjaciółmi. Mężczyźnie zdawało się, że malec obdarza go coraz większym zaufaniem, jednak w dalszym ciągu nie wydawał z siebie żadnego dźwięku, jakby opiekował się jakąś wielką tajemnicą, którą mogłoby zniszczyć nawet najniewinniejsze słowo.

Minęło kolejnych dwadzieścia lat. Pewnego dnia pod murem zebrała się spora grupa wieśniaków. Zaczęli oni szydzić i naśmiewać się ze swojego schorowanego i niedołężnego już sąsiada. Twierdzili, jakoby wymyślał bzdury i opowiadał kłamstwa o rzekomym chłopcu mieszkającym po drugiej stronie, któremu codziennie przynosi jedzenie. Mężczyzna do wieczora znosił obelgi i szyderstwa, a także ciosy wymierzane przez niektórych. Płakał przy murze do wieczora. Kiedy miał już wstać z klęczek, poczuł kościstą rękę znajomej istoty gładzącą go po siwej głowie. Podniósł wzrok i zamarł. Na polu po drugiej stronie zgromadziło się wiele tysięcy ludzi. Wszyscy trzymali w rękach orzechy podobne do tego wrzuconego za mur pierwszego dnia. Chłopiec i jego sędziwy już przyjaciel spojrzeli sobie w oczy. Po twarzach obu płynęły łzy szczęścia. Istotka wskazała ręką na ogromne drzewo znajdujące się daleko za jej plecami. Był to piękny okaz orzecha, dumnie prezentujący się na tle pochmurnego nieba. Po chwili mężczyzna usłyszał upragniony od tylu lat dźwięk:

– Dziękuję, Człowieku.

Jakub Wójcik

II Liceum Ogólnokształcące im. Jana Pawła II w Dzierżoniowie

„Rzadko na moich wargach (...)

Najdroższy wyraz: Ojczyzna.

Widziałem, jak do Jej kolan –

Wstręt dotąd serca me czuje –

Z pokłonem się cisną i radą

Najpospolitsi szuje” (Jan Kasprzowicz).

Rozważania o prawdzie uczuć i postaw patriotycznych.

Od zarania dziejów egoistyczny człowiek za wszelką cenę pragnie zdobyć władzę, pieniądze czy prestiż społeczny. Naturalnym wydaje się fakt, że każdy chce walczyć o lepsze jutro dla siebie i swoich bliskich. Tymczasem historia pokazuje nam bardzo wiele przykładów ludzi, którzy – chcąc zapewnić sobie bogactwo i wpływy – uciekali się do kłamstw, oszustw, korupcji i nepotyzmu. Niestety, co niemiara takich osób i sytuacji możemy znaleźć w historii naszej Ojczyzny, zarówno tej dawnej, jak i tej współczesnej.

Druga połowa osiemnastego wieku to dla Polski trudny czas rozbiorów – podziału między Rosję, Prusy i Austrię. Był to dla naszej Ojczyzny jeden z najboleśniejszych okresów w historii, a konsekwencje tych wydarzeń odczuwamy poniekąd do dziś. Niestety, skupiamy się wyłącznie na cierpieniu, jakiemu zostaliśmy poddani w tamtym czasie, kultywujemy romantyczną martyrologię, a nie zastanawiamy się nad tym, co było przyczyną tak tragicznych wydarzeń.

Cóż, człowiek od samego początku zawsze zrzucał winę na innego człowieka. Można by tu przypomnieć znaną wszystkim historię biblijną - po spożyciu przez pierwszych rodziców owocu poznania dobra i zła Adam usprawiedliwia się przed Bogiem, twierdząc, że zjadł owoc pod wpływem Ewy. Tak jest i teraz. Najłatwiej oskarżać o nasze nieszczęścia inne narody, a wybielać naszych przodków i stawiać ich na cokołach pomników. A przecież bolesna prawda jest taka, że to skorumpowanie na-

szych dawnych elektorów, ich serwilizm i prywata przyczyniły się do wyboru króla będącego marionetką w ręku carycy Katarzyny. Stanisław August – jak pamiętamy – zrzekł się preencji do polskiego tronu i polskiej korony, oddając tym samym władzę Imperatorowej, która obiecała zapewnić mu godny byt i spłacić wszystkie długi. Oczywiście, wszystko to odbyło się pod pretekstem ratowania kraju.

Doskonale tę sytuację opisuje wybitny poeta i bard naszego narodu – Jacek Kaczmarski – w swojej balladzie *Krajobraz po uczcie*:

*A w stolicy koronacja się zaczyna
I król światowy pokazuje szyk
Ale z obecnych nie wie jeszcze nikt
Że na tortach dał napis: „Vivat Katarzyna”
Imperatorowa i państwa ościenne
Przywróćą spokojność obywatelom naszym
Przeto z wolnej woli dziś rezygnujemy
Z preencji do tronu i polskiej korony
Nieszczęśliwie zdarzona w kraju insurekcja
Pogrążyła go w chaos oraz stan zniszczenia
Pieczołowitość nasza na nic się nie przyda
Świadczymy z całą rzetelnością Naszego Imienia*

Pod przykrywką miłości do Ojczyzny król oraz polska szlachta dali przyzwolenie na zniszczenie państwa i zniewolenie całego narodu. Chciałoby się powtórzyć za Kasprowiczem: *najpospolitsi szuje (...)*. Przez chęć zaspokojenia wyimaginowanych magnackich kaprysów całe pokolenia Polaków musiały cierpieć, a nawet oddawać życie za tę wolność, którą odebrali nam zaborcy.

Uważam, że nigdy nie możemy zapomnieć właśnie o tych pokoleniach, które przez sto dwadzieścia trzy lata walczyły o odzyskanie sprzedanej niepodległości – są to nasi bohaterowie i to im należą się cześć, chwała i wieczna pamięć. Jednak, tak samo jak należy pamiętać o bohaterach, trzeba też przypominać o zdrajcach, którzy

zniszczyli potęgę budowaną przez setki lat. I choć zdaję sobie sprawę, że moja postawa wielu wyda się kontrowersyjna, to i tak będę surowym moralistą, bo doskonale wiem, że historia lubi się powtarzać:

Bo są i tacy, którzy w wolności cud potrafią wmieszać swoich sprawek brud – tak śpiewał Marek Grechuta w pięknej piosence pt. „Wolność”, a słowa te wydają się dziś bardzo aktualne.

Jednakże, obserwując dzisiejszych Polaków, zauważam, że nie wyciągnęliśmy z naszej historii odpowiednich lekcji. Nie staraliśmy się walczyć z narodowymi przywarami. W dalszym ciągu żywe są w naszym kraju niechlubne postawy: nepotyzm, pogoń za pieniądzem, niezdrowa żądza władzy. Pod płaszczykiem miłości do ojczyzny wielu pragnie zdobyć władzę dla zaspokojenia własnych korzyści, zaszczytnych tytułów oraz w trosce o zawartość swojego portfela. A przecież władza jest służbą innym obywatelom. Wybierając rządzących, stawiamy na ludzi, którzy oferują nam pomoc w rozwiązywaniu społecznych problemów i udoskonalaniu zarówno całej Polski jak i jej małych ojczyzn. Bardzo często o tym zapominamy, gdyż widzimy zakłamaną obraz. Jeśli przestaniemy ślepo dążyć do zaspokojenia własnych pragnień i zauważymy drugiego człowieka i jego potrzeby, nasz naród nie będzie podzielony i znów zapanują harmonia, zgoda i upragniony spokój. Nie mamy prawa narzucać innym naszych poglądów i potrzeb, owszem, możemy się nimi dzielić, ale nie narzucać. Przykro stwierdzić, że słowa piosenki Olgi Sipowicz, znanej jako Kora – ikony polskiej kultury, piosenkarki i poetki – pisane w latach osiemdziesiątych dwudziestego stulecia, w czasie tzw. „komuny”, nadal są aktualne w naszej polskiej rzeczywistości:

*Od tysiącleci nic się nie zmienia –
Te same żądze, te same pragnienia*

Nie możemy dopuścić, żeby fundamenty naszego domu, którym jest Polska, były naruszane przez wewnętrzne konflikty między rodakami. Musimy stać się narodem mądrym, gdyż tylko naród mądry może wybrać mądrą władzę i żyć tak, żeby wszyscy jego członkowie byli szczęśliwi.

„Rzadko na moich wargach (...)

Najdroższy wyraz: Ojczyzna.

Widziałem, jak do Jej kolan –

Wstręt dotąd serca me czuje –

Z pokłonem się cisną i radą

Najpospolitsi szuje” (Jan Kasprówic).

Rozważania o prawdzie uczuć i postaw patriotycznych.

Myśląc nad tym, jak napisać tę pracę, zadałem sobie proste pytanie: czym jest patriotyzm, i byłem szczerze zdziwiony, kiedy uświadomiłem sobie, że nie potrafię na nie odpowiedzieć. Oczywiście mógłbym kilkoma kliknięciami sprawdzić w Internecie, jednak nie chodziło mi o suchą, encyklopedyczną definicję, raczej miałem na myśli, co znaczy on dla mnie i czym jest dzisiaj. Skłoniło mnie to do wielu refleksji i wniosku, że pojęcie to stało się dziś jakieś takie mdłe i rozmyte. Obecnie większość społeczeństwa uważa się za patriotów. Powinno mnie to cieszyć, a jednak napawa niepokojem i to nie dlatego, że nie kocham Polski, bo gdy ktoś mnie pyta, czy jestem patriotą, to odpowiadam bez chwili wahania, że tak. Martwi mnie to, jak bardzo zatraciliśmy istotę tej pięknej idei.

Ciekawym zjawiskiem jest amerykański patriotyzm. Obywatele USA bardzo kochają swój kraj i to widać: przed wieloma domami powiewa tam flaga, przed każdym meczem koszykówki odśpiewywany jest hymn, w szkolnych klasach wiszą obrazy o narodowej tematyce. Wszystko to jest dobre i stanowi wzór do naśladowania, jednak mieszkańcy Stanów poszli o krok za daleko. Patriotyzm wszedł tam w strefę komercji. Sądzę, że bielizna to nie jest właściwe miejsce na umieszczenie barw narodowych bądź godła. Uważam to za wyraz braku poszanowania dla ludzi, którzy oddali za nie swoje życie. W Polsce na szczęście nieczęsto można zaobserwować coś podobnego - w Ameryce przeciwnie.

W kwestii ubioru nie można nie wspomnieć o obecnie szalenie popularnej w naszym kraju modzie na odzież patriotyczną (oczywiście wyłączając bieliznę). Przyznam się, że nie jest to dla mnie temat łatwy, ponieważ sam posiadam w swojej szafie kilka koszulek o tej tematyce, jednakże od pewnego czasu jej nie opuszczają. Dlaczego? Odpowiedź jest prosta: nie chcę się identyfikować z ludźmi, którzy generalnie mają swój kraj w głębokim poważaniu, a jednak noszą odzież z napisami mówiącymi coś zupełnie innego. Są oni hipokrytami albo po prostu bezmyślnymi idiotami podążającymi za trendem, którego nawet nie rozumieją. W ogóle myślę, że można to już nazwać jakąś subkulturą pseudo-patriotów. Żeby było jasne, nie uważam, że uzewnętrznianie w ten sposób swojej miłości do ojczyzny jest czymś złym, bo przez pewien czas sam z taką myślą odziewałem się w ubrania o tematyce narodowej. Chodzi mi raczej o to, co dana osoba próbuje wyrazić, nosząc np. koszulkę z napisem “ŚMIERĆ WROGOM OJCZYZNY”, bo to właśnie jest najistotniejsze, i o ile jak najbardziej zgadzam się z tym hasłem, to jednak odnoszę nieraz wrażenie, że dumny właściciel widzi tam tylko “ŚMIERĆ WROGOM”, a ojczyzna schodzi na dużo dalszy plan. Wspomnę jeszcze, że generalnie nie mam nic przeciwko patriotycznym T-shirtom, jednak inne części garderoby jak spodnie, czapki, rękawiczki itd. wywołują grymas niesmaku na mojej twarzy.

Czasem się zastanawiam, co jest bardziej obrzydliwe: flaga na majtkach czy przedwyborcze i nie tylko zawody polityków na to, kto jest większym patriotą. Zawsze dochodzę do wniosku, że jednak to drugie, bo o ile pierwszy występek można popełnić bezmyślnie i poniekąd bez świadomości, że czyni się coś złego, o tyle nasi kochani politycy są w pełni świadomi tego, co robią i czynią to z wyrachowaniem. W tym miejscu można przytoczyć fragment wiersza Jana Kasprówicza:

„Rzadko na moich wargach (...)

Najdroższy wyraz: Ojczyzna.

Widziałem, jak do Jej kolan –

Wstręt dotąd serca me czuje –

Z pokłonem się cisną i radą

Najpospolitsi szuje”

Drażni mnie, gdy patriotami nazywają się ludzie, którzy tworzą podziały między Polakami, zarówno lewa jak i prawa strona. Jeszcze straszniejsze jest to, że społeczeństwo ślepo tym ludziom wierzy. Myślę, że patriotyzm jest w dużej mierze umiejętnością zdrowego i rozsądnego myślenia o przyszłości swojej ojczyzny, a nie poddawaniem się papce wyborczej i medialnemu bełkotowi. Politycy chwalą się swoim pseudo-patriotyzmem, a to przecież wcale nie o to chodzi. Jeżeli ktoś jest patriotą, to po prostu nim jest i nie musi się z tym obnosić.

Powinniśmy mówić i widzieć dobre strony naszej ojczyzny, jednak jest to raczej jasne i chciałbym przejść do nieco mniej oczywistej kwestii, a mianowicie do tego, że równie ważne jest dostrzeganie jej wad, a konkretnie wad ludzi, którzy ją tworzą. Pozwala nam to je eliminować, a przez to stawać się lepszymi ludźmi. Dobrym przykładem jest tu utwór zespołu Kult pt. „Polska”. Kazik Staszewski wytknął w tej piosence nasze typowe narodowe wady nie dlatego, że nienawidzi Polski i Polaków, tylko dlatego, że chciał, abyśmy dostrzegli, w czym jesteśmy słabsi i co trzeba naprawić. Dlatego, jeżeli ktoś mówi o naszych złych stronach, nie osądzajmy go z góry, tylko się zastanówmy, czy aby to, co ta osoba mówi, nie jest czasem prawdą. Polska nie jest doskonała, podobnie jak każdy inny kraj na świecie, jednak nie ulega wątpliwości, że dążenie do ideału jest właściwe.

Patriotyzm trudno jednoznacznie zdefiniować, gdyż jest to jednocześnie postawa, uczucie, idea... To jest miłość do ojczyzny i przywiązanie do niej. Smutne, jak bardzo znaczenie tego słowa zostało wypaczone; sądzę jednak, że każdy człowiek gdzieś ma głęboko w sobie ukrytą tę ideę, ale nie zawsze wie, co z nią zrobić, jak ją wyrazić. Ubranie koszulki z jakąś ważną datą czy pronarodowym hasłem nie czyni z nikogo patrioty. Może to być forma wyrażenia przywiązania do ojczyzny, ale nic ponadto. Niezwykle ważne jest dostrzeganie wad swojego narodu. Sprawia to, że można je zniwelować. Ignorowanie ich prowadzi tylko do zadufania w sobie i powolnego upadku fundamentalnych wartości. Myślę, że nie ma sensu szufladkować patriotyzmu i próbować opisać, czym jest on dokładnie, gdyż zupełnie mija się to z celem. Patriotyzm w pełni zrozumie tylko prawdziwy patriota.

„To, co możesz uczynić jest tylko kroplą w ogromie oceanu, ale jest właśnie tym, co daje znaczenie twojemu życiu” (Albert Schweitzer).

Refleksja na temat znaczenia jednostki w życiu społeczeństw.

BY KREW W ŻYŁACH NIE PŁYNEŁA NA MARNE

Budzimy się w szarawo przybrudzonej rzeczywistości. Opary dnia poprzedniego prędko prześlizgują się przed naszymi zamgłonymi oczami w odmęty przeszłości. Kolejny dzień przepadł – nie wróci – nigdy nie wniesie nic do historii świata.

Czy to nie właśnie ta myśl czasem całkowicie niespodziewanie pojawia się w umysłach statystycznych, przeciętnych Polaków z klasy średniej, toczących boje ze sobą, z pracą, cichymi wrogami z sąsiedztwa, czy nawet nieuśmiechającą się do nich dżdżystą, jesienią pogodą? O ile latem problem wydaje się znikać, zdawać się może, że tym razem na zawsze, to jednak powraca, dobitnie, z całej siły wczepia swoje oślizgłe odnóża pomiędzy kręgi kręgosłupa swojego nowego żywiciela i niestrudzenie spełnia mroczne zadanie, przesyłając w akcie fałszywej symbiozy najbardziej szkodliwe podszepty. *Jesteś bezwartościowy. Nie angażuj się w nic, nie będziesz przecież nic z tego mieć. Wybory? Nie idź, nie marnuj swojego czasu, przecież twój głos i tak nic nie zmieni. Chcesz podzielić się swoimi przemyśleniami ze światem? Nawet nie próbuj, wszyscy cię wyśmieją, nic nie zdziałasz, tylko przyniesiesz wstyd. Znowu chcesz przekazać tej pani chorującej na makroglobulinemię Waldenstroma pieniądze na leczenie? Nawet się nie oszukuj, twój wkład będzie niczym przy tym, ile środków wymaga pokonanie choroby. Nikt nie zauważy twojej marnej wpłaty. Nic nie możesz. Jesteś nikim. Twoja obecność na świecie jest bezużyteczna. Dlaczego w ogóle jeszcze istniejesz?* Szkodnik nie ulega łatwo usunięciu. Z każdym dniem wzrasta w siłę, osłabiając jednostkę. Niestraszna mu dezynfekcja, dezynsekcja, deratyzacja ani żadna

inna de –...– cja. To przykre, ale to właśnie ten mały pasożyt jest głównym oskarżonym w sprawie postępującego samounicestwienia społeczeństw.

Według filozofii Władysława Kozłowskiego, człowiekowi przysługuje najwyższa pozycja w hierarchii wszelkiego istnienia. To właśnie jednostka jest obdarzona siłą woli i umiejętnościami umożliwiającymi uzyskanie swojej autonomii. Istotą życia nas, prostych ludzi, jest dążenie do dokonania zmian w świecie, w którym dane nam jest spędzić długie lata.

Skoro naszą powinnością jest godne wypełnienie kilku stron w kronice ludzkości, dlaczego tego w pełni nie wykorzystujemy? Nie istnieje żadne prawo, które upoważniałoby do podejmowania działań w społeczeństwie tylko najbogatsze, najstarsze czy najbardziej szanowane jednostki. Każdy mieszkaniec planety Ziemi ma jednakowe prawo do decydowania o swoim życiu, o kawałku skorupy ziemskiej, po której stąpa. Jeżeli gdziekolwiek spoczywa zapis zakazujący człowiekowi bycia sobą, to jestem gotowa w manifestie zatopić w Wiśle dwie ćwiartki swojego dobytku, ot tak... symbolicznie.

Człowiek może wszystko... Ale bywa tak, że nie robi nic, by zmienić bieg swojego życia. Każdy taki przypadek świadczy o małej wygranej doskonale już znanego szkodnika. Podstawowym kontrdziałaniem jednostki powinno być odkrycie własnego ja, otwarcie oczu na swoje ogromne możliwości, zaakceptowanie wad i pokochanie samego siebie, bo tylko społeczeństwo złożone ze zdrowych, wartościowych indywiduów jest zdolne do rozwoju, a w następstwie do osiągnięcia wielkich celów.

Ostatnie dni września 2018 obfitowały w iskry nadziei. Świat usłyszał wówczas na szczycie UNICEF słowa Kim Nam Joon'a, lidera południowokoreańskiego zespołu BTS, prowadzącego kampanię „Love Myself”, której celem jest zapewnianie młodzieży szczęśliwego, wolnego od przemocy rozwoju. Kim Nam Joon, znany również jako RM rozpałił ogień w niepewnym sercu każdej jednostki: „Być może popełniłem błąd wczoraj, jednak wczorajszy ja, to nadal ja. Dziś jestem tym, kim jestem, z moimi wszystkimi wadami i błędami. Jutro prawdopodobnie będę odrobinę mądrzejszy, ale to wciąż będę

ja. Te wady i błędy składają się na to kim jestem, kreują najjaśniejsze gwiazdy w konstelacji mojego życia. Udało mi się pokochać siebie za to kim jestem, za to kim byłem i za to kim mam nadzieję się stać.” Słowa młodego artysty stanowią poważną broń w walce o zaakceptowanie siebie.

Wiara we własne „ja” to pierwszy krok. Kolejnym może być odezwanie się. Zaistnienie. Wystąpienie przeciwko jałowej egzystencji. Odważne życie każdą chwilą. Nim się obejrzymy, będziemy stąpać po dywanie zwycięstwa. Działanie pojedynczej istoty ludzkiej może nie wydawać się znaczące, jednak setki, tysiące, miliony takich istnień tworzą żywą, niezwykle podatną na modyfikacje cywilizację. Z pozoru nieistotna decyzja, podjęta przez jednostkę, wywołuje skromny efekt motyla i jest w stanie zmienić świat, poczynając już od najbliższego otoczenia. Nazywamy się ludźmi, więc powinniśmy mieć pełną świadomość naszych powinności wobec świata. Aktywne tworzenie społeczeństwa to powód, dla którego niepozorny organizm złożony z mięśni, kości i krwi może z honorem nosić miano człowieka.

Zamknij w głębi umysłu ideę Alberta Schweitzera tak, by nie zdołały jej osiągnąć odnoża szkodnika żyjącego na rubieżach twojej świadomości i pamiętaj, że „to, co możesz uczynić, jest tylko kroplą w ogromie oceanu, ale jest właśnie tym, co daje znaczenie twojemu życiu”. Niech jutrzejszy poranek nie będzie kolejnym szarym porankiem, wstępem do monotonnego dnia i zakurzonego wieczoru. Niech jutrzejszy dzień będzie twoim nowym, obiecującym początkiem.

„To, co możesz uczynić jest tylko kroplą w ogromie oceanu, ale jest właśnie tym, co daje znaczenie twojemu życiu” (Albert Schweitzer).

Refleksja na temat znaczenia jednostki w życiu społeczeństw.

Żyję w świadomości, że to ja zostałam zamknięta w swoistej rodzaju klatce i nie mogę się pożegnać. Ciężko zaakceptować odejście kogoś, kto był twoim autorytetem. Ze zdaniem kogo liczyłaś się najbardziej. W kim widziałas pasję i – poza nauczycielem – przyjaciela. Jego uśmiech niczym ciepły, wiosenny poranek potrafił wlać promyki słońca w nas – zgorzkniałych nastolatków, częstujących się ironią i fałszem jak czekoladą.

Czy da się odpowiednio pożegnać? Wylać wszelkie uczucia z potoku myśli, aby oddały to, co w pełni czujemy? Myślę, że nie. Ta praca nigdy nie będzie idealna. W końcu urodziliśmy się po to, by być prawdziwymi – nikt nie mówił nic o stanowieniu z nas samych żywych podmiotów kultu. Kiedy miałam szansę go poznać, nie powiem, że wywołał na mnie piorunujące wrażenie. Nie był elegancko ubrany, powiedziałabym, że nie przykładał do tego uwagi. Zarost i koszula w kratę, ledwo napoczęta kanapka i wielki rozciągnięty sweter. Tony papierów i litry kawy. Kilometry przebyte na chudych, długich nogach. Delikatne spojrzenie oprawione jasnymi oczyma. I uśmiech. Och, co to był za uśmiech! Swoją serdecznością ogrzałyby Antarktydę. Wyrozumiały, odpowiedzialny, zabiegany, lecz trzymający się zasad w chaosie prozy życia. Nigdy nie został doceniony, wiecznie skrępowany i skromny. Lubił siadać na ławce z nogami na krześle i bujać się – przypominał mi wtedy beztroskie dziecko. Ufne i otwarte. Z sercem na dłoni.

Pozwalał nam na wiele, nawet kosztem niewypełniania swoich obowiązków. Najważniejsi byli uczniowie. Uczył nas dyskutować. Z początku między nami – świeżo upieczonymi licealistami

– dochodziło do ostrych wymian zdań, ale z czasem nauczyliśmy się panować nad emocjami, umiając jednocześnie bronić swojego stanowiska i podważać czyjeś odpowiednio dobranymi argumentami. Wiele razy mówił, że uwielbia nas słuchać – nie odzywał się wtedy za wiele, ale bacznie nas obserwował, patrząc na nas niczym na niemowlaki stawiające swoje pierwsze kroki. Kiedy upadaliśmy, podbiegał z pomocą. Nigdy nikomu jej nie odmówił. Nikt nie musiał nawet prosić. Jego obecność była oczywista. Robił tak wiele, tak wiele chciał jeszcze zrobić... Godziny przegadanych przerw, kwadransy zmartwień i miliony słów zrozumienia, wsparcia, które zostawił po sobie. Podkreślał, że nigdy nie chciał być tym, kim jest – mówił, że nauczycielem został z przypadku, ale nigdy się z tym nie zgadzałam. Jak człowiek może wypierać się swojego powołania? Czy on naprawdę tego nie widział? Wtedy myślałam, że Bóg chciał ze mnie zakpić. Jego obecność była tak oczywista, jak to, że słońce wschodzi z dnia, czy to, że po dniu nastaje noc.

W ten piękny, zimowy dzień o godzinie 6 rano czuliśmy widmo, które wisiało nad bliżej nieokreśloną przyszłością. Poczucie niepokoju i niepewności. Otepienie nauczycieli i dyskretnie spadające łzy. Po dotarciu na miejsce obozu zimowego jego nieobecność nie zrobiła na nas wrażenia – zawsze dojeżdżał. Kiedy w intencji mszy padło sformułowanie „świętej pamięci”, a chwilę później imię i nazwisko tak dobrze nam znane, oprócz łez rozmażujących widok i cichych jęków, czas stanął. Potem było kilka dni w przyspieszeniu. Trzymaliśmy się, bo byliśmy razem. Razem w obrazie całego bólu i złości towarzyszącej nam przy Jego stracie. Pan Profesor zawsze wiedział, co i kiedy należy zrobić, na przekór sam sobie czasami nie dotrzymywał terminów, a ten został wyznaczony odgórnie. Nie wiedziałam wtedy czy czuć do Boga złość, czy po prostu smutek. Wiele razy padało pytanie: „dlaczego?”. Odpowiedz na to pytanie nigdy nie została mi dana. Myślę, że i tak nie zaakceptowałabym żadnej.

Mijały miesiące, które zlewały się w całość. W jeden długi okres, podczas którego wypaliłam się. Przestałam czuć chęci i zapał do języka polskiego, będącego od szkoły podstawowej, moim ulubio-

nym przedmiotem, tym któremu oddawałam nie tylko czas, ale i serce. Nagminnie omijałam zajęcia języka polskiego. Nie byłam w stanie pogodzić się z jego brakiem. Nie chciałam zaakceptować jego odejścia i nie pozwalałam mu odejść... Kiedy zostałam poproszona przez nowego polonistę o napisanie kilku słów do szkolnej gazetki, poczułam strach wynikający z dużej, w moim mniemaniu, odpowiedzialności. Zawsze czułam się dobrze z notesem i długopisem w ręku. Był to najłatwiejszy sposób wyrażenia zarówno uczuć, jak i tego kim jestem. Kiedy słowa popłynęły wraz ze łzami, zrozumiałam, że muszę się pożegnać. Powoli zaczęłam otwierać się na otaczającą mnie rzeczywistość, na ludzi wokół, przyjaciół, którzy byli przy mnie, gdy działo się najgorsze. Rodziców, którzy borykali się ze swoimi problemami, biorąc na swoje brzemię również moje, nauczycielkę, która dała mi szansę, pomimo tego, że ja nie umiałam w pełni dać jej tego samego od siebie.

Z perspektywy czasu widzę, ile rzeczy zmieniła jego śmierć. Widzę, ile się zmieniło i że wszyscy dorośliśmy. Człowiek uczy się całe życie, a Pan Profesor uczy nas nawet po śmierci. W miarę możliwości zachodzimy do niego z moją przyjaciółką, przynosząc mu kwiatki, o które niegdyś sam dbał w ogródku wujków, którymi się zajmował. Siadamy tam na ławce i rozmawiamy, jakby tu był. Opowiadamy o tym, co się dzieje, co nas boli, z początku też wyrzucałyśmy mu, że nas zostawił. Brakuje nam Go. Wraz ze swoim odejściem pozostawił nie tylko smutek i żal, ale pustkę w życiu wielu wychowanków. Wpłynął na tak wielu z nas. Gdyby to było możliwe, chciałabym zatrzymać Pana Profesora tu, z nami. Podobno każda napotkana osoba w naszym życiu daje nam jakąś lekcję – lekcje Profesora Kaczorowskiego były najważniejszymi w moim życiu.

Na niebie pojawia się słońce, tak ciepłe jak to, które odwiedziło nas podczas pogrzebu, promienne jak jego uśmiech i jasne jak jego oczy. Będąc teraz w klasie maturalnej borykam się z problemem dotyczącym przyszłości. Nie wiem, co dalej. Rozmawiam o tym z rodziną, przyjaciółmi. Myślę, truję się i walczę. Pewnego dnia przypomniał mi się Pan Profesor mówiący o swoim zawodzie jako o przypadku, nie

zauważając tego, kim dla nas był. Pomyślałam wtedy o tym, ile mówiło się na pogrzebie o odwiedzaniu grobu, pamięci, tablicach pamiątkowych i trenach upamiętniających. Kilka tygodni później grób wiał pustką płomiennych obietnic. I choć zmartwił mnie ten widok, wiem, że pamięć to nie tylko wypalający się znicz i więdnące kwiaty.

Pomyślałam o tym, co nam przekazał, o częstce, która ciągle nam towarzyszy – tej, którą wlał w nas wraz z ciekawością świata, otwartością i zapałem, którego był pełen, nawet jeśli nie miał sił, walczył o życie innych, kosztem swojego zdrowia. Pomyślałam, że częstka, jego, która jest we mnie, może być przekazana innym, jeśli tylko zgodzę się na wypełnienie powołania do dzielenia się tym promykiem z innymi. Życie to według mojej religii służba innym i dzielenie się dobrem, które otrzymujemy. Jeśli zaufam Bogu na tyle, na ile Pan Kaczorowski Mu ufał, będę w stanie dokonać wielkich rzeczy. Może nie zapisał się Pan na kartach historii, ale Pana dobroć, pasja i wiara w człowieka zapisała się nieodwracalnie w sercach wielu z nas. To wszystko dzięki Panu, Panie Profesorze!



**XV Dolnośląski Konkurs Literacki
o Laur Złotego Pióra
„My Polacy, My Dolnoślązacy”
rok 2019**



XV JUBILEUSZOWA EDYCJA

Dolnośląski Konkurs Literacki o Laur Złotego Pióra

*My Polacy
my Dolnoślązacy*

MECENAT
prof. Jan Miodek

WSPÓŁORGANIZATOR



ZAPRASZAJĄ

młodzież szkół średnich
oraz VIII klas szkół podstawowych

dla najlepszych przewidziano
cenne nagrody!

„Projekt dofinansowany ze środków budżetu Województwa Dolnośląskiego”

prace napisane w dowolnej formie składać do 12 listopada 2019 r.
uroczysta gala – Aula Papieskiego Wydziału Teologicznego – Wrocław – 5 grudnia 2019 r.
bliższe informacje u nauczycieli j. polskiego i pod adresem:

www.zlote-pioro.pl

PATRONAT MEDIALNY



niedziela



SPONSOR



PATRONAT HONOROWY

Cezary Przybyłki – Marszałek Województwa Dolnośląskiego
Paweł Henzlik – Wojewoda Dolnośląski
Jacek Sotyk – Prezydent Miasta Wrocław
Ryszard Krawczyk – Dolnośląski Kurator Oświaty
ks. Jacek Knap – Arcybiskup Metropolitalny Wrocławski
ks. Józef Krawczyk – Biskup Legnicki
ks. Ignacy Dac – Biskup Świdziński
ks. Jacek Płan – Inspektor Inspektorat w Janie Borku we Wrocławiu
Zdzisław Łosiński – Prezes Dolnośląskiej Izby Kameralnej

Zofia Di Felicianantonio
Publiczne Liceum Salezjańskie

„ (...) dobrze być tam, gdzie człowiek ma swoje miejsce (...) dobrze mieć swoją bezpieczną przystań, do której zawsze można wrócić” (Stephen King).
O moim intymnym miejscu na ziemi dolnośląskiej.

GDZIE JEST MICHAŁ?

Wchodzę. Ogromne drzwi głośno się zatrząskują. Mijam małą, boczną kaplicę, siadam w jednej z ostatnich ławek w nawie głównej. Ostatnie promienie zachodzącego słońca przechodzą przez kolorowe witraże i padają na czerwone cegły. Cisza. Michał Archanioł przyjaźnie spogląda na mnie z ołtarza salezjańskiego kościoła. Wydaje się, że siedzę sama, jednak tak naprawdę jest jeszcze On. Zamykam oczy i modlę się. Rozmawiamy. Tylko ja i On.

Nagle na moim ramieniu czuję ciężką dłoń i słyszę głos: „Co ty tu robisz, niewiasto? Przeszkadzasz nam w pracy, zejdziesz z placu budowy!”. Otwieram oczy. Widzę tony piachu, cegieł i drewna, a wśród nich kilku mężczyzn ubranych w dość dziwny sposób – mieli na sobie tkane koszule i futrzane czapki. „Co tu się dzieje? Gdzie jest mój kościół?” – mówię przerażona. „Panienko, nie ma jeszcze, dopiero będzie” – odpowiada szef całego przedsięwzięcia. W jednej chwili zniknęły wszystkie znane mi okoliczne obiekty: szkoła, plebania, park Stanisława Tołpy. Najważniejsze pytanie brzmi jednak: „Co się stało ze świątynią pod wezwaniem Michała Archanioła?”. Moje ulubione miejsce rozpułnęło się w powietrzu, a ja znalazłam się w samym środku zagadkowej rzeczywistości. Niepokojnie rozglądam się wokoło. W całkiem bliskiej odległości widzę kilka kamienic, budynek kształtem przypominający klasztor, mury, rzekę oraz duży kościół. Sporo ludzi spaceruje pobliską „ulicą”, jeśli można ją tak w ogóle nazwać, bo błoto po kostki utrudnia poruszanie się. Podchodzę do sztywnie ubranego mężczyzny z papierami w dło-

niach. „Dzień dobry, który mamy rok?” – pytam. „Najprawdopodobniej 1139, waćpanno. Skąd to pytanie?” – odpowiadamój rozmówca. „Niemożliwe! Przed chwilą był 2019! Kim pan jest i co oni tu budują?” – mówię zszokowana. „Nazywam się Piotr Włostowic i jestem fundatorem tego powstającego właśnie opactwa benedyktynów i tej małej kapliczki pod wezwaniem św. Michała Archanioła. To w 2019 roku istnieją już podróże w czasie?”. „Właśnie tu pojawia się problem, bo jeszcze ich nie wymyślono”. „To co panienka tu robi?”. „Też się zastanawiam...”. Odchodzę kilka kroków w stronę placu budowy. Opieram się o drewniane rusztowanie i wtedy coś ciężkiego spada mi na głowę. Świat zaczyna wirować, a ja osuwam się na piaskowe wzgórze.

Ciemność na kilka chwil zawładnęła moim umysłem. Nic nie widzę ani nie słyszę. Jakby parę minut później powoli otwieram oczy. Nie ma już gór z drewna ani cegieł. Leżę w trawie, a do moich uszu dobiegają odgłosy rozmów. Powoli wstaję. Widzę park Tołpy. Znowu jestem w moim Wrocławiu! Po prawej stronie znajdują się znajome budynki Wydziału Architektonicznego Politechniki Wrocławskiej, a z lewej po stalowych szynach przejeżdża starodawny tramwaj. No właśnie – starodawny. Podbiegam do przystanku, a tam niemieckie rozkłady jazdy. Czytam, ale daty nie ma. Odwracam się i wzrokiem szukam mojego kościoła. Coś widać! Pędzę w stronę dwóch podobnych wież. Nagle przypadkiem wpadam na jakąś studentkę, która prawdopodobnie wracała z wykładu. „Przepraszam panią” – mówię kaleczonym niemieckim. „Nic się nie stało. Wyglądasz trochę na zagubioną, może w czymś ci pomóc? Nazywam się Edyta Stein, mieszkam tu niedaleko” – odpowiada powoli i wyraźnie przemila kobieta. Nie wierzę własnym oczom. Oto przede mną stoi przyszła zakonnica, męczennica i patronka mojej szkoły. „Który mamy rok?” – pytam w końcu zaskoczona. „Co za pytanie! 1910 oczywiście!” – wykrzykuje zdziwiona Edyta. Rozmawiamy dalej. Obecna studentka odpowiada na moje osobliwe pytania bardzo wyczerpująco. Mówi, że niedługo wyjedzie na studia do Getyngi, aby tam się rozwijać. „Mogłabyś mnie zaprowadzić do kościoła św. Michała Archanioła?” – pytam w końcu. „Chyba to ten naprzeciwno, ale nie jestem wierząca, nie powiem ci dokładnie” – mówi Edyta. Wtedy jeszcze nie

wiedziała, jak potoczy się jej dalsze życie i że w wieku trzydziestu jeden lat przyjmie chrzest. Żegnam się z przyszłą świętą i idę w stronę skrzyżowania ulic Wyszyńskiego i Nowowiejskiej (oczywiście wtedy miały inne, niemieckie nazwy). Nie istniała jeszcze wtedy oczywiście sygnalizacja świetlna, a ruch drogowy o tej porze był wzmożony. Rozglądam się. Tak bardzo chce być w moim ulubionym kościele. Jestem już tak blisko. Z daleka widzę nawet główną zakrytą przez drzewa. Wyższa wieża wystaje ponad okoliczne budynki. Szybko przechodzę przez jezdnię, ledwo uchodząc z życiem, gdyż prawie rozjechał mnie tramwaj. Do mojej ziemi obiecanej pozostało jeszcze kilkadziesiąt metrów, już widzę świątynię. Nagle słyszę grzmoty, zaczyna padać deszcz. Zza pleców dochodzi do mniedonośny głos: „Nie tym razem” i sytuacja się powtarza – padam na ziemię niczym porażona piorunem, a świat zmienia się w ciemność.

Znów się budzę. Po raz kolejny leżę na trawie, wszystko wygląda identycznie jak poprzednio. Powoli wstaję. Nagle nad moją głową przelatuje kilka radzieckich samolotów z gwiazdami na skrzydłach. Przerażona biegnę w stronę kościoła. W oddali słyszę odgłosy spadających bomb. Po drodze podnoszę wyrzuconą przez kogoś niemiecką gazetę. Szukam daty. Jest! 13 lutego 1945 roku. Końcówka drugiej wojny światowej, Twierdza Wrocław w jej prawdziwym, a nie stadionowym wydaniu. Nadal słyszę szum samolotów, a w oddali nawet pojedyncze strzały z karabinów. Przestraszona przyspieszam. W oddali kolejna bomba spada z nieba na zabytkowe budynki. W końcu zdyszana zatrzymuję się przed głównym wejściem. Powoli otwieram ciężkie drzwi. Zamykają się za mną z hukiem. Tutaj jest spokojnie. Z zewnątrz nie dobiegają tu odgłosy walki. Kościół jest pusty, ponieważ prawie wszyscy mieszkańcy zostali już dawno ewakuowani. Ołtarz główny ani boczne kaplice nie przypominają jednak współczesnej świątyni. Ubogi wystrój świadczy o braku funduszy tutejszych kapłanów. Nie ma portretu księdza Bosko, prezbiterium świeci pustkami. Siadam w jednej z ławek. W końcu czuję się bezpiecznie. Robię znak krzyża i zamykam oczy. On tu jest. Rozmawiamy. Tylko ja i On, nikt więcej.

Czuję lekkie szturchnięcie. „Przepraszam bardzo, już późno, muszę zamknąć kościół”. Odwracam się. Widzę pana Józefa, naszego kościelnego. „Nie wie pan, jak się cieszę, że tu jestem” – odpowiadam uradowana. „Ja też, ale chętnie poszedłbym już do domu. Proszę iść do siebie”. Wychodzę. Widzę szkolne boisko, parking oświetlony dwiema latarniami, sznur samochodów przejeżdżających ulicą Wyszyńskiego. Cieszę się, że mogę tu być. Pan kościelny odchodzi w stronę plebani. Jeszcze na chwilę siadam na schodach przy bocznym wejściu do świątyni. Wszystko wydaje się być takie, jak dawniej, ale jednak jest coś innego. To moja więź z tym miejscem się pogłębiła. Jest mi tutaj tak dobrze, że aż nie chce wracać do domu. Cała historia tej okolicy przeleciała przed moimi oczami, nareszcie odzyskałam mój kościół, moje intymne miejsce na ziemi dolnośląskiej. I znów jesteśmy razem. Rozmawiamy. Tylko ja i On.



Wiktoria Pętał

Szkoła: Liceum Ogólnokształcące nr VIII we Wrocławiu

„Łyżka dziegciu popsuje beczkę miodu”. Rozważ aktualność tego przysłowia.

Kiedy 21 sierpnia Roku Pańskiego 1968 Związek Radziecki najechał Czechy, zniknęły załączki liberalizmu, który zaczął się tworzyć podczas praskiej wiosny. Zniknęła wolność słowa, miała też zniknąć religia. Kościoły zamykano, a ich skarbcze opróżniano. Brat Wojtych z zakonu kapucynów od wieków opiekujących się praską Loretą, patrzył z niemą grozą na to co działo się wokół niego. Przyjdał, wiedział, że przyjdą i tu, ale nie sądził, że stanie się to tak szybko.

Hiobowe wieści przyniósł mu brat Zlatko, pewnego listopadowego poranka.

– Co?! – brat Wojtych zerwał się na równe nogi, przewracając kubek.

– Wywożę wszystko, co cenniejsze rzeczy przetapiają albo sprzedają – mówił powoli blady jak ściana brat Zlatko. – Kazali nam zrobić inwentaryzację.

– O nie! – powiedział z mocą brat Wojtych. – Po moim trupie! Ja nie dam! Ja nie pozwolę, słyszysz Zlatko?! – uderzył dłonią w stół, kubek potoczył się aż do krawędzi i spadł z cichym, pełnym wyrzutu brzękiem, pękając na dwie części.

– Więc co zamierzasz? – brat Zlatko kucnął, by pozbierać resztki kubka.

– Nie wiem... – zaczął nerwowo krążyć po swoim gabinecie, pocierając nasadę nosa. – Pójdę do Komitetu, postaram się to wyjaśnić. Może jest jakiś sposób.

Zlatko ze smutkiem skinął głową, on też rozumiał powagę sytuacji. Nie mieli szans, ale trzeba było walczyć. Brat Wojtych w pośpiechu naciągnął na siebie płaszcz i nie kłopotząc się zapina-

niem wypadł na ulicę. Do siedziby administracji niemal pobiegł, potrącając po drodze przechodniów. Niektórzy rzucali mu krzywe spojrzenia, habit nie budził już zupełnie szacunku.

Brat Wojtych był z siebie naprawdę dumny, udało mu się nie zrobić krzywdy żadnemu z niemiłosiernie powolnych i niekompetentnych urzędników. A mógłby. I chciałby. Po trzech godzinach krążenia po wąskich, wiecznie zadymionych pokojach, odesłano go wreszcie do Krystowa Ludda, dyrektora projektu zamykania kościołów. Krystow był potężnym, jowialnym mężczyzną o czerwonej twarzy i obwisłych policzkach dobrze spasionego prosięcia. Brat Wojtych skłonił mu się sztywno, wchodząc do gabinetu.

– A witam, witam, towarzyszu – powiedział z naciskiem Krystow, wskazując mu krzesło naprzeciwko siebie. – Właśnie telefonowali do mnie z informacją o waszym przyjeździe. Proszę, siadajcie – zachęcił, bo brat Wojtych dalej stał, sztywny, jakby kij połknął.

– Ja... - zaczął brat Wojtych i urwał, bo rzeczywiście, nie wiedział co powiedzieć. Jak do tej pory improwizował, ale teraz kiedy przyszło do konkretów, miał pustkę w głowie.

– Widzicie, towarzyszu – westchnął Krystow z cierpienną miną. – Tak to z wami, klechami, już jest. Robicie zamieszanie, a sami nie wiecie, o co wam chodzi – uśmiechnął się z pobłażaniem, a brat Wojtych aż się zapowietrzył.

– Ależ, szanowny panie... – zaczął, starając się nad sobą zapanować – przyszedłem w bardzo konkretnej sprawie. Opiekuję się Sanktuarium Loretańskim, w którym, jak panu zapewne wiadomo, znajdują się bezcenne zabytki. Wywiezienie ich byłoby świętokradztwem!

– Ach nie byłoby, nie byłoby, nie dramatyzujcie towarzyszu – machnął ręką Ludd. – No, ale dobrze – oparł przedramiona na szerokim biurku, splótł dłonie i spytał już dużo konkretniej: – Zróbmy tak, ja wysłucham waszej propozycji, a potem zadecydujemy, co zrobić. Więc?

Brat Wojtych czuł, że serce zaczyna walić mu jak oszalałe, zrobiło mu się nieznośnie gorąco. Zaciśnął dłonie w pięści, aż pobielały mu kłykie, i wreszcie powiedział.

– Chciałbym, żeby w kościele zorganizowano muzeum, w którym za drobną opłatą można by zobaczyć skarbiec świątynny – przez moment w gabinecie zapanowała cisza, aż wreszcie Ludd roześmiał się głośno i gardłowo.

– A niech was! I takie myślenie mi się podoba –

I Już? Brat Wojtych miał wrażenie, że coś za łatwo mu poszło. Milczał, czekając na to, co powie Krystow.

– Nawet lepiej, nie trzeba będzie burzyć i jeszcze pieniądze z tego będą. O, wycieczki szkolne się będzie organizować – rozmarzył się Krystow. – A wy, towarzyszu... - spojrzał na niego pytająco.

– Hlava – odpowiedział brat Wojtych.

– A wy, towarzyszu Hlava będziecie odpowiedzialni za muzeum. No i jak? Zadowoleni?

– Tak – odpowiedział trochę zbyt szybko. – Tak, bardzo dziękuję. Bóg zapłać!

– Ej, ej, towarzyszu Hlava, tylko bez takich – upomniał go z lekkim uśmieszkiem Krystow.

Zniknęły drewniane ławy, za to przy wejściu pojawiło się biurko, kasa i mały stojak z pocztówkami po dziesięć koron każda. Obrazy świętych w grubych ramach pozostawiono, do każdego dołączając białą tabliczkę z informacją o autorze i krótkim opisem dzieła. Z ołtarza zniknęły świece, kwiaty, zgaszono dwie czerwone lampki. To już nie był ołtarz, przed którym można było klękać. Pod ścianami na przeszkłonych regałach pyszniły się wspaniałe kosztowności skarbcza. Zwieńczeniem tej kolekcji była prawie metrowa hostia ze złota. Brat Wojtych aż się zapatrzył. Sześć tysięcy dwieście dwadzieścia dwa diamenty opalizowały w białym świetle lampki. Nieśmiało uśmiechnął się do siebie. Przechytrzył komunistów, ha ha. Udało mu się. Hostia i cały dorobek tak pieczołowicie przechowywany, był bezpieczny. Ba, teraz nawet zwykli ludzie będą mogli go oglądać.

– Muszę wam przyznać, towarzyszu – odezwał się Krystow – że nieźle to wyszło – poklepał brata Wojtycha po plecach z taką siłą, że ten aż się zachwiał. – Faktycznie, sporo tych cacek nakradliście.

– Nie nakradliśmy... – powiedział z godnością, odwracając się w stronę dyrektora. Chciał mówić dalej, ale zrezygnował. Nie warto było drażnić lwa. Jeszcze by wycofał zgodę na muzeum.

– Chodźmy na zewnątrz, chcę, żebyście zobaczyli, jaką tabliczkę wczoraj przywiesili. Sam wybierałem nazwę – powiedział z dumą. Założył kapelusz na głowę, kierując się w stronę wyjścia. Brat Wojtych, chcąc nie chcąc, podreptał za nim.

Dzień był zimny, wietrzny i chyba zanosilo się na śnieg. Pierwszy tego roku.

– I jak? – spytał. – Tego się, towarzyszu, nie spodziewaliście, co? – zarechotał.

Przy wejściu do kościoła zamiast rozpiski mszy wisiała duża mosiężna tabliczka, głosząca, że oto w Sanktuarium Loretańskim znajduje się teraz Muzeum wyzysku klasy robotniczej. Brat Wojtych odwrócił wzrok, zacisnął dłoń na różańcu. Zrobił to dyskretnie, by dyrektor nie zauważył. Nie odpowiedział, pokiwał tylko powoli głową.

– Ty widzisz to, Miros – mruknął jeden z przechodzących obok kościoła mężczyzn. – Ażeby ich, okradają nas i jeszcze się chwalą – splunął pod nogi bratu Wojtychowi.

Ten nazwany Mirosiem tylko wzruszył ramionami, z pogardą patrząc na jasny, barokowy kościółek. Mogli mu teraz pluć pod nogi, brat Wojtych dopiął swego, skarbiec był bezpieczny. Tylko to się liczyło. A jednak wcale się nie cieszył. Sam nie wiedział co to właściwie było, dziwne uczucie, jakby ściskanie w piersi. Gorzki posmak w ustach i poczucie porażki. Cóż, nie można przecież mieć wszystkiego. Kościół się jeszcze podniesie, najważniejsze, żeby miał z czego powstawać.

Klaudia Bekas

I Liceum Ogólnokształcące im. Bolesława Chrobrego w Kłodzku

„Łyżka dziegciu popsuje beczkę miodu”. Rozważ aktualność tego przysłowia.

RYTM ŻYCIA

Promienie słońca padały mi na twarz. Dzień zapowiadał się pięknie. Patrząc przez to wielkie, szklane okno fascynowałam się tym wszystkim, co miałam przed oczami. Czułam się szczęśliwa, a uśmiech nie schodził mi z twarzy. Ludzie mówią, że zawsze jestem uśmiechnięta. W tej właśnie chwili sobie przypominałam te słowa i zaczęłam o tym intensywnie myśleć. Doszłam do wniosku, że mają rację. Ja nie widzę i nigdy nie widziałam w swoim życiu powodu do smutku, gdyż kocham to, co robię i to, kim jestem. Po takich refleksjach i chwilowym zamyśleniu wstałam z wygniecionego krzesła i podeszłam do biurka. Widziałam już z oddali mnóstwo czekających na mnie papierów, lecz nie przerażało mnie to. Ucieszyłam się, że mam tyle do zrobienia. Miałam już zamiar wyciągnąć dłoń, aby chwycić tę stertę. Jednak najpierw spojrzałam na ekran mojego telefonu, który leżał tuż obok. Uśmiechnęłam się. Od kilkunastu już lat takie wiadomości mnie nie zaskakują. „Jak włączyć pralkę? Gdzie moja czerwona kurtka?” Sprawiają mi one ogromną radość, a nawet rozczulam się nad nimi. Po chwili ekran wygasł. Wzięłam się zatem za czekające na mnie materiały. Rozejrzałam się wokoło i pomyślałam, że jest to miejsce, które uwielbiam. Cała ta technologia oraz możliwość jej poznawania sprawiają, że mój zawód jest także pasją. Czasami nawet zdarzyło mi się zostać po godzinach, ale nie odczułam znudzenia lub zmęczenia. Usiadłam w końcu z całym tym stosiem papierów pod oknem.

– Przyniosłem pani najnowszy model do przetestowania – usłyszałam słowa wypowiedziane przez mojego asystenta stojącego w uchylonych drzwiach.

Spojrzałam na szczelnie zapakowany smartfon i zorientowałam się, że wszystkie moje papiery dotyczą zasad jego funkcjonowania. Ucieszyłam się niezmiernie, gdyż urządzenie, które trzymałam w dłoni, było ostatnim wielkim sukcesem mojej firmy.

W całym tym zawirowaniu czas zleciał mi nieubłagane szybko. Pociągnęłam klamkę raz jeszcze, by upewnić się, czy aby na pewno drzwi do biura są szczelnie zamknięte. Potem w mgnieniu oka znalazłam się już przed głównym wejściem do swojego domu. Ledwo zatrzasnęłam drzwi samochodu, a zostałam już przywitana gorącymi objęciami. Najmniejszą wzięłam na ręce i zaczęłam zabawnie ją kołysać. Obydwie wykrzykiwały: „Mama, mama!” Śmiejąc się, zauważyłam, że czerwona kurtka jest już na swoim miejscu, więc na szczęście nie musiałam jej szukać. Przytulając obydwie dziewczynki, w oddali ujrzałam męża, idącego w naszym kierunku. Dziewczynki wyciągnęły ręce i teraz wszyscy w czwórkę staliśmy objęci, z uśmiechami na twarzach. Złapał mnie jak zwykle za rękę, a idące obok dziewczynki podskakiwały razem z psem, który zdecydowanie pragnął zabawy. Po chwili, jeszcze rozmawiając, weszliśmy do domu. Przy wejściu poczułam zapach przepysznej potrawy. Wychyliłam się zza kolumny, a ona już szła w moim kierunku.

-Córeczko, w końcu jesteś – objęła mnie, wypowiadając te słowa i jednocześnie całując na powitanie każdego z nas. Wszyscy zasiedliśmy do stołu, znów byliśmy razem. Mama spojrzała na mnie. Widziałam w jej oczach lekkie przerażenie, gdy wstałam i chwyciłam stertę brudnych talerzy. Każdego dnia martwiła się o mnie. Uspokajałam ją, że nie ma się czym przejmować, gdyż zmagam się z moją chorobą już od kilku lat i wiem, że moje serce jeszcze wiele wytrzyma. Pojawiał się wtedy uśmiech na jej twarzy, a to było dla mnie najważniejsze. Staralam się tym nie martwić. Żyłam z nadzieją, że kiedyś jeszcze znajdzie się odpowiedni dawca, lecz dopóki czuję się dobrze, to nic mi więcej nie potrzeba. Ona doskonale wiedziała, że zapominam o tym wszystkim, bo mam to, czego pragnę: rodzinę, która daje mi siłę.

Nadszedł wieczór. Mój mąż, jak co dzień, siedział wpatrzony

w ekran, doszukując się nowych technik leczenia. Wiedziałam, że chodziło mu o moje zdrowie, lecz uważałam, że jest to teraz zbędne. Przytuliłam go zatem, kładąc mu ręce na barkach. On wtedy odebrał wzrok od swej czynności i wszyscy wspólnie z dziećmi i ich babcią usiedliśmy w salonie, oglądając nasz codzienny program. Każdego dnia także dyskutowaliśmy do późna. Wszyscy zadowoleni i rozweseleni rozmową rozchodziliśmy się później do swoich łóżek. To był chyba najdłuższy czas naszej rozłąki, który i tak ledwo wytrzymywałam. Przy moim łóżku zawsze stało nasze wspólne zdjęcie, do którego uśmiechałam się przed snem. Na samym środku zdjęcia znajdowała się moja mama: objęta przez nas wszystkich, obdarzona szacunkiem i miłością.

Nazajutrz dzień zapowiadał się znów cudownie. Wstałam z łóżka i z radością udałam się do łazienki. W lustrze ujrzałam odbicie dwóch śmiejących się dziewczynek, które wzajemnie zabierały sobie pastę do zębów. Następnie, schodząc po schodach, czułam intensywny zapach ziarenek kawy. Mój mąż i mama już ją popijali, śmiejąc się do siebie. Ta chwila nie trwała długo, bowiem gdy mama zauważyła mnie wraz z biegnącymi po schodach dziewczynkami, wyciągnęła nas i podała przepyszne śniadanie.

Około godziny ósmej byłam już przy swoim biurku. Przeglądałam artykuły związane z nową technologią i naszym najnowszym smartfonem. Wszystko mnie fascynowało. Jednocześnie myślałam o moich dziewczynkach oraz o pracy mojego męża, który ratuje życie wielu osób jako chirurg. Wiedziałam jednak, że są szczęśliwi, dlatego uśmiechałam się do siebie. Myślałam także o mojej mamie...

Znów czas zleciał tak szybko, że już zaraz musiałam pojawić się w szpitalu na okresowe badania. Tuż przed wejściem czekał na mnie mąż. Pocałował mnie w czoło i pytając mnie o dzisiejszy dzień, odprowadził na salę badań. Później nie czułam się już tak dobrze. Myślę, że mogło mnie to osłabić. W domu przy obiedzie nie myślałam o moim lekkim bólu, lecz o tym, jak czują się moja mama i dzieci. Wszyscy spędziliśmy miły czas, wzajemnie opowiadając sobie o dzisiejszym dniu. Podczas rozmowy mojej mamie spadł widelec.

Ta sytuacja stanowiła dosyć zabawną i czułą chwilę, gdyż wszyscy zerwaliśmy się, by go podnieść, przez co zderzyliśmy się wzajemnie głowami.

Już w nocy trafiłam ponownie do szpitala z silnym bólem. Nie zastanawiałam się jednak nad tym długo, gdyż dziewczynki i mama były ze mną. Byłam szczęśliwa. Wiem, że mąż nie chciał mnie informować o moim złym stanie, ale już gorsze chwile przeżyłam, więc ten ból nie dobił mnie w żadnym stopniu. Rodzina cieszyła się moim szczęściem i poprzez to nawet w szpitalu spędziliśmy miłą noc.

Kolejnego dnia znów musiałam tu leżeć. Byłam zdenerwowana tym, że nie mogę przywitać się z dziewczynkami z samego rana. Wcześniej jeszcze poprosiłam mamę, aby pojechała do mojej firmy i wzięła mi kilka potrzebnych rzeczy, gdyż chcę je jeszcze przejrzeć. Miała być u mnie około godziny drugiej. Po upływie dłuższego czasu wciąż jej nie było. Zdecydowałam się jednak wziąć do ręki smartfon i napisać do niej wiadomość. Wiedziałam, że moja mama potrzebuje trochę więcej czasu, aby przeczytać, więc napisałam dla ułatwienia dużymi literami i wysłałam. Mama, trzymając za kierownicę, ujrzała moją wiadomość. Na dosłownie krótki moment oderwała wzrok od jezdni i chwyciła smartfon w celu odczytania wiadomości od córki.

Minęło kilka minut, wciąż czekałam na mamę, lecz byłam pewna, że za niedługo już u mnie będzie. Patrzyłam przez jakiś czas w białą, pustą ścianę przede mną i myślałam o moim życiu, byłam szczęśliwa. Po chwili wbiegł mój mąż do mojej sali ze słowami:

– Mamy dawcę, jedziemy na salę operacyjną.

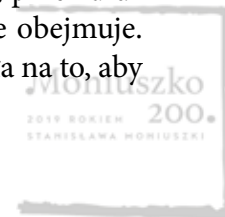
Na taki komunikat, w nieoczekiwanym, nagłym momencie, byłam przygotowana od kilku lat, lecz nie ukrywam, że i tak mnie zaskoczył. Ufałam natomiast mężowi i wiedziałam, że jestem w dobrych rękach i decyzja została słusznie podjęta.

Obudziłam się wiele godzin po operacji. Był to ciężki zabieg zarówno dla mnie, jak i dla chirurgów. Przez łzy, uśmiechnęłam się, że po latach w końcu mam zdrowe, nowe serce.

Nazajutrz w sali odwiedził mnie mąż. Próbował udawać szczę-

śliwego. Ja jednak widziałam w jego oczach smutek i przerażenie. Chwyciłam jednak jego dłoń i pragnęłam, by poinformował dziewczynki i mamę o wszystkim. niespodziewanie wbiegła do sali moja córka. Była zapłakana. Pokazała mi w Internecie artykuł o śmierci kobiety, która zginęła kilka godzin temu, powodując wypadek samochodowy, najprawdopodobniej z powodu zapatrzenia się w ekran smartfona. Była to moja mama. Zaniemówiłam. Wiedziałam, już od dawna, że mama podpisała oświadczenie dotyczące pośmiertnej transplantacji narządów. Popatrzyłam na męża i zadałam sobie w głowie pytanie, dlaczego pozwolił na to, by biło we mnie jej serce.

Dzisiaj, gdy wciąż żyję, prawie wszyscy razem znów siedzimy przy stole. Ja wciąż czuję obecność mamy. Po raz pierwszy w życiu jest mi ciężko, ale widok dziewczynek, które dziękują ojcu, za uratowanie mi życia, sprawia, że znów się uśmiecham. Jak co wieczór, siadam na łóżku przy rodzinnym zdjęciu i patrzę na nie, przez długi czas. Wtedy przychodzi mój mąż, który mocno mnie obejmuje. Ze łzami w oczach, dziękuję mojej matce, że nie pozwoliła na to, aby rodzina żyła także beze mnie.



(...) dobrze być tam, gdzie człowiek ma swoje miejsce (...) dobrze mieć swoją bezpieczną przystań, do której zawsze można wrócić” (Stephen King).

O moim intymnym miejscu na ziemi dolnośląskiej.

*„Każde miejsce, do którego się udasz,
staje się w jakimś sensie częścią ciebie.”*

Anita Desai

PRYZSTAŃ MIĘDZY MOSTAMI

Po nawet najdłuższym rejsie przychodzi czas na dotarcie do portu. Nieistotne, czy chodzi o parowiec wracający z wyprawy dookoła świata, czy o skromną barkę sunącą powoli wodami Odry. Każdy z nas jest jednostką transportującą emocje, wspomnienia i przemyślenia oraz sternikiem, który po walce ze sztormem na morzu codzienności w końcu powinien gdzieś osiąść. Moja łódź obiera swój codzienny kurs na wrocławskie Karłowice – moją bezpieczną przystań.

Codziennie wyruszam z okolic Mostu Osobowickiego. Pożegnania są trudne – muszę pozostawić ciepłą pościel, kubek z niedopitą herbatą i bliskich uśmiechających się do mnie tylko ze zdjęć, ponieważ oni wyruszyli na nieznane wody dnia kilka godzin wcześniej. Sygnał do wyjścia daje mi dźwięk dzwonów wzywających na poranne nabożeństwo w kościele świętego Antoniego. Po chwili ociągania się podnoszę kotwicę snu, opuszczam moją bezpieczną kajutę i wyruszam w nieznane ku wschodzącemu malowniczo nad Odrą słońcu. Na początku drogi mijam kolorowy plac zabaw. Przeżywałam tutaj moje pierwsze radości i smutki: cieszyłam się ze znalezionej kasztana, z nieistniejącej już wieży wypatrywałam z moimi ówczesnymi towarzyszami wyprawy nowych przygód i płakałam z powodu obdartych kolan. To miejsce zawsze wywołuje na mojej twarzy uśmiech

i pozwala choć na chwilę powrócić myślami do czasów cieszenia się z małych rzeczy. Każda kolejna różnica pomiędzy obrazem znanym mi z czasów dzieciństwa, a stanem obecnym przypomina mi, że mój statek rozwija się, mknie do przodu w zawrotnym tempie i wypływa na coraz mniej znane mi tereny. Na horyzoncie zaczyna pojawiać się coraz więcej gwałtownych fal, zgubnych mielizn, a znajome bandery oddalają się, podążając w sobie tylko znanym kierunku. Dlatego cieszę się, że los dał mi możliwość pozostawienia właśnie tutaj mojego bagażu wspomnień i doświadczeń, do którego mogę wrócić przy każdej wizycie, kiedy tylko będę potrzebowała inspiracji, porady, czy też uśmiechu na otarcie łez.

Po chwili spaceru zazwyczaj przychodzi czas na zatrzymanie się w kapitanacie mojej edukacji, położonym w samym sercu Karłowic. Przyznam szczerze, że jest to miejsce, które potrafi zaskoczyć. Z jednej strony czuję się tutaj jak w domu – każdego ranka mogę tu zobaczyć serdeczny uśmiech przyjaciół, pomocną dłoń nauczyciela i przyswoić morze nowej wiedzy. Z drugiej strony podróż w te rejonny wiąże się z dość sporą dozą adrenaliny – nigdy nie wiadomo, co czai się za rogiem. Czasem suniemy po spokojnym morzu ciekawych wykładów przeplatanych anegdotami, innym razem napotykamy marlina w postaci sprawdzianu naszej wiedzy. Grunt to zachować wtedy zimną krew, wygrać grę w statki z kluczem odpowiedzi i wyjść z opresji obronną ręką. Na lekcji słyszę dzwony bijące na Anioł Pański. Tym razem dźwięki płyną z kościoła pod wezwaniem Odkupiciela Świata. Uśmiecham się, bo przychodzą mi na myśl słowa z analizowanego niedawno wiersza Kazimierza Przerwy – Tetmajera: „Na Anioł Pański biją dzwony, niech będzie Maria pozdrowiona, niech będzie Chrystus pozdrowiony”. Chyba już zawsze dźwięk dzwonów będzie mi się kojarzył z tym pięknym poetyckim pozdrowieniem. To właśnie na lekcjach polskiego uświadomiłam sobie, że karłowickie uliczki są wyjątkowe, bo upamiętniają polskich pisarzy: Kasprowicza, Tetmajera, Staffa, Makuszyńskiego, Brzechwę... Z czasem dowiedziałam się też, że niektórzy twórcy tutaj bywali, jak Maria Dąbrowska i Rafał Wojaczek. Mieszkał tutaj Czesław Hernas - wybitny profesor, znawca baroku. To dopiero w liceum zdałam sobie sprawę z tego, jak ciekawe są

moje Karłowice i jak wiele jeszcze mam do odkrycia. Na koniec dnia lubię przejść się pustym już korytarzem szkoły i zerknąć na gabloty ze zdjęciami. Myślę sobie wtedy, jak wiele wydarzeń z mojego życia rozegrało się i jeszcze się wydarzy właśnie w tych murach. Jak wielu ludzi, bez których nie wyobrażam sobie dzisiaj mojego dnia, poznałam właśnie tutaj. Jak wiele osób, z którymi spędzam tu większość dni w roku, ukształtowało mnie i to właśnie dzięki nim podejmę wkrótce ważne decyzje dotyczące mojej przyszłości. Poczucie znajdowania się we właściwym miejscu i w odpowiednim kręgu ludzi uświadamia mi, jaki jest kolejny cel posiadania bezpiecznej przystani – daje ona człowiekowi najlepsze warunki i motywację do stawiania się lepszą wersją siebie każdego dnia oraz wywołuje uśmiech na samo wspomnienie.

Po ostatnim dzwonku przychodzi czas na szybkie podniesienie żagli i wyczekiwany od rana powrót do przytulnej kajuty. Kiedy sprzyja aura i mam potrzebę zrelaksować się, zazwyczaj obieram dłuższy kurs przez wały, nazywane od niedawna Starą Odrą. Uwielbiam ten moment, kiedy zbliżając się do wody, słyszę pod stopami kojący szelest trawy i cichy plusk fal. Patrząc w błękitną toń, przypominam sobie słoneczne dni, podczas których rozkładałam tu z przyjaciółmi koc i gramy godzinami w karty, śmiejąc się i myśląc jedynie o żartach. Czasami zakręci mi się w oku łza na myśl o dawnych przyjaźniach, zawiedzionych nadziejach i podjętych złych decyzjach. Na szczęście w takim momencie często pojawia się na horyzoncie mały lub większy czworonóg, który swoim entuzjazmem odgania znad mojej głowy ciemne chmury i zajmuje moje ręce głaskaniem.

Po chwili wyciszenia przychodzi czas na powrót do mojej głównej przystani. W takich chwilach zadaję sobie pytanie o to, co będzie, co mogę zrobić, co chciałabym zmienić. W końcu taki też jest sens przystani – z jednej strony jest ona końcem, ale z drugiej jest pierwszym przystankiem podczas nowego rejsu, który nadejdzie szybciej, niż mi się wydaje – chociażby następnego dnia rano, a może już za godzinę.

Maciej Golemo

Powiatowy Zespół Szkół im. Jana Pawła II w Żmigrodzie

„Łyżka dziegciu popsuje beczkę miodu”. Rozważ aktualność tego przysłowia.

Nikt nie jest w pełni szczęśliwy. Absolutnie nikt. Nawet jeśli ktoś uważa, że jest, to się myli. Każdy doświadczył w swoim życiu nieszczęścia, choćby niewielkiego. Nie wspominając już o tym, że świadomość nieuniknionego końca jest wystarczającym powodem do zmartwienia. Szczęśliwi wierzący w życie po śmierci, którzy mają nadzieję, że nie czeka nas tylko nicość i pustka. Ale to drobnostka.

Wciąż nie wierzysz mi, że tak naprawdę nikt nie jest szczęśliwy? Istnieje pewne polskie, mądre przysłowie: „łyżka dziegciu popsuje beczkę miodu”. Bardzo prawdziwe. Jest ono adekwatne do niezliczonej ilości sytuacji. Dla młodej dziewczyny łyżką dziegciu może być drobna, uszczypliwa uwaga na temat jej wyglądu, która podkopie jej pewność siebie i uwydatni kompleksy, co ostatecznie skutkuje zniszczeniem wizji jej jakże wspaniałej przyszłości. Łyżką dziegciu może być najmniejszy brak zaufania w małżeństwie, który doprowadzi do rozpadu wzorowej, kochającej się rodziny. Podobne przykłady można mnożyć w nieskończoność, jednak czy nie jest to nieco banalne i zbyt oczywiste?

Życie jest taką beczką. Tylko czy na pewno miodu? Czy wręcz przeciwnie – dziegciu? Może tak naprawdę, dążąc do szczęścia, nieustannie dolewamy łyżek miodu do beczki dziegciu? W końcu, gdyby było inaczej, człowiek rodziłby się szczęśliwy i wystarczyłoby utrzymać ten stan rzeczy. Tymczasem goni on za czymś nieustannie. Praca, dom, szkoła, kościół. Wszystko to, jeżeli się głębiej zastanowić, nie ma żadnego celu, poza tym, aby czuć się nieco bardziej szczęśliwym albo raczej mniej nieszczęśliwym. Praca, a raczej pieniądze w niej zarobione, pozwalają na więcej materialnych uciech. Kochają-

ca rodzina daje jakieś poczucie bezpieczeństwa i sprawia, że czujemy się potrzebni. Dobra szkoła może zapewnić lepszą pracę i wrażenie, że jesteśmy mądrzy. Z kolei Kościół, czy też generalnie religia, daje nam nadzieję na to, iż wszystko, co robimy, ma jakiś wyższy cel, pozwala nam umrzeć spokojniej. Większość społeczeństwa nie widzi tego w taki sposób, a nawet się nad tym nie zastanawia, gdyż właśnie to codzienne dolewanie łyżek miodu do beczki dziegciu zbytnio je pochłania. I dobrze.

W końcu nie ma nic gorszego niż skupianie się na tejże łyżce, czy wręcz szukanie jej na siłę. Wtedy łyżką dziegciu staje się sama łyżka dziegciu. I choć brzmi to absurdalnie, to zaryzykowałbym stwierdzenie, iż jest to choroba XXI wieku. Nie jestem lekarzem i nie chcę mówić, że jej nazwa to depresja, ale dziś widzi się coraz więcej młodych ludzi, którzy są nieszczęśliwi i w gruncie rzeczy nie wiedzą dlaczego. Sądzę, że po części wynika to z coraz powszechniejszego poczucia bezsensu życia, a po części z tego, że smutek jest dzisiaj w modzie. Doskonale widać to w Sieci, gdzie niezwykle popularne są depresyjne memy, dołączająca muzyka oraz wzajemne “dobijanie się” użytkowników social-mediów. Na próżno szukać w komentarzach pod podobnymi materiałami mądrych i przede wszystkim dobrych rad czy choćby zachęty do wizyty u specjalisty. Prędzej znajdzie się osoba, która z chęcią wytłumaczy, jak zawiązać elegancką pętlę na szyi. Rzecz jasna wszystko, co znajduje się w Internecie, należy przyjmować z dużą dozą dystansu, ponieważ ogromna część osób po prostu sobie żartuje czy też bawi się depresyjną konwencją, jednak zjawisko bez wątpienia ma miejsce.

Doszukiwanie się na siłę łyżki dziegciu (co wcale zbyt trudne nie jest) rzeczywiście stało się dziś jakimś rodzajem mody. Jednakże absolutnie nie wolno tego bagatelizować. Wręcz przeciwnie, wielu ludzi, szczególnie młodych, jak już wcześniej wspomniałem, ma realny problem. Co ciekawe, zauważyłem, że pojawia się on u osób, które z materialnego punktu widzenia nie mają na co narzekać. Powiedziałbym wręcz, że pieniądz może być tylko czynnikiem zwiększającym prawdopodobieństwo jego wystąpienia. Ci, którym pod tym względem co nieco brakuje, są zbyt pochłonięci pracą, aby

ten stan rzeczy zmienić, przez co zwyczajnie nie mają czasu, aby rozmyślać nad swoim szczęściem czy nieszczęściem. Z kolei ci, którzy mają “wszystko”, często czują jakąś pustkę, jednak nie wiedzą, czym ją zapełnić.

Łyżka dziegciu wbrew pozorom ma jedną, ale za to bardzo dużą zaletę. Po prostu sprawia, że życie jest ciekawe. Niekoniecznie lepsze, ale ciekawe bez wątplenia. W końcu beczka wypełniona po brzegi miodem może zemdlić. Jakby nie patrzeć - życie to ciągle radzenie sobie z jakimiś problemami. Bez chwili wytchnienia. Czy kiedy myślimy o biblijnym raju, nie odnosimy wrażenia, że musi tam być niezwykle nudno? Co robić w krainie, gdzie wszystko jest w porządku, gdzie nie trzeba już nic? To przecież okropne! Odnoszę wrażenie, że świat jest piękny przez to, jak radzimy sobie z jego okropieństwami. To nadaje smaku naszej codzienności.

Nadal cię nie przekonałem, że nikt nie jest w pełni szczęśliwy? Spójrz jednak. Szczęście jest bardzo ulotne, chwilowe, delikatne. Mówiąc, że jesteś wciąż szczęśliwy, poniekąd wypaczasz znaczenie słowa “szczęście”. Oczywiście możesz być zadowolony ze swojego życia. Nie twierdzę, że jest inaczej. Jednak szczęście nie równa się zadowoleniu. Szczęście jest bardzo skrajnym uczuciem. Z kolei zakładając, że jego brakiem jest nieszczęście, można przyjąć, iż to właśnie ono stanowi w żywocie ludzkim constans. Tak więc, w rzeczy samej, nasze życie nie jest beczką miodu, a dziegciu, którą z syzyfowym uporem codziennie staramy się osłodzić. Mimo że nie brzmi to wcale zbyt zachęcająco, to wydaje mi się, iż ostatecznie ma to raczej krzepiący wydźwięk. Nadaje to naszej egzystencji jakiś cel, wprawdzie nieco złudny, ale jednak. W końcu dążenie do szczęścia jest celem samym w sobie. Prowadzi to do wniosku, że najlepszym sposobem na życie jest życie chwilą. Carpe diem! Jak wspaniale jest wynaleźć koło na nowo.

A tobie jak idzie codzienne oszukiwanie samego siebie?

PRO MEMORIA JANUSZ KACZOROWSKI

Ukochany profesor i człowiek nieprzeciętnej dobroci



Janusz Kaczorowski urodził się 09. 11. 1962r., zmarł 07. 01.2018r. W 1987 ukończył Uniwersytet Wrocławski jako mgr filologii polskiej o specjalności nauczycielskiej i 1. 09. tego roku podjął pracę w Zespole Szkół Łączności we Wrocławiu, gdzie dał się poznać jako wybitny dydaktyk i wychowawca młodzieży. Następnie od 1997r. kontynuował (rozpoczął) nauczania sztuki w Prywatnym Salezjańskim Liceum Ogólnokształcącym, gdzie pracował aż do śmierci, czyli przez 21 lat. Odszedł nagle, tak jak na nieprzeciętnego, sumiennego nauczyciela przystało, a więc na scenie szkolnego życia, przy zadaniach uczniowskich przygotowanych do poprawy. Od 2005r. pokochał pracę w jury konkursu „My Polacy, My Dolnoślązacy”. Czuł się spełniony, gdy czytał konkursowe zadania, cieszył się, że może poznawać „młodych złote myślenie”. To On zainaugurował rywalizację o „Laur Złotego Pióra” układając tematy, na które napisało ponad 400 uczniów. Choć nie przyznawał się do tego, to był nauczycielem z powołania, z charyzmą. O Jego lekcjach mówią i piszą jego byli uczniowie, że były „najważniejszymi w ich życiu”, że przekazał im część, którą wlał w nich „wraz z ciekawością świata, otwartością i zapalem, którego był pełen, nawet jeśli nie miał sił, troszczył się o życie innych kosztem swojego zdrowia”. Nigdy nie myślał o sobie, lekceważył sygnały, jakie dawało mu chore serce. Nie miał czasu dla siebie. Jak nikt, tak On potrafił słuchać, pomagać,

współczuć, przejmować się sprawami, którymi Go obarczano, był człowiekiem niezwykłym, wrażliwym i opiekuńczym. Zajmował się leciwyymi członkami swojej rodziny. Kochał swoich staruszków, był im bezgranicznie oddany. Pracował nawet w polu, spełniając życzenie stryja, a ponadto sam remontował rodzinny dom. Pomimo nadmiaru obowiązków nigdy nie okazywał zmęczenia. Angażował się w pełni w życie szkoły. Był miłośnikiem mądrości, znawcą filozofii, utalentowanym polonistą. Brał aktywny udział w imprezach kulturalnych organizowanych przez szkołę, np. jako autor wspaniałej konferansjerki i uczestnik „Wieczorów Poezji Śpiewanej”. Jego niski, ciepły głos przy akompaniamencie nieodłącznej gitary robił wrażenie na słuchaczach. Był dla wszystkich koleżanek, kolegów, przyjaciół Kochanym Jasiem, na którego zawsze i o każdej porze można było liczyć, a dla uczniów Profesorem (ukochanym nauczycielem i mistrzem), którego „dobroć, pasja i wiara w człowieka zapisała się nieodwracalnie w sercach wielu” z nich.

Profesorze Januszu Kaczorowski dziękujemy Ci, że byłeś i żyłeś pośród nas i prosimy, abyś zechciał tam, z góry patrzeć na nas swoimi pełnymi miłości oczyma i wspierać w działaniu ku dobru, tak jak to czyniłeś tu, na ziemi.

PRO MEMORIA BRONISŁAW PAŁYS

Człowiek wielkiego serca i ogromnej dobroci

W niedzielę 31 sierpnia 2014 r. delegacja Liceum Salezjańskiego we Wrocławiu, poczet sztandarowy, uczestniczyła tradycyjnie w inauguracji roku pracy artystycznej w Polskim Stowarzyszeniu Estradowym „Polest”, z którym od kilku lat ściśle współpracuje, szczególnie przy organizacji konkursu literackiego „My Polacy – My Dolnoślązacy”. Już wtedy z jego dyrektorem panem Bronisławem Pałysiem rozmawialiśmy o kolejnej jubileuszowej edycji tego przedsięwzięcia. Umówiliśmy się, że niebawem spotkamy się i wszystko szczegółowo ustalimy.

Dzień później Pan Dyrektor znalazł się w szpitalu. Modliliśmy się nieustannie o Jego rychły powrót do zdrowia. Niestety inna była wola Pana Boga. W nocy 3 października odszedł do Domu Ojca opatrzoną Świętymi Sakramentami. Pozostawił w głębokiej rozpaczy nie tylko swoją najbliższą rodzinę, współpracowników z „Polestu”, artystów szerzących wartości chrześcijańskie, niezliczoną rzeszę duchowieństwa diecezjalnego i zakonnego z całej Polski, ale także dyrekcję, pedagogów i uczniów szkoły.

Przez okres kilkuletnich kontaktów Pan Dyrektor Bronisław Pałys dał się poznać jako człowiek wielkiego serca i ogromnej dobroci. Jego zaangażowanie w organizację konkursu pokazało, jak bardzo zależało Mu na akcentowaniu postawy chrześcijańskiej jako właściwym uzupełnieniu autentycznej postawy patriotycznej oraz poszanowaniu każdego człowieka i narodu budzącego dumę i ra-



dość z faktu przynależności do tego właśnie narodu. Te cechy były szczególnie widoczne w Jego życiu publicznym. Zawsze starał się bronić polskości, służyć Polsce i dla Niej żyć.

Bronisław Pałys s. Stanisława i Petroneli ur. 08.02.1940 w Stanisławowie-Ryn (Kresy wschodnie).

Po maturze odbył studia teologiczno-filozoficzne, uzyskując tytuł magisterski, drugi fakultet to historia sztuki. Pracował na misjach w Kenii i na Madagaskarze.

Był założycielem i dyrektorem generalnym Wydziału Programów Katolickich PSE "POLEST" we Wrocławiu, szczególnym czcicielem Matki Bożej Saletyńskiej, której to apostolstwo rozwijał poprzez utworzenie w kościele p. w. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny i św. Mikołaja w Stobnie dwóch Kaplic Matki Bożej Saletyńskiej oraz Saletyńskiej Drogi Krzyżowej, fundowanie kościołom Dolnego Śląska witraży i innych znaków saletyńskich. W kościołach na terenie całego kraju prezentował oratoria, misteria słowno-muzyczne o charakterze patriotyczno-katolickim. Ma ogromne zasługi w odbudowie „Ołtarza Ojczyzny” w Bazylice p. w. Św. Krzyża w Warszawie. Przygotowywał oprawę kulturalną 46 Międzynarodowego Kongresu Eucharystycznego, obchodów 1000-lecia Biskupstwa Wrocławskiego i 10-lecia istnienia Ordynariatu Polowego Wojska Polskiego. Od wielu lat był przyjacielem Katolickiego Radia Rodzina, „Niedzieli”, „Gościa Niedzielnego”

W sektorze kultury pracował ponad 40 lat, tworząc różnego rodzaju programy kulturalno-patriotyczne, promując w ten sposób nową formę Ewangelizacji poprzez kulturę i sztukę, a przede wszystkim wartości chrześcijańskie. Prowadził szeroką działalność charytatywną; przez ponad dziesięć lat na rzecz Kliniki Nefrologii, a od kilku lat wspiera działalność Kliniki Transplantacji Szpiku, Onkologii i Hematologii Dziecięcej we Wrocławiu.

Posiada odznaczenia: Złoty i Brązowy Krzyż Zasługi RP, Medale „Gloria Artis” i . Zasłużony dla Kultury Polskiej, odznakę Zasłużony dla Dolnego Śląska, najwyższe wyróżnienie Archidiece-

zji wrocławskiej – Pierścień 1000-lecia Biskupstwa Wrocławskiego oraz Diecezji Świdnickiej- Medal św. Stanisława, a także. Złoty Laur Katolickiego Radia Rodzina.

Był Kawalerem Rycerskiego Zakonu św. Bożego Grobu w Jerozolimie i Komandorem Orderu św. Stanisława.

O tym jakim był człowiekiem, jak pięknie zapisał się w dziejach Kościoła Polskiego, Dolnego Śląska, Wrocławia świadczy chociażby liczna obecność na uroczystościach pogrzebowych przedstawicieli duchowieństwa, parlamentu, świata aktorskiego, artystycznego z całego kraju. Żałobnej Eucharystii sprawowanej 7 października 2014r. w Katedrze Wrocławskiej przewodniczył metropolita senior ks. kard. Henryk Gulbinowicz. Wśród wielu koncelebrantów obecny był dyrektor ks. Jerzy Babiak, a przed ołtarzem stanął nasz poczet sztandarowy Liceum Salezjańskiego we Wrocławiu.. Nie mogło być inaczej...

SPONSORZY KONKURSU



PATRONI MEDIALNI



MECENAS

prof. Jan Miodek

PATRONI HONOROWI

Cezary Przybylski – Marszałek Województwa Dolnośląskiego

Paweł Hreniak – Wojewoda Dolnośląski



Roman Kowalczyk – Dolnośląski Kurator Oświaty



Rafał Dutkiewicz – Prezydent Miasta Wrocławia



ks. Józef Kupny – Arcybiskup Metropolita Wrocławski



ks. Ignacy Dec – Biskup Świdnicki



ks. Zbigniew Kiernikowski – Biskup Legnicki



ks. Jarosław Pizoń – Inspektor Inspektorii św. Jana Bosko we Wrocławiu



Zbigniew Łaziński – Prezes Dolnośląskiej Izby Rzemieślniczej



SPIS TREŚCI

Słowo wstępne.....	3
Rys historyczny konkursu.....	7
Tematy.....	11
I Dolnośląski Konkurs Literacki o Laur Złotego Pióra „My Polacy, My Dolnoślązacy” rok 2005.....	17
II Dolnośląski Konkurs Literacki o Laur Złotego Pióra „My Polacy, My Dolnoślązacy” rok 2006.....	27
III Dolnośląski Konkurs Literacki o Laur Złotego Pióra „My Polacy, My Dolnoślązacy” rok 2007.....	43
IV Dolnośląski Konkurs Literacki o Laur Złotego Pióra „My Polacy, My Dolnoślązacy” rok 2008.....	53
V Dolnośląski Konkurs Literacki o Laur Złotego Pióra „My Polacy, My Dolnoślązacy” rok 2009.....	67
VI Dolnośląski Konkurs Literacki o Laur Złotego Pióra „My Polacy, My Dolnoślązacy” rok 2010.....	87
VII Dolnośląski Konkurs Literacki o Laur Złotego Pióra „My Polacy, My Dolnoślązacy” rok 2011.....	105
VIII Dolnośląski Konkurs Literacki o Laur Złotego Pióra „My Polacy, My Dolnoślązacy” rok 2012.....	119
IX Dolnośląski Konkurs Literacki o Laur Złotego Pióra „My Polacy, My Dolnoślązacy” rok 2013.....	133
X Dolnośląski Konkurs Literacki o Laur Złotego Pióra „My Polacy, My Dolnoślązacy” rok 2014.....	157
XI Dolnośląski Konkurs Literacki o Laur Złotego Pióra „My Polacy, My Dolnoślązacy” rok 2015.....	179

XII Dolnośląski Konkurs Literacki o Laur Złotego Pióra „My Polacy, My Dolnoślązacy” rok 2016.....	197
XIII Dolnośląski Konkurs Literacki o Laur Złotego Pióra „My Polacy, My Dolnoślązacy” rok 2017.....	217
XIV Dolnośląski Konkurs Literacki o Laur Złotego Pióra „My Polacy, My Dolnoślązacy” rok 2018.....	233
XV Dolnośląski Konkurs Literacki o Laur Złotego Pióra „My Polacy, My Dolnoślązacy” rok 2019.....	253
Pro memoria Janusz Kaczorowski.....	275
Pro memoria Bronisław Pałys.....	277
Sponsorzy Konkursu.....	280
Patroni medialni.....	280
Mecenas.....	280
Patroni honorowi.....	281

